

Żeliszław Żyżyński

Paweł Hochstim

IGOR SYPNIEWSKI



ZASYPANY

ŻYCIE NA ZAKRĘCIE

zaSYPAAny
Życie na zakręcie

*Igor Sypniewski
Żeliszaw Żyżyński
Paweł Hochstim*

BUCHMANN

Copyright© Żelislław Żyżyński, Igor Sypniewski, Paweł Hochstim, 2014

Redakcja: Renata Surmacz

Korekta: Agnieszka Żak

Projekt graficzny okładki: ©graFIK

Zdjęcie na okładce: ART PRESS PHOTO AGENCY Artur Kraszewski

Skład i łamanie: INSATSU Michał Żeleznikowicz

Koordinacja: AS Arkadiusz Seidler

Wydawca:

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-280-1633-0

All Rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

Zanim spotkam Beckhama...

1. Lepszy od Lubańskiego?

2. Sypniewski, chłopak z Bałut

3. Być jak Krzysztof Surlit

4. Podania od Wieszczyckiego

5. Równy z Sotomayorem

6. Lato czeka, a po Grześku czeka Beckham

7. Węgrzyn na dzień dobry

8. Franz, Frankowski i inni

9. Jestem jak Paul Gascoigne

10. Ibrahimović i Sypa, tak miało być

11. W szkole Łobanowskiego

12. Przyjechał nawet Schwarz

13. W pokoju z Wichniarkiem

14. Osiem lat po Seamanie. Skazany

Rozmowa z Jonasem Thernem, trenerem Igora

Rozmowa ze Stefanem Sypniewskim, ojcem Igora

rodzicom

Zanim spotkam Beckhama...

Otwieram oczy i przez moment zastanawiam się, gdzie jestem. Ból głowy jasno daje znać, że kilka godzin wcześniej przyjąłem kilka browarów, ale pokój, w którym leżę, nie jest izbą wytrzeźwień. Ból głowy też jest znacznie mniejszy niż na wytrzeźwiałce, zresztą dawno tam nie byłem.

Imprezy kończone przerwany filmem zdarzają mi się regularnie, ale to nie jest ten przypadek. Leżę w łóżku w dobrym hotelu – bardzo dobrym – a to oznacza, że jestem na kolejnym wyjazdowym meczu Panathinaikosu. Na stole kilka puszek po piwie, popielniczka pełna niedopałków, ale to akurat normalny obrazek, nic nowego. Nic co mogłoby mnie zdziwić lub zainteresować, zwłaszcza na kacu, zwłaszcza, że żadna z tych puszek nie jest pełna i nie daje nadziei na szybszy powrót do formy, a ta będzie mi potrzebna już za kilka godzin. Przypominam sobie, że jestem w Manchesterze i dziś o godz. 20.45 zagram na Old Trafford. Trzeba wytrzeźwieć, bo choć zacznę pewnie na ławce, to zionąć w szatni piwem raczej nie wypada. To w końcu Liga Mistrzów...

O tym, że Manchester będzie dla mnie szczęśliwy, wiedziałem już wcześniej, w poniedziałek. Mój szczęśliwy zbieg okoliczności miał chyba na imię Maciek i był kelnerem w naszym hotelu. Maciek, nie Mike. Był Polakiem, choć nie mówimy o czasach, w których Polacy mogli legalnie pracować w Wielkiej Brytanii. Wspominam czasy, w których trzech Polaków regularnie występowało w jednym klubie w Lidze Mistrzów, byłem jednym z nich. Józek Wandzik i Krzysiek Warzycha na browary tuż przed meczem by sobie nie pozwolili, ale to były czasy, gdy już nie miałem innego wyjścia – musiałem pić. Wieczorami po to, żeby zasnąć, inaczej zwyczajnie nie dawałem rady. 20 listopada 2000 roku miałem ten sam problem, tylko on kołatał mi się w głowie. Kupić piwo, wypić, spokojnie zamknąć oczy.

Wiem, powinienem teraz w wyobraźni rozgrywać nieodległy mecz, myśleć, jak zatrzymać Davida Beckhama, jak ograć Gary'ego Neville'a, ale... miałem inne, naprawdę ważniejsze dla mnie zmartwienia.

Skąd, do cholery, wziąć piwo?! Przecież nie wyjdę na ulicę w dresie Panathinaikosu i nie zapytam przechodniów, gdzie jest monopolowy? Gdybym jeszcze znał angielski, to może i coś bym w tym kierunku kombinował, ale mówiłem tylko po polsku i po grecku. Tak, sytuacja nie wyglądała różowo, dopóki do mojego pokoju nie zapukał ten Maciek – nieMaciek. Naprawdę nie pamiętam, czy właśnie tak miał na imię, ale liczyło się to, że był Polakiem i że chętnie zgodził się podrzucić mi do pokoju kilka piw. Trzeba mieć moje szczęście, żeby boy hotelowy w Manchesterze mógł tak bardzo pomóc.

Chłopak przyniósł piwa i został chwilę pogadać. Patrzył zafascynowany i pytał, jak to jest grać w Lidze Mistrzów, co czuję przed występem w Teatrze Marzeń. Cóż... Odpowiadałem, że nie mogę się doczekać gry. Sączyłem browara i tłumaczyłem, że, moim zdaniem, ten cały Beckham, to nie jest wielki gracz. Nadal tak uważam i choć wielu się śmieje, gdy to mówię – grałem przeciwko wielu lepszym. Ma super uderzenie, dośrodkowanie z rzutu wolnego i różnego, ale nie ma takiej maniany, jak... Jak choćby ja.

– Jego talent w porównaniu z moim, to tyle co nic. On to wszystko ma wypracowane, wytrenowane, ja dostałem dar od Boga – mówię chłopakowi, a on patrzy jak na wariata.

– Ale jak to będzie, gdy już wejdiesz do szatni na Old Trafford, jak usłyszysz hymn Ligi Mistrzów? – zadaje te same pytania, co każdy. Odpowiadam szczerze, bo kłamać nie umiem, że wejdę do szatni i poczekam na właściwy moment, żeby po cichu zapalić tam, gdzie są prysznice, lepiej się poczuć przed meczem. Gość przez chwilę nie wie, czy żartuję, czy mówię serio, ale przecież widzi mnie z browarem i fajką jakieś kilkanaście godzin przed meczem, więc odpowiedź nasuwa się błyskawicznie. Oj, musiał się zdziwić nie mniej niż ja sam, gdy usłyszał moje nazwisko w pierwszym składzie, a potem zobaczył kilka akcji, w których kręciłem tym jego Beckhamem, jak barankiem, biorąc na najprostszy zwód, na zamach.

Nie żebym słynnego Anglika lekceważył. Dobrze wiem, że gość jest legendą światowej piłki, multimilionerem, symbolem futbolu, a ja... schorowanym 37-latkim siedzącym w mieszkaniu matki na łódzkich Bałutach. W 2000 roku nikt jednak nie mógł wiedzieć, że się to

wszystko tak potoczy, a nawet gdybym ja to wiedział – i tak nie miałyby to żadnego znaczenia. Bo wtedy, gdy w listopadowy wieczór obaj słuchaliśmy hymnu Ligi Mistrzów na tym samym boisku, na oczach ponad 70 tysięcy widzów na stadionie i kilku milionów przed telewizorami, byliśmy sobie równi. I nie sędzę, żebym denerwował się meczem bardziej niż Beckham, Fabien Barthez, czy ci dwaj twardziele ze środka pola, Paul Scholes i Roy Keane. Owszem, gdy trener Angelos Anastasiadis przeczytał skład i powiedział, że z lewej strony pomocy zagra Sypniewski, oprócz zaskoczenia poczułem adrenalinę. Przy hymnie Ligi Mistrzów też mocniej zabiło serducho, ale część stresu uleciała po pierwszej fajce w szatni – bo zazwyczaj wypalałem dwie – a reszta, gdy zagwizdał sędzia.

Na boisku stresu nie czułem. Gdy zaczynała się gra, zawsze miałem luz. Właśnie wtedy i w tych chwilach, w których siedzieliśmy, piliśmy i gadaliśmy z kumplami z osiedla, czułem się najlepiej, wiedziałem, że nikt mi nie zrobi krzywdy. Na boisku – na każdym boisku świata – i na Bałutach. Na dobrej murawie lub na betonie, byle z piłką przy nodze. I przy naszej ławeczce lub murku w okolicach Sukienniczej i Łagiewnickiej – tam byłem u siebie, w swoim środowisku. Kontrolowałem sytuację, tam wiedziałem, że jestem dobry i nikt nie będzie się ze mnie śmiać. Niestety w życiu bywało już gorzej. Znacznie gorzej.

Chłopakowi w hotelu powiedziałem, że mam większy talent od Beckhama i... do dziś tak uważam. Zgadza się z tymi, którzy mówili, że takiego daru od Boga jak Sypek w polskiej piłce nie miał nikt od czasów Włodzimierza Lubańskiego. Jeśli ktoś mi mówi, że polska piłka mogła wyglądać inaczej, gdybym nie przeniósł się w 2002 roku do Wisły Kraków, lecz jako najlepszy ligowy piłkarz pojechałbym na mistrzostwa świata do Korei i Japonii, uważam, że... tak mogło być. Tyle, że ja swój talent przepięłem, rozpuściłem jak wszystkie zarobione na piłce pieniądze, a zarobiłem sporo. Gdy zacząłem zarabiać, całe osiedle wiedziało, że jak Sypek wygrywa, to bawią się wszyscy, którzy chcą się bawić. Bywało, że pół Kozin pijane chodziło. Wtedy nie myślałem, co będzie dalej.

Dziś siedzę w mieszkaniu mamy i zastanawiam się, co ze sobą zrobić. Swoich dawnych goli nie oglądam, wolę popatrzeć na jakieś tele-

dyski, posłuchać muzyki. Na sport zerknę w telewizji, ale gdy leci Liga Mistrzów, to wcale nie muszę jej oglądać. Czasem zasypiam zaraz po hymnie.

Mam problemy. Kilka lat temu, nawet nie wiem kiedy, przeszedłem udar i dlatego miewam kłopoty z pamięcią. Czasem zaczyna nagle drżeć mi ręka, a bywało tak, że trząsałem się cały. Neurolog mówi, że to właśnie z powodu tego udaru. Niewykluczone, że pojawił się dlatego, bo przepijałem leki.

Cześć, nazywam się Igor, mam 40 lat i jestem alkoholikiem. Powiedziałbym, że byłem, ale to podobno zostaje na całe życie i fakt, że nie piję od ponad dwóch lat, nie ma znaczenia. Jestem alkoholikiem, a byłem piłkarzem, dobrym piłkarzem. Lepszego nie znałem. Głupszego też nie. Bo przecież nie tylko pech, zwłaszcza pech do ludzi, sprawił, że tak się to wszystko potoczyło. Że wszystko przeje... Przesypałem. Że dziś czuję się czasami, jakby już żywcem zasypano mnie w grobie.

Cześć, nazywam się Igor, mam 40 lat i jestem alkoholikiem.

1. Lepszy od Lubańskiego?

Taaak, byłem zdziwiony, że wychodzę na murawę Old Trafford po to, żeby grać od początku, a nie tylko usiąść na ławce i spokojnie czekać na drugą połowę. Strachu nie czułem ani przez moment. Gdy trener Angelos Anastasiadis wyczytał moje nazwisko, gdy Krzysiek Warzycha potwierdził mi w szatni, że dobrze usłyszałem i że wyjdę w jedynastce, poczułem adrenalinę.

Jeśli spodziewałem się, że zacznę na ławce, to na pewno nie dlatego, że nie wierzyłem w siebie. Zawsze wierzyłem i zawsze byłem pewny swojego. Dwójkę napastników tworzyli jednak Gucio Warzycha i Nikos Liberopoulos, co sprawiało, że trafiałem często na lewą stronę pomocy. Obaj nie do ruszenia – pierwszy już był legendą, drugi – miał wszystko, aby legendą się stać. W klubie, ba, w całej Grecji wiązano z nim ogromne nadzieje, a wtedy dodatkowo walczył o wielki kontrakt. I było wiadomo, że go dostanie: jeśli nie w Anglii od sir Alexa Fergusona, to nowy – w Atenach. Nikos miał ogromny talent: świetny strzał obiema nogami, do tego technika, gra głową, instynkt pod bramką. Porządnie się zdziwiłem, gdy zobaczyłem go w składzie Greków podczas mistrzostw Europy w 2012 roku. Kilkanaście lat wcześniej nie czułem się od niego gorszy, wtedy razem graliśmy w Panathinaikosie, dużo starszy też nie byłem. On miał miejsce w ataku, bo był Grekiem, ulubieńcem publiczności i tylko tym wygrywał. Podczas Euro 2012 zagrał na stadionie Narodowym, a ja... no cóż, te mecze oglądałem w telewizji. W silnej reprezentacji Grecji wystąpił przecież 76 razy, a ja w naszej kadrze – zaledwie dwa i to towarzysko. Ale wtedy na murawę Old Trafford wyszliśmy obaj, ramię w ramię. I wiedziałem, że Nikos też się nie boi. Jak to mówiliśmy na Bałutach: nie pęka.

Pierwszy kontakt z Teatrem Marzeń był... dziwny. Wyszliśmy na rozgrzewkę, a na trybunach było może 3 tysiące widzów. Puchy. Gdy schodziliśmy do szatni, zebrało się może jakieś 6 tysięcy, a przecież to Liga Mistrzów, do cholery! W porządku, Panathinaikos to nie był Ajax Amsterdam, czy Juventus Turyn, ale za ogórków trudno było nas

uważać... Takie myśli przez moment pojawiły się w mojej głowie, ale szybko zniknęły i dobrze: kilka minut przed 20.45, gdy wychodził na mecz, kibiców słyszałem już na początku tunelu. Był komplet.

Grając na pozycji lewego pomocnika dawałem radę. Dokładnie tak: dawałem radę. To była dla mnie nowa pozycja, taka na której grywałem tylko kiedyś w juniorach ŁKS, ale wielkiego problemu nie miałem. Wszystko dzięki ojcu i mojemu pierwszemu trenerowi, Jasiowi Lirce, którzy po długich dyskusjach doszli do wniosku, że będę lepszym piłkarzem, jeśli stanę się... lewonożny. Spotkało się dwóch panów i ustalili, że będą młodemu robić na złość ... Każdy chłopak na treningu mógł grać, jak chciał, a jedenastoletni Igorek, zaledwie parę miesięcy po podjęciu treningów w klubie, mógł kopać piłkę tylko słabszą nogą! Wściekałem się, bo było mi bardzo trudno, ale nie miałem wyjścia, musiałem się przyzwyczaić. Trochę to trwało, aż wreszcie przyszedł trening, na którym coś nagle przeskoczyło w mojej głowie. Przestałem myśleć, którą nogą mam kopnąć, lewa zaczęła działać jak prawa. Zakaz gry prawą został zawieszony, a dla mnie od tego momentu nie było już różnicy, którą nogą częściej zagrywam. Jedyłą, ważną wprawdzie, ale jedyną pamiątką po prawej nodze, został taki dziwny zwód lewą nogą, po którym piłka trafiała na prawą, którą zawsze wolałem uderzać. Nie pamiętam, bym jakiegoś karnego strzelał lewą, bo, o ile nie miało dla mnie znaczenia, jak kiwałem, to bardziej wierzyłem w strzał prawą nogą.

Treningi... Nigdy ich nie lubiłem. Kochałem grać w piłkę, a nie znosiłem ćwiczyć jakichś dryblingów, podań, strzałów. To i tak zresztą był mniejszy problem – większy polegał na tym, że zupełnie nie akceptowałem ćwiczeń fizycznych. Oszukiwałem wszystkich trenerów jak mogłem, kiedy tylko kazali mi zrobić kilka przysiadów lub pompek. Jedyńm, którego oszukiwać nie próbowałem, był Jonas Thern, genialny szwedzki piłkarz, a potem trener, z którym miałem okazję spotkać się w Halmstad. Gdy wyciągał mnie z depresji i zostawał kilkadziesiąt minut po każdym treningu, chodziłem jak w zegarku. Sprint był wtedy prawdziwym sprintem, jak skłonów miało być dziesięć – było dziesięć, a nawet – jeśli nie byłem pewien, czy się nie

pomyliłem się w liczeniu – jedenaście. Czułem, że Jonas zna się na tym, co robi, że wie, co jest dla mnie dobre i... że chce mojego dobra. Szkoda, że tak mało spotkałem na swojej drodze ludzi takich jak On. Gdybym poznał Therna wcześniej, gdyby dane nam było – gdyby dane mi! – dłużej pracować w tym duecie, byłbym dziś obywatelem i zapewne reprezentantem Szwecji. Sypniewski i Ibrahimović w jednym zespole – to byłaby prawdziwa bomba! Myślę, że byśmy się dogadali.

Dopiero w Szwecji, gdy tamtejsze gazety zaczęły pisać o tym, że być może mógłbym reprezentować ich kraj, zrozumiałem po raz pierwszy, jakie życiowe szanse zmarnowałem. Jakim piłkarzem mógłbym być, gdybym trenował, zamiast pić. Gdybym słuchał mądrzejszych od siebie i nie odpuszczał kolejnych treningów. Za dużo numerów uchodziło mi płazem, więc kiedyś los musiał wystawić rachunek. Zrobił to na tyle późno, że nie miałem już czasu na spłatę tego kredytu z gigantycznymi odsetkami. Dopiero mając trzydzieści lat zrozumiałem, że samym talentem świata nie zawojuję i że to, co wcześniej wydawało mi się szczytem marzeń, mogło być zaledwie doskonałym punktem wyjścia do wielkiej kariery. Dopiero w Szwecji poczułem, że tak naprawdę w Panathinaikosie wcale nie byłem tak dobry, jak mógłbym być, a dziś myślę, że gdybym solidnie pracował i gdyby nie choroba alkoholowa, a potem depresja, która ostatecznie ściągnęła mnie na dno – grałbym w Hiszpanii. Być może do dziś.

Sporo rzeczy zapomniałem, wiele siedzi mi gdzieś w głowie, ale widzę je jak przez mgłę. Nigdy nie zapomnę, jak Jonas Thern wziął na bok mojego menedżera i przyjaciela, Bogdana Maślankę, by powiedzieć mu, że nigdy nie pracował z takim zawodnikiem jak ja, a Maślanka zaczął się śmiać:

– Przecież to widzę! Powiedziałem ostatnio Igorowi, że grałem w lidze polskiej wiele meczów przeciwko Włodzimierzowi Lubańskiemu i to jako kryjący go obrońca, że znałem doskonale Kazimierza Deynę. Obserwowałem też długo Zbyszka Bońka, gdy z Januszem Kupcewiczem decydowali o grze reprezentacji młodzieżowych. I żaden z nich, a to są największe nazwiska w polskim futbolu, nie miał takiego talentu jak Sypniewski – powiedział wtedy Maślanka i to wcale nie dla-

tego, że był moim menedżerem. Powtarza to każdemu, kto zapyta, do dziś:

– Sypek w dobrej formie był lepszy od Lubańskiego.

Dziennikarze szwedzkich gazet szybko zauważyli, kto trafił do ich ligi. Wszyscy pisali to samo: Kto to jest, skąd on się wziął, gdzie wyście wynaleźli tego Sypniewskiego?, a to Jonas obudził we mnie takiego człowieka i piłkarza, którego sam nie poznawałem. Albo inaczej: którego sam wcześniej nie znałem. Mówił: – Ty jesteś Igor Brazylijczykiem, a nie Polakiem! Grasz jak Zico.

Słuchałem i grałem. Jak umiałem. Czasem bardziej dla niego niż dla siebie, by odwdzińczyć się, że tak mi zaufał. Tam, w Szwecji, przeżyłem swoje najlepsze chwile.

Przyszły one jakiś czas po tych najgorszych. Zjazd nie zaczął się tak naprawdę w Grecji, skąd musiałem wrócić do Polski. Wtedy wszystko było jeszcze do opanowania. Po prostu przesiadłem się z luksusowego mercedesa do słabszego i mniej komfortowego samochodu – zresztą na chwilę tylko, tak mi się przynajmniej wydawało. Potem, po transferze do Wisły, znów dostałem do ręki kierownicę sportowej limuzyny i już na pierwszym zakręcie brutalnie wyrznąłem w drzewo. Wtedy poczułem, co to znaczy spadać na dno, bardzo szybko. Bo spадanie było krótkie, dużo krótsze niż babranie się później w mule, przekopywanie go, żeby sprawdzić, czy jest coś jeszcze niżej.

Właśnie w Krakowie zaczęła się depresja. Nie jakiś tam smutek, a poważna depresja. Choroba. Gazety pisały, ile to pieniędzy dostaje z ZUS-u, a przecież one mi się należały. Nie dlatego, że piję, ale dlatego, że jestem poważnie chory. Chociaż wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy.

W Krakowie nie tylko piłem – i to dużo. Dodatkowo wpadłem w hazard. W Wiśle szybko się zorientowali, że na treningi przychodzę zmęczony, więc postanowili rozwiązać ze mną umowę. Przez pięć lat miałem zarobić ponad półtora miliona euro, całkiem nieźle, prawda? Ale nie miał mnie kto przypilnować, nie miał się kto mną zająć. Choć wtedy to ja powinienem się kimś zajmować – moja życiowa partnerka, Gośka, była w ciąży..., a ja piłem, noce spędzałem w kasynach i pracowałem na to, by niebawem z milionera stać się zerem.

Dziś mogę Gośkę tylko przeproszać. Wszystko rozpieprzyłem.

Do kasyna nikt mnie na siłę nie ciągnął. Zdarzało mi się wcześniej zakładać, ale w takich zakładach majątku się nie straci. W Krakowie pierwszy raz w życiu zacząłem grać na poważne pieniądze. Ruletka wciągnęła mnie, jak jakiś wir, a że dodatkowo w głowie mieszała gorzała, często byłem tak pijany, że nie pamiętałem nawet, na jakie stawki grałem. Zarabiałem duże pieniądze, sporo zostało mi jeszcze z Grecji, więc żetonami rzucałem jak lizakami. I cieszyłem się z tego jak dzieciak, bez względu na to, co pokazało się na kole. W kasynie czułem się idealnie. Gdy już wszedłem, to wychodziłem dopiero, gdy zamykano – na szczęście przed treningiem. Pewnie gdyby było otwarte całą dobę, przestałbym chodzić na treningi, bo po co przenosić się z miejsca, w którym każdy cię lubi, podaje drinki i mówi, jaki jesteś fajny, do takiego, w którym nie czujesz się specjalnie akceptowany? I jeszcze każdy ma pretensje, że masz kaca, choć to przecież ciebie boli, a nie ich.

W Wiśle szybko się zorientowali, że zamiast gwiazdy i piętnastu bramek w sezonie, mają problem. Problem z Sypkiem. Wiedzieli oczywiście, że jestem dobrym piłkarzem, ale nie byli chyba świadomi, co tak naprawdę się ze mną dzieje. Trenerem był wtedy Franek Smuda i myślałem, że szczerze na mnie liczył. Rozmawiał ze mną. Próbował do mnie trafić. Jednak nie byłem typowym przypadkiem zagubionego piłkarza. Wtedy po prostu zupełnie sobie nie radziłem – ani z chorobą, ani z samym sobą.

Gośka, którą nazywam często moją drugą żoną, choć ślubu ostatecznie nie wzięliśmy, doskonale wiedziała, że wracając z treningu, przywiozę pod pachą przynajmniej pięć piw – bo szóste wypiję w samochodzie. Szybko je skończę i pójdę do sklepu po następną dawkę, a potem często wychodzę, by wrócić nad ranem, spakować się i iść na trening. Coś tam mówiła, trochę narzekała, ale nie potrafiła nade mną zapanować, w jakiś sposób wpłynąć. Pierwsza żona miała ze mną podobny problem, choć w innym wymiarze. Widziała młodego chłopaka, któremu alkohol sprawiał wielką frajdę. Tylko wtedy mi jeszcze ręce nie drżały i nie musiałem koniecznie się napić przed snem...

Problemy z zaśnięciem na trzeźwo zaczęły się chyba w Grecji. Upi-

jałem się dzień w dzień. Gdy grałem w Kavali, Magda, moja ówczesna narzeczona, jeszcze się uczyła i przyjechała do mnie tylko raz, a gdy wyjechała – poczułem wolność. Wtedy zdarzyło mi się po pijanemu wjechać w prywatny samochód policjanta. Z aresztu wyciągnął mnie grecki menedżer i szybko dał do podpisania kontrakt z Panathinaikosem. Cała akcja przebiegła tym łatwiej, że policjant był kibicem i podobno twierdził, że nie wybaczyłby sobie, gdyby przez niego – tak miał powiedzieć! – Sypniewski nie zagrał w kolejnych meczach.

Tak, czułem się bezkarny.

Wtedy pierwszy raz trafiłem do aresztu w Grecji, ale jak byłem młody, na komendzie bywałem kilka razy. Wychowując się na Bałutach, trudno nie mieć kontaktu z policją. Gdy miałem 17 lat, okradliśmy z kumplami jakiegoś gościa, zabraliśmy mu kurtkę i pieniądze. Wszystko działo się na naszej ulicy, na Sukienniczej. Byliśmy u siebie... Czuliśmy się niezniszczalni, a że alkohol szumiał w głowach, nawet nie pomyśleliśmy, że może nas rozpoznać. Ostatecznie wycofał zarzuty w stosunku do mnie, bo moja matka go uprosiła i przekonała, że „młody tylko się gapił, to ci starsi bili i kradli, co ten dzieciak mógł zrobić?”. Tłumaczyła, że przecież wszystko mam w domu, więc kraść nie muszę, a już na pewno nie kurtkę. Skończyło się na nocy w areszcie, a wcześniej wstydzie, gdy ze szkoły wyprowadzono mnie w kajdankach. Do dziś pamiętam tę sytuację, w której policja zgłosiła się do dyrekcji szkoły, by poprosić w środku lekcji o zabranie jednego z uczniów z obowiązkowymi bransoletkami na nadgarstkach. I to na znacznie dłużej niż 45 minut.

Incydent z aresztem i policją oczywiście mnie poruszył, ale nie na tyle, na ile powinien. Kilka tygodni wyrzutów ze strony rodziców, kilka dni wyrzutów, które sam sobie robiłem i wszystko wróciło do normy. Specjalnie się nie zmieniłem, pozostałem tym samym gościem, którym zresztą jestem do teraz. Bez troskim, niezastanawiającym się nad konsekwencjami swoich zachowań i niemyślącym o przyszłości. Zawsze liczyło się przede wszystkim „tu i teraz”. Jutra mogło nie być.

Tak samo było, gdy zacząłem grać i zarabiać. Wtedy całe osiedle chodziło razem ze mną pijane po wygranych meczach w Ceramicie Opoczno czy Orle Łódź. Lub po prostu wtedy, gdy wracałem na kilka

dni do kraju, zarabiając już za granicą. Kilku dobrych chłopaków z mojej ekipy już zresztą nie żyje, paru innych, jak ja, ma za sobą odsiadki. Trudno powiedzieć, żeby ktoś osiągnął wielki sukces...

Moja historia też nie opowiada o sukcesie. Owszem, będzie w niej sporo pięknych chwil, bramek i efektownych akcji, pojawi się też kilka gwiazd polskiej i europejskiej piłki, ale happy endu proszę się nie spodziewać. Chyba, że za taki uznamy sam fakt, że jeszcze żyję i już nie piję, choć moje dzisiejsze życie bardziej przypomina wegetację. Jednak, co by nie powiedzieć, znajduję powód do optymizmu.

Dobrze już było, bardziej niż dobrze. Cieszę się, że mam co wspominać z uśmiechem na ustach. Choć doskonale wiem, iż nigdy już nie poczuję smaku tamtych czasów.



2. Sypniewski, chłopak z Bałut

Kiedy zaczęły się moje problemy? Można powiedzieć, że mam je od urodzenia. Konkretnie od daty urodzenia. Urodziłem się 10 listopada, ale jeśli ktoś chciałby sprawdzić tę datę w wikipedii, czy nawet na stronach świetnej „Encyklopedii Piłkarskiej FUJI” okaże się, że z 10.11.1974 zrobił się... 11.10.1974. Podobnie było zresztą w wielu „Skarbach Kibica”, które wychodziły przed każdym piłkarskim sezonem jako dodatki do gazet... W momencie wyrabiania dowodu osobistego miesiąc urodzenia przesunięto mi w niewłaściwą stronę. Niewłaściwą oczywiście dla piłkarza, bo przecież zawsze lepiej być młodszym niż starszym i to nie tylko wtedy, gdy urodziłeś się w Afryce. Cóż, w tym przypadku szczęście mi nie sprzyjało, chociaż z drugiej strony... Dobrze, że urzędniczka nie przekreśliła siódemki i czwórki w roczniku, bo wtedy żaden klub by mnie nie wziął.

W momencie urodzenia miałem jeszcze jednego pecha. Po dziadku Ogłazie, ojcu mojej matki, odziedziczyłem daltonizm. Niby nie jest to poważna wada, ale wstydliva dla dziecka i... dość niekomfortowa dla piłkarza. Przede wszystkim dlatego, że najbardziej myliły mi się dwa kolory, z których jeden jest dość istotny, gdy biega się po boisku: nie rozróżniam zielonego i brązowego.

Zawsze umiałem doskonale odróżnić czerwone i czarne. Nie wiedziałem, na który kolor postawić w kasynie, najczęściej obstawiałem ten niewłaściwy, chociaż wiedziałem, który jest który. Z zielenią i brązem jest inaczej. Jeśli ktoś zaprowadziłby mnie w obce miejsce i pokazał dwa boiska, z których jedno byłoby brązowe, spalone słońcem, a drugie porośnięte świeżą zieloniutką trawą, nie wiedziałbym, które jest które. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie powiedziałem, bo najpierw bałem się śmiechu dzieciaków z mojej klasy, a potem kumpli z szatni. I udało mi się ukrywać to do dziś, choć przecież najpiękniejsze chwile kariery spędziłem w klubie z zieloną koniżynką w herbie. Grając w Panathinaikosie WIEDZIAŁEM, że mam na sobie zielony strój, ale WIDZIAŁEM wokół siebie kolegów ubranych na brązowo, biegających po brązowym boisku. Wiedzieli o tym tylko

moi rodzice. Mój daltonizm odkryła mama, gdy pamiętając o chorobie swojego ojca, kazała narysować małemu Igorkowi drzewo. To narysowałem – zielony pień i brązowe listki.

Gdy się rodziłem, nikt nie przypuszczał, że ten dzieciak będzie miał taki pogmatwany życiorys. Nieistniejący już szpital im. Heleny Wolf przy ul. Łagiewnickiej to dziś ruina, będąca przez pewien czas... rajem dla złomiarzy, którzy znajdowali tu nie tylko schronienie, ale także dużo żelastwa. W 1974 roku szpital wyglądał jednak niezwykle okazale, a jego przedwojenny gmach budził prawdziwy respekt. Właśnie ten budynek był świadkiem porodu, po którym na ulicy pojawiła się wynajęta przez szczęśliwego tatę cygańska orkiestra. Grali ponoć naprawdę głośno, gdy ojciec wziął mnie na ręce, podniósł wysoko i oznajmił wszystkim wokół:

– Mój syn będzie piłkarzem. Najlepszym na świecie. Zapamiętajcie te słowa i tę datę – Stefan opowiadał mi tę historię setki razy. Myślę, że gdyby za oknem nie było tak zimno, przekonałby lekarzy i pielęgniarki, że musi pokazać mnie grającym na ulicy Cyganom.

Bałuty, mająca swoją niechlubną legendę dzielnica Łodzi, dostała kolejną imprezę. Wtedy, tego listopadowego dnia, każdy kogo spotkał na swojej drodze mój ojciec, musiał świętować wraz z nim. Nawet, gdy orkiestra przestała już grać, bo jak długo można hałasować pod oknami szpitala.

Bałuty. Nie tyle Łódź, co właśnie Bałuty. Tu się urodziłem, tutaj wychowałem, stąd wyjechałem w świat. Tutaj teraz wróciłem. Bo Bałuty zawsze były we mnie, wraz z wpojonymi mi na podwórku zasadami. Że szanuje się starszych kumpli i że to młody biega po flaszkę; że masz być dumny ze swojego towarzystwa i ze swojego osiedla. Zawsze. To wszystko zostało we mnie do dziś.

Inaczej być nie mogło, ale przecież nawet nie próbowałem się z Bałut wyrwać – wręcz przeciwnie, zawsze wracałem tu z szerokim uśmiechem na twarzy. Wracałem do: kumpli, ulic, sklepów i skwerów, ze znajomymi ławeczkami lub betonowych boisk, gdzie kiedyś kopałem piłkę. Tam, gdzie życie płynie leniwie, nikomu nigdzie się nie spieszy. I gdzie dla wielu największym problemem jest ten, skąd wziąć pieniądze na kolejnego browara.

Gdy wracałem do Łodzi, dla moich kumpli ten ostatni problem mentalnie znikał. Jest taka piosenka chłopaka wychowanego właśnie tutaj. Nie umiałbym lepiej opisać tego, co czuję:

O.S.T.R – „Reprezentuj” z wydanego w 2007 roku albumu Hol-
łyódź

*Reprezentuj Bałuty jak masz dumę
Reprezentuj jak pijesz, czy częstujesz skunem
I nawet gdy odfruniesz, to dalej reprezentuj
Chuj mnie czy masz domek, czy pochodzisz z projektu
(..)
Czym jeździsz, gdzie robisz, ile masz z tego geldu
Co ruchasz, jak jesz, ile oblałeś semestrów
Reprezentuj co w sercu, Bałuty na zawsze
(...)
Pamiętaj gdzie Twój dom, Twoja oś, Twoje miasto
Brat, bo nieważne ile masz na koncie
Gdzie żyjesz, co pijesz, Bałuty reprezentuj godnie
(...)*

*Browar po browarze, aż się kurwa zważę
(...)
Reprezentuj Bałuty gdziekolwiek nie jesteś*

Piliśmy pod klatką z chłopakami, gdy nawinął się jakiś chłopak, miał może dwadzieścia pięć lat. Dziewczynę na Sukienniczej odwiedził. Miał pecha, bo nie jest to najlepsza ulica do mieszkania, a tym bardziej do łożenia samemu po zmroku, gdy nikogo się nie zna. Ten był normalny – wódkę postawił, gdy grzecznie poprosiliśmy. Chwilę pogadaliśmy, przy flasce, a potem jakoś szybko to wszystko poszło. Dostał porządnie, pewnie bez specjalnego powodu, dziś już nie pamiętam. Stracił kurtkę, czapkę „bejsbolówkę” i kasę, którą podzieli-
liśmy między siebie. Wszystko złożyło się na popularną u nas na osiedlu „dziesionę”, czyli artykuł 10 kodeksu karnego. Rozbój z kradzieżą.

Nawet specjalnie się nie zastanawiałem nad tym, co zrobiłem – robiłem to samo, co kumple. Nie pamiętam, czy się bałem, ale chyba niespecjalnie, bo o konsekwencjach swoich wybryków nigdy nie myślałem. Dlatego było dla mnie szokiem, jak mnie zwinęli, gdy policja – przepraszam, wtedy jeszcze milicja! – przyjechała po mnie do szkoły zasadniczej i przerwała pisanie klasówki. Powrót do domu był jeszcze trudniejszy niż wyjście z aresztu, bo dostałem lanie najpierw od matki, a potem od ojca i odczułem to bardziej niż podпиты chłopak, którego okradliśmy. Rodzice popłakali się, gdy zobaczyli, jak ich kochany syn idzie skuty w kajdankach, bez sznurówek przy butach, z komendy do prokuratury. Potem, gdy ochłonęli, złali mnie konkretnie, ale zadbali też, aby nikt w ŁKS nie dowiedział się, co zrobił ich najzdolniejszy junior poprzedniego wieczora i jak spędził noc. Hmm, brzmi znajomo, prawda?

Chłopak wycofał zarzuty w stosunku do mnie, bo przekonał go płacz mamy. Dlatego uniknąłem kuratora, pod którego pieczę trafili moi dwaj kumple. Wtedy było mi głupio – myślałem, że wolałbym ponieść taką samą karę jak oni. Czułem się nie w porządku, gdy matka długo tłumaczyła, że się tylko gapiłem, że na pewno nie uderzyłem, bo Igorek nie znosi przemocy... Przecież inaczej być nie mogło!

Do prokuratury Ilona przyszła razem ze Stefanem – często mówię do rodziców po imieniu – i dla obojga był to szok.

– Tamten to pierwszy łobuz Bałut, a mojemu synowi niczego w domu nie brakuje. To dobry, grzeczny chłopak – tak, krótko po moim zatrzymaniu, tłumaczyli wszystkim rodzice. Długo walczyli, ale milicjanci uparli się, że muszę spędzić noc w komisariacie przy Ciesielskiej i że z samego rana zostanę przeprowadzony do prokuratury. Nie pomógł nawet znajomy ojca, który pracował na tej komendzie. Stwierdził tylko, żeby się nie przejmować, bo przez noc będę miał dobrą opiekę i przynajmniej nic nie wywinę.

Czasy się zmieniały, ale ja – w żadnym wypadku. Niereformowalny. Niewyciągający wniosków z błędów. Bezkarne, jak mi się wtedy i długo potem wydawało. Nie zauważałem żadnych znaków, które dla innych byłyby jasne jak słońce i bijące prosto w oczy. Nawet gdy wróciłem do ŁKS i przychodziłem wstawiony na trening, miałem

wrażenie, że nikt tego nie widzi. Choć czasem wydawało mi się, że czuć ode mnie alkohol tak, że inni odwracają twarz, gdy ze mną rozmawiają – byłem zadowolony, bo nikt nie odważył się powiedzieć mi czegoś nawet w żartach. Każdy udawał, że nie ma problemu.

Wtedy, na Bałutach, byłem jeszcze do uratowania. Choć mama do dziś uważa, że wówczas jako dzieciak żadnego ratunku nie potrzebowałem. Twierdzi, że osiedle mnie zniszczyło, zaraziło swoim kiepskim charakterem. Mieszkamy razem, więc słyszę to często..., a przecież to nie do końca prawda. Zawsze mi taki styl życia odpowiadał i nie przez przypadek aż trzy razy musiałem zmieniać szkoły podstawowe.

Z tej najbliższej domu wyrzucili mnie, bo kradliśmy z dwoma kolegami butelki od mleka. Znaczy: tak to oceniono, że kradliśmy. Nam wydawało się, że znaleźliśmy dobry pomysł na biznes. Interes kręcił się jednak tylko dwa dni, podczas których zabieraliśmy spod sklepu skrzynkę lub dwie butelek i zanosiliśmy do skupu na ulicę Kowalską. Potem kumpli złapali, a ja, choć początkowo uciekłem, też szybko trafiłem na milicję. Gdy matka się o wszystkim dowiedziała, pierwszy raz w życiu dostałem pasem. To była czwarta klasa podstawówki, a do tego czasu moje wychowanie uznać można za „bezstresowe”, jak to się teraz określa.

Bity nie byłem, bo to nie było w stylu rodziców. Zresztą oni uważali, że mają bardzo dobrego syna, więc bić nie było powodu. Pamiętam, jak kiedyś ojciec chciał mi spuścić lanie, ale uratowała mnie nasza cętkowana bokserka, Saba. Położyła się na mnie i nie pozwoliła uderzyć, choć cała aż drżała ze strachu. Znalazłem ją kiedyś na ulicy i ubłagałem rodziców, by z nami zamieszkała, nie mając pojęcia, że była długo bita przez swojego właściciela. U nas znalazła przytulny dom aż do śmierci. Musieliśmy ją uśpić po wielu latach, gdy okazało się, że dopadł ją nowotwór. Traktowaliśmy jak członka rodziny i, zdaniem mamy, stanowiła chodzący dowód na to, że mam bardzo dobre serce. Bo przecież zanim przyprowadziłem Sabę do domu, oddawałem jej codziennie, idąc do szkoły, swoje kanapki. Potem, gdy już z nami zamieszkała, zawsze spała w moim łóżku. Gdy ją uśpiliśmy, czułem się, jakbym tracił młodszą siostrę...

Rodzice nie mieli ze mną lekko także dlatego, że ciągle wracałem do domu poobijany. Na chirurgii pobliskiego szpitala łądowałem jeszcze częściej niż w gabinecie szkolnej dyrekcji. Czyli naprawdę często.

Kiedyś uderzyła mnie w głowę pani na świetlicy, nie mogła już ze mną wytrzymać, taki byłem nieznośny – głowa rozcięta, matka zrobiła świetliczance potężną awanturę. W efekcie nikt nie zapytał, za co dostałem. Świetliczanka oberwała od mamy znacznie bardziej, niż ja od niej.

Pewnego razu chciałem strącić z drzewa jedną, jedyną gruszkę – rzucony w nią kamień tak się odbił, że głowa znów była szyta. Pamiętam jeszcze, jak koledzy mnie podpuścili i wsadzili na dach niewielkiego garażu. Uciekli, gdy ktoś zaczął nadchodzić i ich pogonił, a mnie zostawili. Musiałem schodzić sam i tak schodziłem, że spadłem prosto na cegły. Głowa znów rozbita...

Innym razem rozrabialiśmy z kolegami na Kircholu, bardzo ładnym, choć zaniedbanym cmentarzu żydowskim, położonym oczywiście na Bałutach. Była zima i jakoś tak się zdarzyło, że latały między nami nie tylko śnieżki, ale także kamienie. Jednym dostałem prosto w usta. Gdy wróciłem do domu miałem rozchylone wargi i tak spuchnięte dziąsła, że nie było widać zębów – tak przynajmniej wspomina tę historię mama. Podobnie jak to, że zawsze miała przygotowane pieniądze i moje książeczki zdrowia, żeby chwycić je (gdy tylko wrócę poobijany) i biec na przełaj do ulicy Warszawskiej, gdzie był najbliższy postój taksówek. Wtedy jednak, gdy wróciłem przekrwiony – mama opowiadała mi to wielokrotnie – pierwszy raz straciła głowę. Najpierw kazała mi usiąść i poczekać, aż zrobi mi herbatę, potem ją wypić. Gdy nagle dotarło do niej, jak wygląda jej syn, pobiegła ze mną w szlafroku do taksówki, by szybko zawieźć na ostry dyżur. Znów miałem szczęście, bo trafiłem na chirurga plastycznego. Gdyby dyżur miał jakiś inny, do końca życia zostałbym z zajęczą wargą. I wyglądałbym... Hmm, wyglądałbym słabo. Zaraz po zabiegu lekarz, który mnie operował, wypisał zlecenie dla kierowcy karetki, żeby mnie nikt nie zobaczył po drodze do domu.

Kolejny wypadek zdarzył mi się na łyżwach. Wtedy chciałem przekonąć kumpli, że potrafię szybko jeździć do tyłu. Wyrznąłem w lód

tak, że pod okiem wyrosła mi... druga głowa. Pani doktor nie wierzyła, że to możliwe. Od razu skierowała na prześwietlenie.

Tak, moja karta u chirurga wyglądała pokaźnie. Organizm miałem silny, wszelkie choroby omijały mnie szerokim łukiem, ale czas, który zaoszczędziłem internistom, odbierałem z nawiązką u chirurgów. W życiu nie łamałem sobie tylko nóg.

Z jednego z treningów wróciłem na przykład z gorsetem na szyi, a z innego z... otwartym złamaniem ręki, przy samym łokciu. Zajmowała się mną wtedy ciocia Tosia, siostra taty. Nawet nie zauważyła, jak po cichu przeszedłem do swojego pokoju i położyłem się spać. Dopiero w nocy okazało się, że mam 40 stopni gorączki... Taksówka, ostry dyżur, dwugodzinna operacja pod narkozą i szloch matki, gdy głośno ją wołałem, kiedy mnie usypiano – taka była kolejność zdarzeń. Lekko ze mną mama nie miała. Nie ma do dziś.

Ojciec starał się nie opuszczać żadnego z moich meczów i to nie tylko w juniorach, ale także później: w trzeciej lidze, drugiej, a nawet w pierwszej, gdy wróciłem do Radomska i byłem już przecież samodzielny, dwudziestosześcioletnim gościem. Znali go wszyscy z drużyny seniorów i dziennikarze. Ci ostatni prosili nawet często o komentarz do gazety, albo zabierali Stefana na mecze wyjazdowe. Był przy mnie, albo wręcz ze mną przez całą karierę, od początku do końca. I trudno dziś stwierdzić, czy stało się dobrze, czy źle, widocznie tak być musiało, aby ktoś nade mną czuwał. Nie można też powiedzieć, że to była nadopiekuńczość, albo że mi zaszkodziła. Na ten temat musiałby się wypowiedzieć psycholog, podaję tylko fakty. Ojciec nie nadzorował mojej kariery – on był jej częścią.

Zajmował się nią w takim samym stopniu, czuwał nad nią z taką starannością i interesował się każdym jej szczegółem jak... matka moim życiem. Z dzisiejszej perspektywy można stwierdzić, że podzieliли sobie te wszystkie lata, albo pozwolili, by samo się to dokonało: przed futbolem opiekowali się mną wspólnie (ewentualnie na zmianę, bo przecież później byli w separacji); Sypkiem – piłkarzem zajął się ojciec, a zmarnowany i schorowany Igorek wrócił pod skrzydła matki.

Ilona bardzo szybko przestała chodzić na moje mecze. Do piętnastego roku życia byłem jednym z najmniejszych chłopców na boisku

i mama bardzo się bała, że ci więksi mnie pokopią, bądź stanie mi się krzywda. Ale na boisku wytrzymywałem każdy ból. Gdy inni odrabiali lekcje, tłukłem piłką o mur na podwórku i wykorzystywałem każdą okazję, by zagrać ze starszymi. Nogi miałem spuchnięte, nie było chyba na nich miejsca bez siniaka, ale nigdy nie odpuszczałem. Wsłizgów też się nie bałem robić i to bez względu na to, czy graliśmy akurat na ładnej murawie w rozgrywkach młodzieżowych (zdarzały się takie gdzieś na wioskach, bo juniorzy tych bardziej znanych klubów w regionie grali raczej na placach zwanych „Saharami” i trawy tam nie było), czy na jakimś rżysku albo ubitej ziemi. Mały byłem, to musiałem nadrabiać zawziętością. I techniką oczywiście: techniką, której uczył mnie ojciec, choćby wtedy, gdy rzucał mi piłkę z balkonu, z czwartego piętra. Dobrze przyjąłem – dostawałem cukierka, źle – nagrody nie było. Czasem zastanawiam się, czy właśnie wtedy nie zacząłem stawać się hazardzistą. Potencjalna nagroda rosła bowiem systematycznie, z każdą rzuconą i dobrze opanowaną piłką, ale i straty bywały potężne, bo błąd techniczny oznaczał utratę całego zestawu słodczy. Zamiast cukierka widziałem się więc już z wygraną tabliczką czekolady, gdy nagle po technicznym błędzie, nie miałem nawet łyka oranżady.

Stefan wymyślił morderczy system, który jednak wtedy bardzo mi się podobał. Zwłaszcza, kiedy moja technika była już na tyle dobra, że pozwalała sporo wygrać. Treningi procentowały i nawet jako dzieciak szybko to zauważałem. Gorzej, że w życiu dorosłym bardzo zakłóciłem swoje postrzeganie. Nie zauważyłem, że w kasynie, choć też można wygrać lub przegrać, treningi nic nie dadzą. Tam gra się toczy na innych zasadach.

Zawziętość, chęć wygrywania, nie minęły mi, gdy w zawodówce w szybkim tempie urosłem 20 centymetrów. Rodzice opowiadają, że łatwo było mnie wtedy rozpoznać na boisku. Stałem w rozkroku, trzymałem się za boki i patrzyłem, węszyłem, jakbym szukał zwierzyny i próbował po zapachu stwierdzić, gdzie polecą piłka – tak mi to wiele razy opisywali. Często wyczuwałem ten moment, to miejsce. Instynktownie. Tak było już w podstawówce, a raczej w trzech podstawówkach.

3. Być jak Krzysztof Surlit

Zaczynałem w „trzydziestce”, potem była SP 72, wreszcie sportowa klasa, w której uczył Jan Lirka, w SP 159. Ta szkoła znajdowała się na Polesiu, czyli dzielnicy, w której nikt z szalikiem zaczynającym się i kończącym na kolorze czerwonym, by się nie zapuścił. Tu obowiązywały tylko barwy biało-czerwono-białe, te należące do ŁKS.

Do dziś w okolicy Alei 1 Maja, jak szumnie nazwano wąską ulicę, pełną starych, szarych i, co bardzo charakterystyczne dla centrum Łodzi, zaniedbanych kamienic, wiele się nie zmieniło. Poza tym, że mojej szkoły już nie ma: kilka lat temu została zlikwidowana. Wtedy jednak gwarantowała wysoki poziom nauczania... futbolu. Nas, w klasie sportowej, inne przedmioty specjalnie nie interesowały.

Zamiast lekcji wychowania fizycznego mieliśmy rano trening na obiektach ŁKS, oddalonych o kilka przystanków autobusowych. Z Bałut było tam daleko i dojazd zajmował mi naprawdę dużo czasu, więc po piątej klasie przeprowadziłem się do ojca na Koziny. Rodzice byli po rozwodzie, a ja właśnie u Stefana, skąd miałem bliżej na ŁKS, spędzałem cały tydzień, by do Ilony jeździć na weekendy. W wieku dwunastu lat moje życie znacznie się zmieniło, choć niezmienny pozostał charakter dzielnicy, do której się przenieśliśmy. Tu też się piło, a fakt, że pierwszego piwa spróbowałem, mając dziewięć lat, nikogo nie zaskakiwał. Dziwne byłoby raczej, gdybym w szóstej klasie nie napił się z ekipą z podwórka.

Na Bałutach, będących największą dzielnicą Łodzi, kibice Widzewa i ŁKS się mieszają, jedni i drudzy mają swoje tereny i argumenty, że to oni „rządzą” konkretnym osiedlem. Na Kozinach nie ma takich wątpliwości. To nie byłoby dobre miejsce do życia i mieszkania, gdybym zaczął swoją przygodę z innym klubowym futbolem. Gdybym zaczął od Widzewa.

Fakt, że na pierwszy w życiu trening – taki prawdziwy: w klubie, z panem, który miał mówić co i jak mamy ćwiczyć – pojechałem na ulicę Niciarnianą, 200 metrów od stadionu Widzewa, może być szokujący dla kibiców ŁKS. Ba, sam w to nie do końca wierzę i niezbyt to

rozumiem, ale... tak było. Coś tam pamiętam z tej długiej jazdy autobusem na drugi koniec miasta i z późniejszych nieudanych zajęć, ale całą historię dobrze przypomniał mi dopiero ojciec. Niebywałe, jak niewiele brakowało, żebym został graczem później znienawidzonego klubu, a na derbach, przeżywanych zapewne równie intensywnie, jak zawsze, zasiadał za przeciwległą bramką. Kto wie, może nawet krzesła wyrywałbym parę lat temu z trybun obiektu przy Al. Piłsudskiego, a nie z naszej „Galery” przy al. Unii? W porządku, to ostatnie zdanie wcale nie jest śmieszne.

Jako dzieciak pojechałem więc z ojcem na Widzew, pełen dziecięcych marzeń o treningach, wiodących prosto na szczyt. Chciałem być drugim Bońkiem, zrobić wielką karierę. Martwiłem się, czy zdam testy i czy mnie przyjmą do klubu, choć ojciec mówił, że jestem najlepszy i poradzę sobie bez problemu. Rzeczywistość okazała się brutalna. Od trenera, który miał poprowadzić zajęcia czuć było alkohol, więc ojciec nie pozwolił mi się nawet przebrać w sportowy strój. Wziął mnie za rękę i na tym się zakończył mój kontakt z jednym z bocznych boisk Widzewa. Byłem zrozpaczony.

Potem ojciec zabrał mnie na ŁKS, gdzie szybko zapisano mnie do drużyny. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że na osiedlu nie przyznałem się na początku, gdzie trenuję. Odkąd miałem dziewięć lat i poszedłem z tatą na mecz Widzewa, gdzie zobaczyłem jak Krzysztof Surlit strzela gola z ponad 25 metrów, nie dając szans Jackowi Kazimierskiemu, a potem cały stadion świętuje wygraną 3:1 z Legią, byłem pewien, że kiedyś zagram w takiej pięknej czerwonej koszulce. Opowiadałem każdemu, że ci wszyscy ludzie za parę lat będą skandować moje nazwisko, tak jak teraz Surlita, który strzelił wtedy dwa gole. Aż tak bardzo się nie pomyliłem, przecież ponad 20 lat później trybuny na Widzewie głośno krzyczały „Sypniewski”. Tyle że był to prawdziwy pokaz nienawiści podczas derbów Łodzi, a cały okrzyk brzmiał tak: „Ch... ci na imię, Sypniewski, ch... ci na imię”.

Gdzieś w zakamarkach pamięci siedzi mi jeszcze inne spotkanie z dzieciństwa, Widzew – Ruch. Klub, któremu wtedy tak bardzo kibicowałem przegrał 0:2, a jakiś wściekły kibic wyrzucił za siebie flagę. Zabrałem tę flagę do domu, a była rewelacyjna, miała chyba 2 metry

na 3. Wychodziłem z nią nawet czasem na podwórko aż do momentu, gdy... komuś ją dałem. Tak wyglądała moja, znana naprawdę nielicznym, widzowska przeszłość. Później nigdy się do niej nie przyznawałem.

Od momentu, gdy przeprowadziłem się do ojca na Koziny, uczyłem się kopać piłkę w ŁKS i szybko poznałem nowych kumpli. Cóż, alkohol zbliża, nawet gdy nie ma się jeszcze piętnastu lat. Ciągnie do swego... Właśnie tam poznałem tych, z którymi potem trzymałem się przez całe lata, z którymi oblewałem pierwsze ważne wygrane i przepijałem pierwsze zarobione pieniądze. Zawsze ich zresztą szanowałem i do dziś tak zostało. Ten szacunek nie uleciał. Stara bałucka gwardia zawsze będzie trzymać się razem.

Wiem, że niektórzy z chłopaków mają pretensję o kilka wywiadów, w których powiedziałem, że nigdy nie potrafiłem im odmówić i że to ich obecność sprawiała, że wracając do Łodzi, wracałem do gorzały lub piwa, ale... Tak było Chłopaki. I ja nie mam o to do Was pretensji – pamiętajcie o tym, jeśli czytacie tę książkę, albo jeśli ktoś Wam ten fragment pokazuje. Sam tego chciałem, tego mi zawsze brakowało. Miałem problem z sobą, a nie z Wami.

Weekendy spędzałem u matki na Bałutach i tam chodziłem na pierwsze dyskoteki. „Deon” to klub, w którym ostro tańczyłem i który pamiętam lepiej niż niektóre piłkarskie, w których grałem. Pierwsze piętro w Towarzystwie Krzewienia Kultury Fizycznej przy ul. Wspólnej. Prawda, że dobrze brzmi?

W któryś weekend tak przesadziłem – nadal jesteście przed moimi piętnastymi urodzinami – że dostałem od mamy szlaban na niedzielę. Musiała iść do pracy, więc zamknęła mnie w domu. To było trzecie piętro, ale szybko wymyśliłem, że dam radę przejść po murze do koleżanki z klatki obok. Tej drogi nigdy się nie bałem i podobnie postępowałem, gdy byłem już dorosły, a matka zamykała mnie nie w mieszkaniu. W jednym pokoju i to wcale nie za karę, ale po to, żebym nie poszedł na wódkę. Zanim Ilona się zorientowała, już schodziłem po parapetach na trawnik, a potem do spożywczego. Alkohol, chęć wypicia – to byli dla mnie jedyni i bezbłędni przewodnicy.

W czasach, gdy mama zamykała mnie w pokoju, a ja nie czułem się

na siłach wychodzić na parapet, stosowałem także metodę „na sznurku”. Przywiązywałem banknot i opuszczałem na dół, a któryś z chłopaków szedł do sklepu i chwilę później przywiązywał z drugiej strony butelkę browarka. To było już po karierze, ale w momentach, gdy jeszcze chciałem wrócić na boisko i wierzyłem, że szybko wyjdę także z tego dołka. Fakt, że drogi „po sznurku” i „po balkonach” nie były właściwymi, nie przeszkadzała mi deklarować, że „teraz już zmądrzałem”, „wrócę silniejszy”, „mam dla kogo żyć i grać”. Takich wywiadów udzieliłem przynajmniej kilkunastu. I wierzyłem w nie w momencie ich udzielania, wierzyłem całym sobą. Byłem przekonany, że one dodatkowo zmotywują mnie, by wytrwać w abstinencji.

Te nadzieje były oczywiście płonne, bo do abstinencji nie mogła mnie zmotywować nawet śmierć bliższych lub dalszych znajomych. Ba, nawet perspektywa własnej śmierci! Lekarze ostrzegają, że wszywkę nie da się przepić? Że grozi to zatrzymaniem akcji serca? Nie wierzcie. Ale, zaklinam Was na wszystko, nie sprawdzajcie. Przekonacie się na kolejnych stronach tej książki, że nie warto, zobaczycie na moim przykładzie, czym to grozi.

Mam takiego przyjaciela, Roberta. Poznałem go na Bałutach, podczas jednej z prób wyjścia z nałogu. Kojarzył mnie jako piłkarza i tak zaczęła się ta znajomość z ulicy. On też miał problem z alkoholem i też obecnie nie pije. Taka bratnia dusza, idealnie się rozumiemy. Czasami rozmawiamy, ilu dobrych chłopaków z Bałut i Kozin już nie ma. Zmienia się otoczenie, remontowane są ulice, ale charakter tych dzielnic i ludzie, którzy przestają w bramach lub siedzą wieczorami na skwerkach, są niezmiennie. Starsi odchodzą, młodzi przychodzą. I robią te same błędy, ten sam bałagan w swoich życiorysach, nawet nie próbując się stąd wyrwać. Choć jestem ostatnią osobą, która może udzielać im wskazówek i świecić przykładem.

Rok temu zmarł jeden z kumpli, z którym wiele wypilem. Inny dobry kolega, Bodziu, gdzieś zaginał. Gdy miałem pieniądze, cały czas trwała u mnie balanga, często razem piliśmy. Parę lat temu, akurat wtedy, gdy wyjechałem na Krete, Bodzia znaleziono nieprzytomnego. Nie wiadomo, czy sam się przewrócił, czy ktoś mu wtukł... Zadzwo- niła do mnie koleżanka z informacją, że coś mu się stało, wtedy zasta-

nawiałem się nawet, czy nie wracać – takie to były więzi. Zresztą Bodzia to nawet mama lubiła, bo jego nie lubić się nie dało. Potężny basior, który nigdy nie dał słabszemu krzywdy zrobić. Zawsze mogłem na niego liczyć. Oczywiście także wtedy, gdy zamierzałem przepić większą gotówkę lub wrzucić ją do maszyny. Wspominałem już, że więcej pieniędzy przegrałem niż przepiłem?, a przepiłem naprawdę sporo.

Były takie wakacje, w które każdy mój dzień wyglądał tak samo i nie był to obraz nakreślony przez trenera w indywidualnych planach treningowych. Poranek oznaczał delikatne śniadanie (albo jego brak, bo jedzenie na pewno nie było tym, co zaprzętało moją głowę) i szybkie spotkanie ze wspomnianym Bodziem albo Majtkiem, drugim kumplem z Bałut. Potem piwo po drodze na Piotrkowską, szybka wizyta w kantorze i... jeszcze szybszy kurs do „Tip Topu”. Otwierali o 10.00, najczęściej byliśmy pierwsi.

„Tip Top” to był taki mały salon gier przy ul. Traugutta, kilkadziesiąt metrów od Piotrkowskiej. Trafiłem tam po fatalnym zakończeniu pobytu w Krakowie, gdy próbowałem się odnaleźć w życiu, gdy przynajmniej częściowo minęły mi stany lękowe. I to było bardzo dobre miejsce – przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Nie myślałem o strachu przed ludźmi i demonami spod Wawelu, które prędzej czy później musiały mnie dopaść. Myślałem, czy obracające się szybko symbole zatrzymają się we właściwej kolejności, wskazując choćby jedną parę, a najlepiej karete, czyli nie dwie, a cztery takie same karty. W salonie moje problemy stawały się nagle bardzo małe. Tymczasowo rzecz jasna.

Jeśli chodzi o finanse, to wówczas coś tam jeszcze zostało z mojego gigantycznego kontraktu w Wiśle, wypłaconego ostatecznie tylko w niewielkiej części. Niewiele, bo niewiele, ale zawsze. Jeszcze przed transferem pilotujący go menedżer Adam Mandziara namówił mnie, żebym założył konto w Szwajcarii i tam trzymał przynajmniej trochę pieniędzy, więc tak właśnie zrobiłem. Teraz przyszedł czas na jego rozwiązanie.

Nie było to wcale takie proste, bo konto było na hasło, więc najlepiej byłoby po prostu pojechać do Zurychu. Należało jednak znać też

niemiecki, tak na wszelki wypadek. Na szczęście miałem w Berlinie kuzyna, który zgodził się pomóc. Wziąłem go więc do samochodu po drodze do Szwajcarii, a potem bez problemu wyczyściłem konto. Pięćdziesiąt tysięcy euro to nie jest dużo pieniędzy, przynajmniej objętościowo. Łatwo weszło do kieszeni, na granicach nie mieliśmy żadnego problemu. Mały kłopot pojawił się w Łodzi, bo przecież do banku z taką sumą się nie pójde – nie chciałem, by ktoś zapytał mnie, skąd nagle mam taką kasę. Wymyśliłem, że schowam ją w mieszkaniu na Kozinach, w... tapczanie u ojca. Prywatna kasa, w której banknoty euro leżały owinięte w pościel, wydawała mi się doskonała. Przede wszystkim była dyskretna i szybko dostępna. Bardzo szybko dostępna, o każdej porze dnia i nocy.

Do ojca wolałem nocą nie chodzić, więc najczęściej do tapczanu zaglądałem rano, w drodze na Traugutta. Paczka po paczce banknoty trafiały do mojej kieszeni, a potem na ladę kantoru, by wreszcie, już jako złotówki, wpadać do maszyny. Pięćdziesiąt tysięcy euro. Tyle przegrałem w niespełna dwa miesiące, zastanawiając się za każdym razem, czy wypadnie choćby para dam, bo od takich dwóch kart na licznikach była wypłata. Wiem, że inni piłkarze przegrywali nieporównywalnie poważniejsze sumy w znacznie krótszym czasie, ale była jedna istotna różnica – oni byli wtedy gwiazdami i zarabiali setki tysięcy. Ja byłem bezrobotny. Oni grali za wysokie stawki, ale też dużo zarabiali i mieli jakieś perspektywy, chodzili do kasyn, gdzie byli gośćmi ze złotymi kartami. Ja chodziłem do małego saloniku w towarzystwie kumpli z osiedla i nie zastanawiałem się nawet, czy jeszcze kiedyś podpiszę jakiś kontrakt, czy będzie mi dane kopnąć piłkę tak, by ktoś chciał za to zapłacić.

Mieszkałem wtedy z Goską w wynajętym mieszkaniu na Inflanckiej i nie dało się nade mną zapanować. Kierowniczka „Tip Topu” sugerowała, żebym nałożył na siebie zakaz gry. Zostawiałem tyle kasy w jej salonie, niemniej żałowała mnie i tego jak postępuję. Nie była to jednak możliwość, którą poważnie rozpatrywałem. Nawet nie grałem po to, żeby wygrać, odegrać się... Po prostu musiałem grać i raz po raz wciskać ten cholerny przycisk. Chciałem też, by czas zleciał mi wśród ludzi, a nie samotnie w domu. W czterech ścianach depresja jest

w ogóle nie do zniesienia. Z chwilowym pozyskiwaniem pieniędzy nie miałem żadnego kłopotu. Każdy, kto choć kilka razy był w kasynie i albo dużo przegrał, albo jest spostrzegawczy, wie, że nie brakuje tam facetów, którzy ani nie grają, ani dużo nie piją. Oni zarabiają. Tylko oni i właściciel lokalu są wygrani w tej grze.

Goście z „Tip Topu” bardzo chętnie pożyczali mi pieniądze. Można powiedzieć, że stała do mnie kolejka. Byłem dobrym klientem, takim z gatunku idealnych. Znany, czyli nie ucieknie. Regularnie bywający, czyli ktoś, kto nie zrezygnuje nagle z ukochanego życiowego zajęcia dla paru marnych, w swoim pojęciu, groszy. Gdybym raz nie oddał kasy – nie mógłbym przyjść następnego dnia, więc... było pewne, że oddam. I oddawałem, jeśli poprzedniego dnia mi zabrakło. To, co pożyczyłem, plus trzydzieści procent. Rajba, tak nazywa się taki procent. Jeśli wziąłem dziesięć tysięcy złotych, następnego oddawałem bez szemrania trzynaście i... gdy tylko była taka potrzeba, gdy chwilowo zabrakło mi pieniędzy, znów pożyczałem. Często nawet więcej niż dzień wcześniej. I tak się to kręciło.

Te zmieniające się karty mam przed oczami do dziś. As, król, dziesiątka, dama... Tak w kółko, przez cały dzień. W pokera zawsze wstukiwałem najwyższą stawkę, bo przecież „kto gra grubo, wygrać musi”. Pięćdziesiąt złotych za uderzenie w przycisk. Bęc. Pięć dych. Bęc. Kolejne. Bęc. Jest para, a więc i druga szansa: podwajamy, czy wypłacamy? Bęc, próbujemy. Nie ma trzeciego króla. Pięć dych. Bęc... I tak cały dzień. Czasem oczywiście udawało się trafić coś poważniejszego, ale myśli o przerwie w graniu nikt nie dopuszczał. Wypłacić 10 tysięcy, gdy straciło się 15? Mowy nie ma. Wypłacić 15, gdy włożyło się wcześniej dychę?, a gdzie tam, idzie, więc trzeba grać dalej. Do spodu. Do dna, a nawet jeszcze głębiej. W „Tip Topie” poważną wadą był fakt, że nie sprzedawano alkoholu, ale mnie i Boddziowi to nie przeszkadzało. Albo inaczej: brak piwa by przeszkadzał, ale my przynosiliśmy swoje, kupione w Żabce tuż obok. Nikt oczywiście złego słowa nam nie powiedział, gdy piliśmy sobie z własnych puszek. Zostawiając w tym czasie grube pieniądze... Dlatego pod tym względem lepsze są kasyna. Tam czujesz się królem świata: jesteś w wielkim świecie, kulka cicho skacze obok ciebie, ładne kelnerki do-

noszą ci darmowe drinki lub po prostu czystą wódkę albo piwo. Zwyczaj brałem piwo. Przegrywasz dziesiątki tysięcy i dużą część swojego życia, ale nawet o tym nie myślisz, bo przecież gorzała jest za darmo. Dobra, w odpowiedniej temperaturze, a ruletka tak fajnie szumi...

Moje uzależnienie od hazardu zaczęło się jeszcze w dzieciństwie. Jak większość tego, co istotne w moim życiu na Bałutach. Pięćdziesiąt metrów od wyjścia z klatki bloku przy ul. Sukienniczej stała buda, w miejsce której powstał potem sklep Społem. W budzie stały zaś flippery, czyli bardzo wtedy popularne elektroniczne stoły z dużymi wyświetlaczami i efektownymi kolorowymi blatami, pełnymi grzybków, między którymi obijała się metalowa kulka. Jeden żeton dawał trzy próby, a zadaniem grającego było nie przepuścić kulki do bramki. Niewinna w sumie zabawka łatwo uzależniała. Tym bardziej, że gra toczyła się na pieniądze – już jako ośmiolatek grałem więc o kolejny żeton: dwóch najlepszych zarabiał, dwóch słabszych płaciło. Tam przynajmniej można było wygrać.

Przy tych elektronicznych stołach nauczyłem się palić, kupując papierosy za część pieniędzy, które dostałem od matki lub ojca na „zabawę” na automatach. Oj, jak to wszystko wciągało... Bardziej niż piłka, z której w pewnym momencie, jako dzieciak, zrezygnowałem, bo treningi u Jasia Lirki przestały mi się nagle podobać. Stefan dowiedział się o tym. Trener i kilku rodziców chłopaków z zespołu przyszli do domu przekonywać mnie, żebym wrócił. Jakoś przekonali. Znow zacząłem chodzić na treningi i bawiłem się piłką. Flipperów przez pewien czas też nie odpuszczałem.

Grałem ze starszymi i łatwo dawałem się podpuścić, nie tylko do gry. Z opowieści matki znam historię, jak osiedlowa starszyczna nie miała czym popić wódki, więc wysłali mnie do sklepu, żebym coś dla nich ukradł. Na początek bułkę, taką zwykłą kajzerkę. No to poszedłem i bułkę wyniosłem, ale nawet do głowy mi nie przyszło, żeby ją schować. Ekspedientki, które mnie znały, pozwoliły mi wyjść, myśląc, że jeść się dziecku zachciało na podwórku... Matka była zszokowana, ponieważ zapytały ją, czy na pewno karmi syna i czy wszystko u niej w porządku. W domu pełna lodówka, codziennie obiad

z dwóch dań, a tu grozi mi milicja albo zgłoszenie do opieki społecznej, bo bułkę kradnę ze sklepu... Kiedyś próbowałem też wynieść jakiś dezodorant, chyba po to, żeby zaimponować starszym kolegom. I też mnie złapali, drygu do kradzieży nie miałem.

O tym, że miałem dobrą opiekę i to nie warunki w domu określiły moją przyszłość, niech świadczy historia z pewnej zimy. Wybraliśmy się z dwoma kolegami na łódź na stawach w Łągiwnikach, pobliskim kompleksie leśnym. Igraliśmy wtedy z losem, bo już po pierwszej tafli ledwo przeszliśmy, ale chcieliśmy spróbować, jak wiele wytrzyma kolejna. No i pękła... Cudem się wygramoliliśmy na brzeg, a potem autobusem wróciliśmy do domu – oczywiście do nas, bo na moją matkę można było zawsze liczyć. Załamała się i przeraziła, ale skutecznie ogrzała pościelą z całego domu te posągi lodowe, które stanęły w drzwiach...

Tych historii z dzieciństwa jest naprawdę wiele. Gdy miałem jedenaście lat coś mi się w domu nie spodobało i uznałem, że warto będzie ukarać mamę. Zniknąłem więc z domu na noc, przespałem się u kumpla, a cała rodzina w popłochu mnie szukała. Dopiero następnego dnia wysłałem do mamy kolebę z wypisaną na karteczce wiadomością, że wszystko u mnie w porządku, żeby się nie martwić. Mama już nie wypuściła posłańca i wydusiła z niego, gdzie się ukryłem. Powrót z ucieczki, rzecz jasna, miły nie był, bez lania się nie obeszło. Tak jak wtedy od matki nie dostałem nigdy. Przynajmniej w dzieciństwie, bo potem, gdy wyciągała dorosłego synka z korkociągu, kilka razy po twarzy mi dała. Ale zasługiwałem: tak wtedy, jak i później. Nie byłem bity pasem, ale zdarzało się, że Ilona chciała mi przyłożyć ścierką, a gdy już nie mogła ze mną wytrzymać, czasem wręcz kopnąć. Jednak od dziecka umiałem unikać wślizgów i kopnięć, więc gorszą karą była ta od ojca – dodatkowe godziny czytania. Nienawidziłem siedzieć nad książką.

Nauka była dla mnie tragedią i szczerze mówiąc już bym wolał dostawać pasem, a teraz na naukę jest już za późno. Przede wszystkim na naukę życia.

SPORT

WYWIADY
To on zasługuje
w bramce Legii
Fabianiakiego
12.09.2007

ZASAJĄCE WYZNANIE IGORA SYPNIEWSKIEGO

**zaszyłem się,
ale nie pomogło**

Były reprezentant Polski przegrywa z
alkoholem. Przeszył zaszywkę i pił dalej.

Był reprezentantem Polski, a teraz...
W tym wywiadzie Igor Sypniewski opowiada o swoim życiu, o trudach gry w Legii, o problemach z alkoholem, o tym jak zaszywał się igłą, o tym jak nie pomogło to w walce z uzależnieniem. W wywiadzie Igor Sypniewski opowiada o swoim życiu, o trudach gry w Legii, o problemach z alkoholem, o tym jak zaszywał się igłą, o tym jak nie pomogło to w walce z uzależnieniem.

inne wpadki Sypniew

W październiku 2002 roku Igor Sypniewski został wykluczony z gry w Legii za to, że zaszywał się igłą. W tym wywiadzie Igor Sypniewski opowiada o swoim życiu, o trudach gry w Legii, o problemach z alkoholem, o tym jak zaszywał się igłą, o tym jak nie pomogło to w walce z uzależnieniem.

40 SPORT

Spowiedź Igora Sypniewskiego

**Spadłem na dno,
ale wstane!**

W tym wywiadzie Igor Sypniewski opowiada o swoim życiu, o trudach gry w Legii, o problemach z alkoholem, o tym jak zaszywał się igłą, o tym jak nie pomogło to w walce z uzależnieniem.

**KAPLA
SKOPILOWANA
Jak lekkoatletyka
daje markę**
12.09.2007 20-22



**32 SUPER
express**

SPORT

**IGOR SYPNIEWSKI BĘDZIE
ŚWIAT ZZA KRAT**

Syn, tata i dziadek

Bez Igora Sypniewskiego trudno wyobrazić sobie drużynę LKS. Czy w jego
śladzie pójdzie kiedyś syn Kacper? Zapewne jego dziadek, Stefan, nie miałby nic
przeciwko temu.

FOT. MARCEK KONIĄK



wybryk

W tym wywiadzie Igor Sypniewski opowiada o swoim życiu, o trudach gry w Legii, o problemach z alkoholem, o tym jak zaszywał się igłą, o tym jak nie pomogło to w walce z uzależnieniem.

4. Podania od Wieszczyckiego

– A w ataku Igor Sypniewski – usłyszałem nagle 8 sierpnia 1993 roku. Czekałem na ten komunikat, marzyłem, by wreszcie go usłyszeć, ale gdy się rozległ, byłem zaskoczony. Trwała piąta kolejka sezonu pierwszej ligi, a ja, choć dwa razy siedziałem w czasie meczów na ławce rezerwowych, piłkę na boisku kopałem tylko podczas rozgrzewki w przerwie. Nie wszedłem nawet na minutę, ale nie dziwiło mnie to – przecież nie miałem nawet 19 lat, dopiero zaczynałem grać. W kadrze Łódzkiego Klubu Sportowego nie brakowało zaś poważnych na tamte czasy nazwisk.

W bramce stał Andrzej Woźniak, w obronie grali Marek Chojnacki, Dzidek Leszczyński i Grzesiu Krysiak, a w pomocy startujący do wielkiej kariery, świetnie wtedy rokujący olimpijczyk z Barcelony Tomek Wieszczycki... Siedziałem więc na ławce licząc, że uda mi się wejść w którymś z meczów choćby na chwilę, gdy nagle na odprawie w szatni usłyszałem jak trener Ryszard Polak wymienia moje nazwisko. W pierwszym składzie! Myślałem, że się przesłyszałem albo że to jakiś żart. Dokładnie tam samo pomyślałem osiem lat później w szatni Manchesteru United, gdy trener wyczytał moje nazwisko i kazał grać na Davida Beckhama. Teraz miałem zagrać u boku moich idoli, a krzyczeć po błędach miał na mnie sam Grzesiek Krysiak, czyli piłkarz bardzo przeciętny, ale mający niesamowity charakter. To przecież pod jego adresem jeszcze wiele lat później trybuny skandowały: „Grzesiek, nasz chuligan!”. On też jak nie grał, potrafił wejść do kibiców na Galerę i śpiewać wraz z nimi. Wtedy jednak grał.

Szatnia piłkarska to bardzo specyficzne miejsce, w którym trzeba poruszać się bardzo ostrożnie, jak po polu minowym. Niewłaściwy krok może kosztować cię nawet życie, czyli brak przyszłości w zespole – bo kto wytrzyma ciągle docinki i dopisywanie do jakiegoś zdarzenia kolejnych historyjek, w które z czasem każdy zaczyna wierzyć? Takiego wejścia na minę miałem doświadczyć, ale dopiero dziesięć lat później. Na razie byłem jeszcze bardzo czujny, więc szybko przyjrzałem się twarzom starszych kolegów: malowało się na nich zdziwie-

nie, ale nie chęć śmiechu. Czyli naprawdę miałem wyjść w jedenastce i sprawić, że ŁKS nie zaliczy kolejnego, trzeciego już, meczu bez strzelonej bramki.

Graliśmy wtedy z Miliarderem Pniewy, klubem z małej miejscowości, który wszedł do pierwszej ligi. Później takie przypadki się zdarzały, przez ileś lat grała przecież w lidze Amica Wronki, czy Odra Wodzisław, ale Pniewy były pierwsze. Ktoś kiedyś żartował, że przemianowany na Miliardera dawny Sokół był symbolem wejścia biznesu w świat piłki. Żartował, ale miał sporo racji. W nowej, wolnorynkowej Polsce mogliśmy przekonać się, że za pieniądze w piłce można kupić wszystko. Także zespół, który zagra w pierwszej lidze.

Na rozgrzewkę wyszedłem spięty, ale nerwy szybko puściły. Zawsze zresztą tak miałem, nawet gdy grałem najważniejsze mecze na wielkich stadionach, że o stresie zapomniałem równo z gwizdkiem. Teraz też tak było. Zanim rozległ się gwizdek sędziego, spojrzałem jeszcze na trybunę, gdzie siedział ojciec. Wiedziałem, że od momentu, gdy dowiedział się, że jestem w pierwszym składzie, denerwował się bardziej ode mnie.

Moje wejście na boisko spełniało największe marzenie ojca – zobaczyć syna w poważnej drużynie grającego w poważnym klubie. Choć nazwa naszych przeciwników nie budziła specjalnego respektu, to jednak była tam grupa naprawdę dobrych piłkarzy. Utkwił mi w pamięci taki silny czarnoskóry obrońca, Norman Mapeza, który później przeniósł się do bardzo mocnej drużyny – Galatasaray Stambuł.

Liczyłem, że w debiucie pomoże mi Tomek Wieszczycki, który, choć był starszy ode mnie tylko o trzy lata, miał już w ŁKS wypracowaną pozycję. Lubiliśmy się wtedy – ten kontakt, jako jeden z nielicznych, przetrwał do dziś – więc przed meczem poprosiłem go żartobliwie o jakieś dobre podanie, żebym mógł się pokazać. I Wieszczu starał się z tego wywiązać, bo rzucił mi ze dwie szybkie piłki, trzecią dorzucił któryś z obrońców. Były aż za szybkie. Biegłem do każdej, żadnej nie dogoniłem i... odcięło mi prąd. Spuchłem. Myślałem, że to będzie granie jak w juniorach, a tymczasem nie nadażalem. Sytuację pogarszał fakt, że tata siedział na trybunach i było mu przykro, gdy

widział, że zwyczajnie nie dają rady, a przecież powinienem, umiejętności miałem wystarczające. To był czas sprawdzianu, czy miało sens w dzieciństwie wielogodzinne kopanie o mur, aż puchły nogi, z czego tata był dumny, a co załamywało mamę; teraz miały zapocentować te wszystkie przyjęcia, rzucające z balkonu piłki... Nic z tego. Próbowałem walczyć, ale tylko pogarszałem sprawę. Powiedziałem sobie, że złapię oddech w przerwie i pokażę wszystkim, co potrafię w drugiej połowie, ale... nie wiedziałem, co mnie czeka.

Najgorsze miało dopiero przyjść. W 36. minucie zobaczyłem jak Marek Łopiński, kierownik drużyny, trzyma w górze tabliczkę z moim numerem, a obok niego stoi Mariusz Gałaj – też napastnik, mający znacznie mniejsze umiejętności, niż ja, ale kilka lat starszy i mający lepszą pozycję w zespole... Krew podeszła mi do twarzy, schodząc z boiska musiałem być cały czerwony. To był wstyd jak cholera i to nie tylko dlatego, że zmieniał mnie ligowy rzemieślnik, sprowadzony do klubu z Sieradza kilka sezonów wcześniej, piłkarz jakich były wtedy setki. Po prostu w świecie piłkarskim nie ma nic gorszego, niż zostać przez trenera złowionym na wędkę jeszcze przed przerwą – w tamtych czasach, gdy szkoleniowcy mieli tylko dwie, a nie trzy zmiany do dyspozycji, to się właściwie nie zdarzało.

Spuściłem głowę i zszedłem za linię. Na boisku ŁKS-u była wtedy wokół murawy szeroka, żużlowa bieżnia, więc do przejścia miałem kawałek. Gotowało się we mnie, zbierało na płacz. Czułem, że są ludzie na stadionie, którzy się ze mnie śmieją i tacy, którzy wściekają się, że „młody” nie dał rady i osłabił zespół. Szczęśliwie byli też tacy, którym zwyczajnie zrobiło się przykro:

– Nie martw się, Igor, następnym razem na pewno będzie lepiej – cały stadion usłyszał głos stadionowego spikera, a kibice jakby zmienili nastawienie i brawami dodali mi otuchy. Udało mi się nie popłakać.

Gdy wieczorem wypłem piwko i jakoś sobie przetłumaczyłem, że nie ma co się tym wszystkim przejmować, odzyskałem humor. Siedząc pod sklepem z kolegami z osiedla znów się uśmiechałem, bo – jak w dzieciństwie – mówili do mnie „Mongol” albo „Eskimos”. Wszystko przez to, że gdy szeroko się uśmiechałem po bramkach strzelonych na

szkolnym boisku, moje oczy robiły się skośne, a że śmiałem się często...

Przed nieszczęsnym debiutem w ŁKS musiałem przejść tzw. chrzest. Ta tradycja wśród piłkarzy powoli dziś zamiera, albo przyjęcie do drużyny jest normalniejsze, ale w tamtych czasach było to coś podobnego do „fali” w wojsku. Zasady też były zbliżone – „chrzest” polegał głównie na tłuczeniu młodych po tyłku. W ŁKS szczególnie był bolesny, bo jak Andrzej Woźniak przyłożył mi swoją wielką łapą, to przez chwilę w oczach zobaczyłem świeczki. Nie miałem szans nawet się ruszyć, gdyż „Pajda”, czyli Darek Nowacki trzymał mnie mocno za pochyloną głowę, ale ból był taki, że pamiętam go do dziś. Oprócz lania były też mniej bolesne, ale za to bardziej wstydlive zadania: niektórym chłopakom starsi kazali na przykład pokazać na stole, jaką pozycję seksualną najczęściej wybierają ze swoimi dziewczynami. Ja miałem lekkie zadanie – zaprezentować, jak będę cieszył się z gola. Gdy kilkanaście lat później w Polkowicach, już po powrocie do ŁKS, wreszcie coś strzeliłem w ukochanych barwach, przypomniałem sobie ten chrzest. Na radość po bramce musiałem więc trochę poczekać...

W ŁKS zaliczyłem też jeden zimowy obóz w górach, który zapamiętałem z kilku powodów. Świetnie się wtedy integrowałem ze starszymi piłkarzami, bo mieli podobne gusta jak ja: od piwa lepsze są tylko... dwa piwa. „Nie pijesz – nie grasz. Pijesz – może zagrasz”, słyszałem często, a że piłem sporo, szansę na wyjście na boisko oceniałem wysoko. Wydawało mi się, że starszyzna zaczyna mnie akceptować.

Najlepiej rozumiałem się z Wieszczem, ale czasem nawet on nie mógł mnie uratować przed burą od tych, którzy wtedy decydowali o obliczu ŁKS. Jeden prosty przykład: gdy trener, chyba był to Andrzej Pyrdoł, zarządził marszobieg po górach, postanowiliśmy z Wieszczem nieco skrócić dystans. Poszliśmy więc inną drogą, wersję „marsz” preferując nad „bieg” i korzystając z zalet znacznie krótszej trasy. Niestety, wypatrzyła nas reszta drużyny, od której na początku czujnie się oderwaliśmy... Ochrzan od wściekłego Witka Bendkowskiego zebrałem jednak tylko ja, bo Wieszczu już grał w lidze i wszyscy bardziej go szanowali. On był cwaniakiem i zyskał pochwały,

a ja leserem, który oszukiwał, choć przecież zrobiliśmy to samo. Wi-tajcie w klubie.

Do Tomka spore pretensje miał długo mój tata, ale ja do dziś nie wiem, czy racja była po jego stronie. Ojciec wciąż uważa, że ten mój fatalny debiut nie był przypadkowy i że to wcale nie ja zawałam. Premie dzielono wtedy według minut gry, starsi kumple trzymali się razem, więc... rozumowanie Stefana było proste: wtedy, 8 sierpnia, chcieli Igora zagotować. Sprawić, że nie będzie zabierał miejsca w składzie komuś z ich paczki. Niby więc do mnie podawali, ale tak, żebym nie doszedł do piłki, a jedynie sobie pobiegał. Jako debiutant biegać musiałem, bo inaczej stadion by mnie wygwizdał, a trener by się wściekł, plan był więc doskonały.

Nie chce mi się w to wierzyć, ale jednego argumentu ojca zbić nie umiem: w ŁKS mieliśmy naprawdę dobrych piłkarzy i złe długie podanie mogło im się przytrafić raz, ale nie trzy razy w ciągu pół godziny. Tamte wyglądały jakby były idealnie mierzone. Tak, żebym musiał ruszyć za piłką pełnym gazem, a jednocześnie, by trochę mi do niej brakowało. Nie za mocne i nie za słabe – oczywiście jeśli weźmiemy pod uwagę nie ich celność, a skuteczność w realizacji planu, który rozpracował Stefan. Za tym, że ma rację, mógł też przemawiać fakt, że miejsce w jedenastce stracił z mojego powodu Jarek Dziedzic, najlepszy kumpel Tomka, a na mojej pozycji grywał też inny lubiany w drużynie chłopak, Jacek Płuciennik. Ten sam, który parę lat później zginął tragicznie w wypadku samochodowym...

Gdy pytam dziś Tomka Wieszczyckiego o tamten mecz, wersji mojego ojca nie potwierdza. Nie pamięta, żeby coś takiego miało miejsce i raczej mu wierzę. Choć... Gdyby taki plan był, zadziałał doskonale, bo więcej prawdziwych szans w ŁKS nie dostałem i w tamtym sezonie nie pojawiłem się już na boisku.

Przed odejściem do Ceramiki Opoczno w ŁKS rozegrałem w sumie... czterdzieści siedem minut – do trzydziestu sześciu w meczu z Miliarderem półtora roku później dorzuciłem jedenaście w spotkaniu z Górnikiem Zabrze. W tym drugim meczu miałem małe starcie z Tomaszem Hajto, któremu już w pierwszej akcji założyłem siatkę, więc błyskawicznie mnie wyciął i coś jeszcze zabluznił na temat „gno-

ja, któremu się wydawało...”. Kiedyś, lata później, dokładnie to samo zrobiłem mu na treningu na zgrupowaniu reprezentacji. O „gówniarzu” nic już wtedy nie powiedział, ale znów był wściekły. Nie cierpiał żartów z siebie, ale jako piłkarza bardzo go lubiłem. I ceniłem, bo takich twardzieli jak on, mających na dodatek wysokie umiejętności, szanowałem zawsze.

Gdy moja przyszłość w ŁKS nie rysowała się w różowych barwach, chętnie przystałem na propozycję przenosin do Ceramiki Opoczno. Wcześniej jednak musiałem odsłużyć wojsko w Orle Łódź i zanotowałem bardzo dobry sezon. Wiadomo, w trzeciej lidze, ale jestem pewny, że w pierwszej też zasługiwałem na więcej szans w klubie, którego jestem wychowankiem. Czy mam żal? Mam. I nie ukrywam tego.

Przez lata uważałem, że ŁKS mnie nie doceniał, chociaż Antoni Ptak, który już wtedy był szefem klubu, miał podobno inne zdanie. Szefowie Ceramiki opowiedzieli mi kiedyś na jakimś zakrapianym spotkaniu, gdy języki się rozwiązały, że kilku działaczy ŁKS musiało namawiać Ptaka, żeby sprzedać mnie do Opoczna. Mówili, że nic ze mnie nie będzie, że nie będę piłkarzem. Ciekawe, czy pan Antoni przypomniał sobie tę sytuację, kiedy grałem w Lidze Mistrzów.

W Orle na boisku prezentowałem się bardzo dobrze, ale – jak to ja – sprawiałem kłopoty wychowawcze. Piłkarze, którzy odsługiwali wojsko w takim klubie nie mieli tak dobrze, jak w Legii Warszawa, Śląsku Wrocław, czy choćby Zawiszy Bydgoszcz, bo oprócz treningów mieliśmy też normalną służbę. Na której raz się nie pojawiłem.

Zawieruszyłem się gdzieś po Nowym Roku i szukała mnie nawet żandarmeria wojskowa. Odwiedzili moich rodziców, bo syn przepadł, jak kamień w wodę. Wszyscy się denerwowali, a ja, nieświadomy konsekwencji, spokojnie siedziałem u kolegi. Normalne, impreza się przeciągnęła. O kilka dni...

Sądziłem, że nic strasznego się nie stanie, gdy nieco się spóźnię, ale wyszła z tego gruba afera i dostałem tzw. ancel, czyli więzienny areszt. Później dowiedziałem się, że przeszedłem do historii polskiej obronności, bo stałem się pierwszym piłkarzem w historii, który trafił za wojskowe kraty. I nie było mi łatwo.

Siedziałem w sumie tylko dziesięć dni, ale za to codziennie budzili mnie o piątej rano, zabierali materac i zamykali składane łóżko – na kłódkę, bo wynosić im się nie chciało! – żebym w ciągu dnia nie mógł sobie poleżeć. Łóżka oddawali, a raczej otwierali, dopiero o godz. 22.00, więc przez cały dzień trzeba było sobie jakoś radzić. Najczęściej leżałem więc na podłodze albo siedziałem na taborecie, który był jedynym dostępnym meblem w celi.

Gdyby nie ten ancel, wojsko wspominałbym bardzo dobrze. Mieszkałem w domu, a w mundurze musiałem stawić się w jednostce o godzinie ósmej. Dwie godziny później był trening, a potem zadawali nam jakieś proste prace. Głównie w tamtym czasie grabiłem liście, a przed 15.00 mogłem już iść do domu. To był duży przywilej, bo moi kumple z podwórka czas pobytu w wojsku mieli zupełnie inny, ten czas wyjęto im z życia. Pod tym względem piłkarze na pewno mieli lepiej. Wojsko dbało o swoje kluby sportowe, nawet te trzecioligowe. W Orle byłem wyróżniającym się zawodnikiem, więc miałem jeszcze lepiej niż inni. Żyć, nie umierać.

Gdy w pewnym momencie groził nam spadek z trzeciej ligi, po wojskowej linii ściągnięto kilku chłopaków z pierwszoligowego wtedy Zawiszy i się utrzymaliśmy. Załatwił to Edward Potok, wcześniejszy i późniejszy szef Orła, który był też prezesem klubu z Bydgoszczy. Rzeczowy gość, zależało mu na tym, żeby Orzeł miał silną drużynę. Niedawno bez powodzenia kandydował na stanowisko prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Dzisiaj są inne czasy, kiedyś pewnie miałby duże szanse.

Po służbie w Orle wracałem do ŁKS, by udowodnić, że się nadaję. Nie udało się, z różnych powodów. Dziś czasem przeglądam notatki z pierwszych lat spędzonych w ŁKS, a mam ich dużo, bo ojciec przez całą moją karierę – od pierwszego meczu w zespole dzieci aż do samego upadku w więzieniu – zbierał wszystkie wycinki z gazet na mój temat.

Gdy byłem dzieciakiem, kazał mi wpisywać do dużego notatnika wyniki meczów, w których grałem. Pierwszy wpis, z 11 października 1985 roku, był pełen emocji. Dziś, gdy to się czyta, widać chłopaka, który kochał grać w piłkę i miał wielkie marzenia.

„Jutro debiut z PTC Pabianice na wyjeździe, dostałem koszulkę z numerem 13, trener powiedział, że zagram w pomocy” – dokładnie to napisałem rozpoczynając wielkie archiwum, zbierane przez tatę każdego dnia. Jestem mu za to bardzo wdzięczny i czasem do tego wracam. Mogę wspominać, że nie zawsze grałem o wielkie pieniądze, czasem o komplet mazaków, jak w turnieju w 1986 roku, ale zawsze chciałem wygrać. No i przypomnieć sobie, że derbowy pech, który prześladował mnie przez całe życie, rozpoczął się w lidze trampkarzy, gdy na piaszczystym boisku przy ul. Niciarnianej w meczu z Widzewem, dwa razy trafiłem w poprzeczkę. Mało? W rewanżu pierwszy raz w życiu doznałem kontuzji zrywając przyczepy mięśnia dwugłowego. Tego wszystkiego nie wiedziałbym, nie pamiętałbym, gdyby nie tata i jego archiwa.

W tych zbiorach są momenty zarówno śmieszne, jak i radosne, ale nie brakuje także fatalnych. Nie zaglądam do segregatorów z tych ostatnich lat, gdzie ojciec – pewnie ze wstydem i bólem – wpinał artykuły o moich problemach z prawem. Ale szacunek za to, że je tam umieszczał – chciał mieć pełną historię syna...

„1988 rok, mecz Metalowiec – ŁKS w lidze trampkarzy. 0:25. Strzeliłem dziewięć goli.”

Fajnie poczytać.

Igor Sypniewski oskarża Adama Mandziarę:

Mój problem to menedżer

Igor Sypniewski (27 år) är en av de mest talangfulla spelarna i världens fotboll. Men hans framgångar har blivit stoppade av en man som heter Adama Mandziara. Sypniewski säger att Mandziara har varit en problematisk menedżer som inte har gjort något för att hjälpa honom att nå sin fulla potential. Han säger att Mandziara har varit en stor del av hans problem som spelare och som person. Sypniewski säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred. Han säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred. Han säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred.



Nu eller aldrig!
Här kommer den nya bilen som kommer att revolutionera bilbranschen. Den är snabb, stilig och har alla de senaste tekniska lösningarna. Den är den bästa bilen du kan köpa idag. Den är den bästa bilen du kan köpa idag. Den är den bästa bilen du kan köpa idag.



Elin & Tigers nya lyxleksak
Elin & Tigers har utvecklat en helt ny lyxleksak som är både stilig och praktisk. Den har alla de senaste tekniska lösningarna och är den bästa leksaken du kan köpa idag. Den är den bästa leksaken du kan köpa idag. Den är den bästa leksaken du kan köpa idag.

SPORT

ONSDAG 14 JULI 2004

Igor Sypniewski gripen av polis

Förre MFF-stjärnan i fyllerbråk
Igor Sypniewski - som till slut lämnade Malmö FF - har nu blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan.

Förre MFF-stjärnan i fyllerbråk
Igor Sypniewski - som till slut lämnade Malmö FF - har nu blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan.

Närst stjärnan Malmö FF
Sypniewski har varit en av de mest talangfulla spelarna i världens fotboll. Men hans framgångar har blivit stoppade av en man som heter Adama Mandziara. Sypniewski säger att Mandziara har varit en problematisk menedżer som inte har gjort något för att hjälpa honom att nå sin fulla potential. Han säger att Mandziara har varit en stor del av hans problem som spelare och som person. Sypniewski säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred.

BLA VTE. Igor Sypniewski, som tidigare har spelat för Malmö FF, greps av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan. Sypniewski har blivit gripen av polis efter ett fyllerbråk i Polisskolan.

Nu...

Katowick zaczyna

14

- Jag hoppas få Sparkade Sypniewski talar ut: Jag förstår Malmö, felet är mitt

Igor Sypniewski talar ut om sin situation i Malmö FF. Han säger att han förstår Malmö och att felet är hans eget. Han säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred. Han säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred. Han säger att han har varit tvungen att gå till domstol för att få Mandziara att lämna honom i fred.



Sypniewski hotar Malmö FF

Anser att avskedandet var fel: Jag är sjuk och vill att MFF tar hand om mig

Igor Sypniewski hotar Malmö FF. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

Arbetslösa spelare
Igor Sypniewski säger att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är arbetslös och vill att Malmö FF tar hand om honom.

De säger att jag är sjuk
Igor Sypniewski säger att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom. Han säger att han anser att avskedandet var fel och att han är sjuk och vill att Malmö FF tar hand om honom.

5. Równy z Sotomayorem

– Daję sobie obciąć obie ręce, że u mnie Igor nie pił – takie oto zdanie trenera Witolda Obarka, który ściągał mnie w 1995 roku z ŁKS do Ceramiki Opoczno, przeczytałem kilka lat temu w „Przeglądzie Sportowym”. Cóż mogę powiedzieć... Chyba tylko to, że dobrze się stało, że trener ostatecznie tych rąk pod nóż nie podłożył. Bo, jak mówił bohater jednej z polskich komedii, „już by ku... nie miał ręki”.

Tak sobie myślę, że trener – bardzo zresztą sympatyczny i szczerzy facet – powiedział to na użytek dziennikarzy, bo przecież doskonale wiedział, że nie radzę sobie z alkoholem. Nie tylko wiedział – był pierwszym, który nie udawał, że nie zauważa mojego nałogu i który postanowił mi jakoś pomóc. Kiedy spostrzegł, że coś jest ze mną nie w porządku, postanowił namówić ojca, by zabrał mnie na spotkanie Anonimowych Alkoholików.

To było prawie dwadzieścia lat temu. Gdybym wtedy przestał... Ech...

Zebrania AA być może mają sens, nie będę się upierał, że nie, ale na mnie zupełnie nie działały. To zresztą bardzo traumatyczne przeżycie i nie lubię mówić o tym, co przeżyłem wtedy tam, wśród tych ludzi. Niby do mnie podobnych, ale wtedy wydających się mi kimś z zupełnie innego świata. Mało było sytuacji w życiu, w których czułem się bardziej głupio. Wstydziłem się mówić do tych obcych osób wokół mnie. Opowiadałem, przerywałem, podłamywałem się, wahałem, kłamałem... Nie wiedziałem, jak i po co opowiadać, że się upiłem, że brałem udział w jakiejś awanturze czy też, że znowu urwał mi się film... Wyobraźcie sobie, że macie usiąść nagle przed gromadą nieznajomych i powiedzieć: „Nazywam się Igor i jestem alkoholi-kiem”, a później opowiedzieć najbardziej wstydlive momenty swojego życia. Uczestnicy terapii bardzo szybko wyczują, gdy ktoś ściemnia. Ale jeśli uznają, że mówisz prawdę, to nagradzają cię brawami. Nie dostałem oklasków ani razu. Widownia milczała, bo wiedziała, że nie mówię całej prawdy. Na tę zdecydowałem się dopiero teraz i cieszę się, że nie muszę tego opowiadać, patrząc w oczy czyteln-

kom. Zwyczajnie mi wstyd.

To naprawdę cholernie trudne otworzyć się przed kimś, kogo znasz, a co dopiero przed kompletnie obcymi ludźmi. Albo jeszcze gorzej: przed takimi, którzy mogą znać ciebie. Wielką gwiazdą wtedy nie byłem, ale kibice już mnie kojarzyli. I tacy też tam przychodzili, słuchali..., a i tak nie byłem w najgorszej sytuacji, bo zdarzyło się ponoć, że nauczycielka próbowała otworzyć się na grupie, w której był jej uczeń. Tak opowiadali znajomi z tych spotkań.

Wtedy, będąc zawodnikiem Ceramiki, kilka razy poszedłem na spotkanie AA głównie po to, żeby dostać anticol, czyli taką tabletkę, która pomaga nie pić. Moment jej rozdawania był jednym z najbardziej wstydlivych podczas całego spotkania, bo odbierając trzeba się było przedstawić. Podchodziłem więc do prowadzącego, mówiłem: „Sypniewski” i odbierałem tabletkę. U lekarza musiałem też podpisać papier, że brać to będę na własną odpowiedzialność i że jak jednak zaryzykuje, to o ewentualny wylew albo zawał nie będę miał do nikogo pretensji. Jedynie do siebie.

Anticol wymyślony jest znakomicie. Rozpuszczasz to w wodzie, wypijasz jednym haustem i... boisz się pić gorzałę. To właśnie działa w ten sposób, jak wszywka pod skórę – ma cię wystraszyć przed alkoholem. Ma sprawić, że będziesz patrzył na butelkę piwa i bał się po nią sięgnąć. Jeśli w życiu alkoholika przychodzi taki moment, w którym mimo brania anticolu ręka i tak ucieka po wodę, to problem jest już ogromny. Bo na spotkaniach AA każdy dowiaduje się, co będzie się działo, jeśli jednak złamie reguły i dane sobie samemu słowo. Powtarzają ci tam jedno: nie chcecie wiedzieć, jak czuje się człowiek, który próbuje przepić anticol. Nie próbujcie, to naprawdę boli.

Pamiętam kilka sytuacji, w których chciałem się napić i rezygnowałem. I pewnie rezygnowałbym dalej, gdyby któregoś dnia kumpel nie powiedział mi, że anticol można jednak przepić, byle tylko nie przejmować się chwilowym spadkiem nastroju. Tacy Wujkowie Dobra Rada zawsze byli dla mnie niczym eksperci, ich sugestie realizowałem błyskawicznie. Także i tym razem zrobiłem, jak powiedział kumpel.

Szybkie zakupy, potem operacja, której bałem się coraz mniej, a ra-

czej coraz bardziej na nią czekałem. Przecież byłem bez alkoholu już wystarczająco długo. Trzy piwa i dwie setki wódki wypilem błyskawicznie, nie chciałem się zawahać. Jeszcze szybciej zrobiłem się czerwony jak burak i już za moment czułem się, jakby mnie sparaliżowało. Miałem wrażenie, że wybuchnę, nie byłem się w stanie ruszyć. Zacząłem się trząść, myślałem, że ze mną koniec...

Przeszło mniej więcej po godzinie. I mogłem pić dalej. To oczywiście nie pozostawało bez wpływu na moje zdrowie. Ba, jestem pewien, że udar, który miałem kilka lat temu, spowodowany jest m.in. właśnie tym. Anticol w połączeniu z alkoholem rozwala wątrobę i się je spustoszenie w organizmie. Dziś to wiem i teraz już nigdy w życiu nie wypiłbym gorzały po zażyciu tego leku. Ale wtedy... Wtedy kole-dzy spod sklepu byli dumni, że tak sobie poradziłem. Znów byłem jednym z nich.

Anticol pojawiał się w moim życiu jeszcze nie raz. Ojciec przywoził mi go nawet do Kavali, by pomóc zapanować nad życiem i karierą. W języku alkoholików branie takich leków nazywa się zakładaniem kagańca. Czasem innej rady po prostu nie ma, ale wtedy nie chciałem jeszcze tego przyznać. Myślę, że dopiero w Panathinaikosie zrozumiałem, że jestem już po drugiej stronie rzeki. Denerwowałem się wtedy, gdy przyjechała żona i suszyła mi głowę, opowiadała, jak się jej żyło z ojcem alkoholikiem. Ale i to puszczałem mimo uszu, a ona się uspokajała, gdy otwierałem szufladę pełną pieniędzy i przekony-wałem, że alkoholik nie mógłby zarabiać takiej kasy.

– Kto by mi wtedy tyle zapłacił za grę w piłkę – pytałem i śmiałem się, otwierając kolejne piwo. Ale zaczynałem już rozumieć, że jestem taki sam, jak ci, którzy wtedy, podczas spotkań AA przy ulicy Gdańskiej w Łodzi, mówili, że są alkoholikami i w to wierzyli..., a Magda... Straciła trochę życia z takim, jak ja. Pieniądze tego nie wynagrodzą.

Chodząc na spotkanie grupy AA grałem jednak nie w Atenach, a w Opocznie. Ceramika w tamtym czasie miała duże parcie na sukces, a grosza jej nie brakowało, bo przecież sponsorem klubu były słynne na całą Europę zakłady produkujące płytki i kafelki. Jeden z ówczesnych szefów firmy, pan Marek Muszyński, chciał promować

ją przez sport i dlatego wymyślił klub w najwyższej klasie rozgrywkowej – mieliśmy być taką Amicą Wronki, ale w regionie łódzkim. Działał z rozmachem nie tylko w futbolu. Na jego mityng skoku wzwyż przyjeżdżały do Spały największe gwiazdy światowego sportu, marka „Opoczno” stała się znana w całym kraju i poza jego granicami. Teraz chodziło o to, by Ceramika zaistniała nie tylko przy lekkoatletyce, ale również przy futbolu. Bo Marek Muszyński kochał obie te dyscypliny i nas, drugoligowych przecież piłkarzy, nie traktował gorzej niż medalistów olimpijskich zapraszanych na mityng przez Artura Partykę. Myślę zresztą, że gdyby spytać nie tylko szefa firmy, ale także wielu szeregowych pracowników Ceramiki Opoczno, czy bliżsi są im oglądani raz do roku Javier Sotomayor i Charles Austin, czy widziani co tydzień Sypniewski i Czerbniak, mieliby spore problemy z odpowiedzią.

Właśnie, Zbyszek Czerbniak... Wokół naszych meczów rosły legendy, kwitowane najczęściej jednym zdaniem: „86. minuta, Czerbniak, karny”. Wszystko dlatego, że nasz stoper był pewnym egzekutorem jedenastek, po których wygraliśmy kilka meczów 1:0. Rzeczywiście, trochę tych karnych, i w trzeciej, i w drugiej lidze mieliśmy, ale czy były „drukowane”, wymyślane przez sędziów na nasze zamówienie? Trudno powiedzieć. W każdym razie był taki mecz, w Jankowych, o ile dobrze pamiętam, gdy mojego ojca, cieszącego się z podyktowania karnego, zaatakował jakiś miejscowy, trzymający w ręku... siekierkę. Został szybko powstrzymany i potem Stefana przeproszał, tłumacząc, że... chciał przyłożyć dyrektorowi klubu z Opoczna i się pomylił.

Przy całej tej dyskusji o naszych rzutach karnych trzeba pamiętać, że w trzeciej lidze mieliśmy zdecydowanie najlepszą drużynę, a w drugiej lidze – jedną z najlepszych, bo sezon zakończyliśmy na czwartym miejscu. Graliśmy szybko, widowiskowo, a rywale często za nami nie nadążali. Bronili się i czekali na kontrę, piłka często leciała w ich pole karne. Dlatego duża liczba karnych „Czerbniaków” zupełnie nie powinna dziwić. Szczerze przyznaję – nigdy nie zauważyłem, żeby któryś z naszych meczów był „robiony” przez sędziów albo przez przeciwników na naszą korzyść. Przyznaję też, że

kiedy była okazja, kładłem się w polu karnym jak długi, bez względu na to, gdzie grałem. Jeśli ktoś mnie faulował, nawet delikatnie, musiał się liczyć z tym, że upadnę artystycznie, zamiast walczyć o ustanie na nogach. Dlatego zostałem napastnikiem, a nie obrońcą. Każdy zawodowiec tak robi i nie ma się co dziwić, bo na tym przecież polega futbol by wykorzystał błędy faulujących rywali. Gdy napastnik jest popychany, ma upaść, a nie próbować zachować równowagę i utrudniać sobie sytuację. I ja tak robiłem. Nikt jednak nigdy nie powiedział mi, że mam się kłaść w szesnastce, bo sędzia tylko na to czeka. Może dlatego, że wiedzieli, że nie byłbym zachwycony?, a może uznali, że za prosty jestem, by sobie z tym poradzić? W każdym razie dużo tych karnych było.

Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy mówię prawdę, chciałbym tu, na łamach tej książki, skąd takie słowa nie znikną, przysiąc na moje dzieci, Kacpra i Dagmarę, że nigdy w życiu nie sprzedałem meczu. Nigdy nikt mi zresztą tego nie zaproponował, ale nawet jeśli by tak się stało, to nigdy bym się na to nie zgodził. Wiem doskonale, że ojciec by mi napluł w twarz i nigdy ręki nie podał. Zrozumiałbym to, bo... sam bym sobie napluł. I tak, gdy się spotykamy nazywa mnie najczęściej „marnym piłkarzykiem” lub śmieje się – mam nadzieję, że żartuje! – że tak słaby gracz jak ja, nie powinien się w ogóle odzywać. Gdybym sprzedał jakiś mecz, ojciec nie mówiłby nic albo wyzywał od sprzedajnych gnojków.

Podobnie jak Stefan dałbym też w pysk każdemu, kto powiedziałby, że sprzedałem kolegów. Ten temat rozśmieszył mnie chyba tylko raz w życiu, jak znajomy dziennikarz wyliczył mi, że... nawet nie miałem, gdzie sprzedać.

– W ŁKS byłeś za młody. W Ceramicie raczej kupowali ci mecze. W Grecji nie byłbyś w układzie. W Radomsku grałeś za krótko i w pierwszej rundzie. Wisła? Wiadomo... Szwecja? Bądźmy poważni. ŁKS po powrocie? Graliście o awans – mój kolega sam się śmiał ze swojego żartu, ale coś w tym było.

Wiadomo, dziś w modzie jest opowiadanie, w ilu sprzedanych lub kupionych meczach się brało udział, ale ja naprawdę czegoś takiego

nie kojarzę. Gdy długo się nad tym zastanawiam, to przypominam sobie tylko jedną dziwną sytuację i to z samego końca kariery. Grałem wtedy w ŁKS, a naszym rywalem było Podbeskidzie Bielsko-Biała. W trakcie meczu jeden z chłopaków z Bielska powiedział mi, żebym się nie spinał, bo mecz jest kupiony, więc i tak wygramy. Dziś sądzę, że chciał mnie po prostu uśpić, bo grało mi się z taką „wiedzą” bardzo dziwnie. I słabo. Przegraliśmy 0:1.

Właściwie to z ręką na sercu mogę powiedzieć, że tylko raz miałem pewność, że gram w meczu, którego wynik ustalono wcześniej – gdy we Włocławku sędzia ordynarnie drukował mecz Kujawiak – ŁKS, robiąc to tak nieudolnie, że zrobiła się afera na całą Polskę. Będzie jeszcze czas, by o tym meczu opowiedzieć więcej.

Przez trzecią ligę Ceramika przeszła w miarę spokojnie, ale nie mogło być inaczej, skoro w drużynie mieliśmy naprawdę dobrych chłopaków. Przed sezonem 1995/1996 klub pozyskał kilku zawodników z wyższych lig, takich jak choćby wspomniany Zbigniew Czerbniak z Pelikana Łowicz, Jacek Marciniak z Górnika Konin, czy Piotrek Kupka z Widzewa. W składzie był też Marcin Majewski, który powinien zrobić zdecydowanie większą karierę, bo też pokrętko miał w nodze niesamowite. Szliśmy niby w tym samym wieku podobną drogą, a jednak „Maja” gdzieś się zagubił. Jeszcze bardziej niż ja. Choć długo kopał piłkę, nigdy nie zagrał choćby jednego meczu w ekstraklasie. Miał chyba pecha, bo przecież wyróżniał się nawet w juniorach Łódzkiego Klubu Sportowego, który jeszcze w latach dziewięćdziesiątych słynął z doskonałej pracy z młodzieżą i z masowej produkcji wychowanków na potrzeby ligowego futbolu.

To właśnie z „Mają”, Piotrem Kupką i Adamem Świerczyńskim jeździłem codziennie samochodem z Łodzi do Opoczna i z powrotem. Dojazd zajmował ponad dwie godziny, bo ruch był spory, a oba miasta dzieliło prawie 100 kilometrów. Opłacało się jednak i to było dla nas najważniejsze. Wtedy dopiero zacząłem zarabiać na piłce jakieś godziwe pieniądze, bo przecież w ŁKS otrzymywałem najniższe stypendium dla juniora, jakieś grosze. Wystarczało mi to na trzy, najwyżej cztery dni, zwłaszcza, że po otrzymaniu wypłaty musiałem się spotkać z kilkoma chłopakami z osiedla, a jak miałem kasę – choćby

tę najmniejszą – stawiałem.

Później do Ceramiki dołączyli inni zawodnicy z Łodzi, tacy jak Krzysiek Adamowicz, czy będący już po trzydziestce Mirek Myśliński, swego czasu czołowy piłkarz Widzewa. I to tego Widzewa, na którego mecze chodziłem jako dzieciak! Trzymał się doskonale i nie zdziwiłbym się, gdybym jeszcze dziś zobaczył go na boisku, choć jest ode mnie starszy o ponad 10 lat, czyli ma już pięćdziesiątkę. „Myślina” był na pewno jednym z tych, którzy pod koniec kariery zasłużyli na dobre zarobki i z którego transferu Ceramika musiała być zadowolona.

Ekipe w Opocznie mieliśmy więc naprawdę mocną i ambicje klubu, by jak najszybciej wywalczyć awans do ekstraklasy (wtedy zwanej jeszcze pierwszą ligą) były jak najbardziej uzasadnione. Już w debiutanckim sezonie zajęliśmy czwarte miejsce, bo o czołowe miejsca bili się potentaci jeszcze więksi niż my. Awansowała Petrochemia Płock i KSZO Ostrowiec, czyli firmy, przy których nasze płytki, choć klasy europejskiej, już tak solidnie nie wyglądały. Trzecia była Stal Stalowa Wola, a później już my, czyli mocny kandydat na awans w kolejnych rozgrywkach.

Ostatecznie Opoczno nigdy tej największej polskiej piłki nie zobaczyło – co sezon Ceramika była wysoko i co sezon czegoś tam brakowało. Po kilku latach zakłady przykręciły kurek z pieniędzmi, a klub zaczął wegetować. Dziś z lat chwały pozostało tam świetne zaplecze, z którego korzystały kiedyś reprezentacje młodzieżowe i... najładniejszy stadion w niższych ligach.

Gdy Zakłady Płytek Ceramicznych „Opoczno” zdecydowały, by sprzedać klub, z okazji skorzystał Mirosław Stasiak, właściciel firmy handlującej węglem. Słyszał z tego, że miał ambicje, by nie tylko rządzić zespołem, ale też w nim grać i strzelił nawet jakieś gole w drugiej lidze. Wspominam o tym dlatego, że po pewnym czasie przeniósł klub do Ostrowca Świętokrzyskiego i ten właśnie nowy twór interesował się moimi usługami, gdy wracałem do Polski po kłopotach w Malmö. Stasiak przyjaźnił się z Tadeuszem Dąbrowskim, u którego grałem w Radomsku i który miał pomysł, by jeszcze raz wziąć mnie do siebie (lub do Stasiaka, któremu pomagał), gdy byłem

blisko dna. Mogłem więc po dziesięciu latach od czasu odejścia z Ceramiki... formalnie do niej wrócić, choć nazywała się inaczej i grała w innym mieście. Takie uroki polskiej piłki... Wtedy wybrałem jednak ŁKS i Stasiak z Dąbrowskim bez problemu to zaakceptowali, a temat mojej gry w Ostrowcu upadł równie szybko, jak się pojawił.

Transfer do Ceramiki, ten z 1995 roku, wcale nie musiał dojść do skutku. Nalegał na niego trener Witek Obarek, który dobrze znał mojego ojca. To z pewnością ułatwiło negocjacje. Wygrać przychylność Stefana, to wygrać Igora – ta zasada obowiązywała właściwie przy każdym moim transferze.

Na początku nie byłem zachwycony pomysłem grania w jakimś Opocznie, ale zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem, że w ŁKS nikomu na mnie nie zależy, że nikt nie będzie walczył, aby mnie zatrzymać. Dopiero po latach usłyszałem opowieści o tym, jak właściciel ŁKS Antoni Ptak wściekał się i głośno dopytywał, kto pozwolił na oddanie Sypniewskiego do Opoczna. Jeśli czyta te słowa, to za moment będzie zły jeszcze bardziej, bo podobno to w jego słynnym Centrum Handlowym „Ptak”, 15 kilometrów od Łodzi, ludzie zaangażowani w moje przenosiny świętowali skuteczne przeprowadzenie operacji. Ojciec coś tam mi jeszcze kiedyś wyznał, że pewne osoby z ŁKS nie tylko nie powiedziały szefowi, jak wielki talent sprzedaje, ale wręcz przekonywały, że nie warto we mnie inwestować! Te osoby w jego Centrum wznosiły potem toasty. Opoczno było może i małym klubem, ale rozgrywających miało na poziomie ekstraklasy. Nie mówię teraz o graczach z murawy.

Złość Antoniego Ptaka rozumiałem, ale naprawdę nie miałem wtedy nad czym się zastanawiać. W ŁKS byli ludzie, którzy nie chcieli, żebym tam grał. Zapewne także dlatego, że przeszkadzał im mój tata, który – może rzeczywiście czasem zbyt obcesowo – włączał się w karierę piłkarską syna. On był pewien, że Igorek jest najlepszy i jeśli nie gra – nawet mimo młodego wieku – to nie jest brak umiejętności jego syna, a brak elementarnej wiedzy u trenerów.

Ostatecznie zostałem wypożyczony do Ceramiki, która po awansie do drugiej ligi wykupiła mnie z ŁKS. Nie wiem za ile, ale na pewno nie były to duże pieniądze. Powiem tak – później byłem wart dużo

więcej. Wtedy uchodziłem za młodego i utalentowanego chłopaka, ale trzeba pamiętać, że to były inne czasy, niż dzisiaj. Gdy teraz patrzę na akademie piłkarskie wielkich klubów, na to, jak dbają o swoich wychowanków, jak wprowadzają ich do drużyn ligowych – mogę tylko zazdrościć. W moich czasach wychowanek, zwłaszcza młody, miał zawsze gorzej, niż przyjezdny.

Rokiciny, Tomaszów Mazowiecki, Spała, Inowłódz... Tę drogę mógłbym przejechać z zamkniętymi oczami, bo codziennie przez dwa lata zasuwaliśmy tamtędy samochodem. Jeździliśmy we czterech. Zdarzało się zresztą, że oczy miałem zamknięte, a przynajmniej przymgłone, bo, gdy nie musiałem prowadzić, lubiłem urozmaicić sobie powrotną podróż piwkiem.

– Sypek, ale pięć? – pytali mnie chłopaki dziwiąc się, że przez niespełna sto kilometrów spokojnie byłem w stanie tyle przyjąć. Mogłem nawet więcej, ale nie chciałem ich szokować. Wysiadałem w Łodzi, przy sklepie, i poprawiałem. Skłamałbym, gdybym mówił, że codziennie, tym bardziej, że starałem sobie robić przerwy w picciu. Ale często. Zdarzały mi się też sytuacje, że znajomi wracali ze swoich sobotnich meczów i pod sklepem, tradycyjnym miejscem spotkań, zaczęli od pytania, ile strzeliłem dla Ceramiki, a ja ze śmiechem odpowiadałem, że gramy dopiero w niedzielę i otwierałem kolejną butelkę...

Najweselej było w dni, kiedy otrzymywaliśmy wypłaty. W Ceramice nie było zwyczaju przelewania pieniędzy na konto, więc szło się po prostu do klubowej księgowej, która wydawała każdemu pokaźny plik banknotów. W pierwszym roku zarabiałem 1200 złotych miesięcznie, do tego dochodziły znaczące premie. W Opocznie naprawdę można było dobrze zarobić, a mój pierwszy kontrakt – świetnie rokującego, ale jednak tylko „młodego zdolnego” – najlepiej o tym świadczy

Czy 1200 złotych to było dużo? W tamtym czasie najdroższy bilet na mecz pierwszoligowego ŁKS kosztował 6 złotych, czyli stać by mnie było na 200 biletów. Jeśli przyjmiemy, że dziś najdroższy bilet na ekstraklasę kosztowałby 50 złotych – było wtedy tak, jakbym zarabiał dziś dziesięć tysięcy. Plus konkretne premie. Dla młodego chłopaka, który mieszkał z ojcem – nie było źle. Tata zresztą regularnie miewał do mnie pretensje o rozrzutność, bo zdarzało się, że

w dniu wypłaty wracałem do domu poważnie spóźniony, a czasami wręcz o świcie i... miałem w kieszeni tylko połowę banknotów otrzymanych od księgowej w Opocznie.

Po awansie dostałem podwyżkę i to już były bardzo wysokie drugoligowe pieniądze. Tego nawet przepić się nie dało. Kupiłem więc Seatata Ibizę, wiśniowego, nóweczkę, a że było to moje pierwsze auto w życiu, teraz i ja zacząłem chłopaków wozić do Opoczna. To był najwygodniejszy z naszych samochodów, bo Piotrek Kupka jeździł białym maluchem, Adam Świerczyński chyba czerwonym, a Krzysiek Adamowicz – polonezem. Jeśli wyobrazimy sobie czterech chłopaka, którzy dzień w dzień upychają się do któregoś z małych fiatów, to nikogo nie zdziwi, że moja Ibiza wydawała się autem klasy biznes.

Dzieliliśmy się tak, że każdy jeździł przez tydzień. Wychodziło mi zatem siedem dni w miesiącu, kiedy musiałem być trzeźwy. Na kacu, a tym bardziej po pijaku, do auta starałem się nie wsiadać, a otwieranie tylko jednego piwa nie miało sensu. Wolałem zrobić przerwę.

W czasie jednego z moich tygodni pojechaliśmy na wyjazdowy mecz gdzieś na Śląsk i wieczorem postanowiłem sobie odbić wcześniejsze parę dni abstynencji. Sklep pod hotelem, w którym spaaliśmy, funkcjonował tak dobrze, że rano nie dało się mnie dobudzić. Na śniadanie i zbiórkę nie zszedłem, więc trener poważnie się zaniepokoił. Wziął z recepcji rezerwowany klucz i wszedł do pokoju. To, co zobaczył, na pewno go nie ucieszyło – sporo pustych flaszek, jego gwiazda z przekrwionymi oczami... Z trudem się opanował, ale z sytuacji wybrnął – dał mi 5 minut, żebyśmy byli na dole i powiedział, że jeśli strzelę gola i wygramy, puści sytuację w niepamięć.

Dwa strzeliłem. Na kacu zawsze dobrze mi się grało.

Zanim trafiłem do Opoczna, byłem blisko innego trzecioliigowca, z Wielunia. WKS miał bogatego sponsora, proponował dobre pieniądze i chciał się bić o awans. Przeważała jednak znajomość Stefana z trenerem Obarkiem. Witek namawiał mnie, namawiał i obiecywał złote góry. Nie umiem odmawiać, więc zgodziłem się jeździć codziennie do Opoczna, zwłaszcza, że do Wielunia wcale bliżej nie było, a klub w Opocznie zdawał się mieć naprawdę obiecujące perspektywy. I w razie czego mógł bardzo pomóc nam lub komuś z rodziny

w remoncie domu, dostarczając kilka paczek doskonałej jakości płytek, choć dziwnym trafem zakwalifikowanych jako „uszkodzone”. Dobrze wybrałem.

Moim nowym klubem przeraziłem się na dobrą sprawę tylko raz, na samym początku. Po jednym z treningów, gdy schodziliśmy już do szatni, trener podzielił nas nagle na dwie grupy. Patrzyliśmy po sobie i zastanawialiśmy się, jakie to jeszcze nowe ćwiczenie wykonamy, gdy... dostaliśmy do ręki takie kije ze szpikulcami. Mieliśmy sprzątać stadion, zbierać papierki i listki! Nasza łódzka grupa szybko doszła do wniosku, że tak być nie może i poszła do zarządu, ale stanęło na tym, że trochę ze szczotkami po klubowym budynku lataliśmy. Wkurzało mnie to niemiłosiernie, bo przecież nie do tego byłem wynajęty, ale wyjścia nie było.

– Gdzie ja k... jestem? – pytałem sam siebie biegnąc z miotłą po trybunach i wspominając ŁKS, czyli zupełnie inny piłkarski świat.

W ten sposób zostałem najdroższą sprzątaczką w regionie, a może i całym kraju. Początkowo nie mieliśmy argumentów, by szczotki odstawić do schowka, bo zaczęliśmy sezon słabiutko, a zimę spędziliśmy na drugim miejscu, za MKP Zgierz. I wtedy dołączył do nas wspomniany wcześniej Mirek Myśliński, najlepszy zimowy transfer, jaki można było sobie wyobrazić. Prezes Marek Muszyński potrafił przekonywać w rozmowach i Mirek szybko trafił do naszego samochodu kursującego na trasie Łódź – Opoczno – Łódź. Chłop dużo w życiu widział, że zacznę od wyliczenia słynnych gier Widzewa w europejskich pucharach, więc szybko zorientował się, że popijam trochę za dużo. Mam wrażenie, że w nawracaniu mnie na dobrą drogę współpracował z „Obarem”, bo mniej więcej w tym samym czasie, w którym on przeprowadzał ze mną koleżeńskie rozmowy wychowawcze, trener zabierał mnie do kościoła. I te działania faktycznie przyniosły na jakiś czas skutek. To właśnie wtedy dość długo nie piłem.

Jak nie piłem, to strzelałem jeszcze więcej. Redakcja „Wiadomości Dnia”, popularnej wtedy w regionie łódzkiej gazety, ufundowała pięćset dolarów dla najlepszego strzelca trzecioligowych rozgrywek. Już po jesieni było wiadomo, że pięć zielonych banknotów musi trafić do Opoczna, bo w walce o nagrodę liczyłem się tylko ja i Jacek Marci-

niak. Nie było między nami rywalizacji, obaj doskonale wiedzieliśmy, że i tak cała ta kasa pójdzie na przelew. Nie, nie na konto. Na wspólną imprezę dla całej drużyny. Raz strzelałem więc ja, raz Marciniak, a Zgierz zostawał za plecami. Myślę, że Jacek widział, że jestem lepszym zawodnikiem. Ostatecznie zdobyłem nagrodę króla strzelców z dorobkiem 36 goli.

Dodam jeszcze, że kolejek było 36. Nie było się czego wstydzić.

Najwięcej, bo pięć goli w jednym meczu zdobyłem, grając z LKS Jankowy, ale najbardziej pamiętam wyjazdowe zwycięstwo w Lipnie z Mienią 2:1. To była wygrana z gatunku „Czerbniak, 86. minuta, karny”. Kibice protestowali przeciwko sędziemu, który podyktował jedenastkę w samej końcówce i zaczęli rzucać kamieniami w piłkarzy. Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, dostałem jednym z kamieni w brzuch, a były to solidne cegłówki. Po meczu szybko uciekliśmy do autokaru, bo okazało się, że kibice mają pretensje nie tylko do sędziego – słusznie zresztą, karnego nie powinien dać – ale również do nas. Po tamtym spotkaniu można było się napić piwa przy pełnej aprobacie trenera. Oczywiście dopiero wtedy, gdy policyjna eskorta odprowadziła nas do rogatek miasta i można było zatrzymać się przy jakimś sklepie. Pijąc wtedy browarka, nie miałem pojęcia, że właśnie miał miejsce mój pierwszy kontakt z tzw. wielkim futbolem. W Grecji takie sceny przeżywałem wiele razy, właściwie co tydzień.

Zabawa po awansie była przednia, bo 500 dolarów, choć miało głównie działać na wyobraźnię ludzi z mniejszych miasteczek zielonym kolorem, na coś tam wystarczyło. Znalazło więc właściwe zastosowanie, a i „Wiadomości Dnia” sprzedawały się wtedy znakomicie – w szatniach po ligowej kolejce była to pierwsza lektura.

Udaną miałem nie tylko imprezę podsumowującą sezon, ale w ogóle całe wakacje. Tak udane, że aż jedna z gazet musiała napisać dramatyczny tekst pt. „Chuligani pobili Igora”. Tak naprawdę było nieco inaczej, ale faktem jest, że skończyłem z kilkunastoma szwami na twarzy, a szrama została mi do dzisiaj. Tu są Bałuty, gdzie honor liczy się bardziej, niż cokolwiek innego, więc nikt na policję nie poszedł, a nawet rękę sobie podaliśmy kilka godzin później, choć... mogłem wtedy stracić więcej niż gładką skórę na buzi. Szrama zresztą

kobietom najczęściej się podobała...

Jak było naprawdę? To wie tylko kilku moich kolegów, a ja znam część historii jedynie z ich opowiadań, bo byłem zbyt pijany, by zapamiętać chronologię zdarzeń. Pod jedną z pijalek piwa na moich Koziarach, późną nocą, podobno jakoś nieładnie zachowałem się w stosunku do jednej z dziewczyn. Pech chciał, że była to kobieta człowieka, który nie przechodził nad takimi sprawami do porządku dziennego, a kontakty i szacunek miał w mieście spory. Na oklepie od niego i jego dwóch ludzi się nie skończyło – w pewnym momencie podwinęli mi spodnie i grozili pocięciem ścięgien Achillesa. Co by to oznaczało dla dalszego ciągu mojej przygody z piłką, mówić chyba nie muszę... Na szczęście się zlitowali, skończyło się na pociętym butelką policzku. Niedługo potem uścisnęliśmy sobie dłonie. Gdy o historii opowiadałem potem w klubie, mówiłem coś z uśmiechem o kłamce, o którą się uderzyłem.

Przed nowym sezonem nikt głośno nie mówił, że koniecznie mamy awansować do pierwszej ligi – dziś nazwalibyśmy ją ekstraklasą – ale wiadomo, że taki był właśnie cel. Z pracy w Opocznie zrezygnował Witek Obarek, którego zastąpił Witold Mroziewski. Sprowadzony aż z Białegostoku trener miał nadać drużynie odpowiedni poziom i trzeba mu przyznać, że dał radę, ale dla mnie ważniejsze było to, że chętnie na mnie stawiał. No i to, że niespecjalnie przeszkadzał mu fakt, że czasem mógł poczuć ode mnie zapach piwa.

W drugiej lidze – którą znów rozpoczęliśmy słabo, bo od dwóch porażek – mieliśmy kilka naprawdę udanych meczów, ale szczególnie utkwił mi w pamięci jeden. Graliśmy z Petrochemią Płock, która walczyła o awans do pierwszej ligi i oczywiście udało jej się to. W Opocznie zremisowaliśmy wtedy 2:2 i to były moje gole: jednego zdobyłem głową, co zbyt często mi się nie zdarzało, a drugiego pięknym strzałem z woleja. Zaraz po meczu pojawił się nawet temat mojego transferu do Płocka, ale nie byłem zainteresowany. W Opocznie czułem się znakomicie, a odejść chciałem tylko do dużo mocniejszego klubu. Albo do zagranicznego. Taki był plan, który stał się faktem po zakończeniu rozgrywek.

Śmiesznie było w tej lidze. Potrafiliśmy pokonać Świt Nowy Dwór

Mazowiecki 8:1, czy Stal w Mielcu 4:0, a potem przegrać w Tarnowie z Unią 0:4. Mecz w Mielcu okazał się zresztą kluczowy dla mojej przyszłej kariery, bo to w nim obserwował mnie mój przyszły trener z greckiej Kavali. Nie mógł się nadziwić, tak to potem wspominał, jak jakiś gnój objeżdża obronę i robi firmowy numer z położeniem bramkarza raz na prawo, raz na lewo i strzałem na pustą bramkę.

Spytacie pewnie, co robił taki trener na drugoligowym meczu w Mielcu? Proste, pracował. Brawa mi nie bił, raczej mocno się wkurzał, pewnie krzyczał. Nazywał się Grzegorz Lato, a moje gole jego pozycji na ławce Stali nie wzmocniły. Niebawem szukał więc nowej pracy, w Kavali. I wiedział, kto może mu pomóc uniknąć takich wpadek jak ta w Mielcu.

6. Lato czeka, a po Grzešku czeka Beckham

Gdy jesienią 1997 roku leciałem do Grecji, byłem pełen obaw przynajmniej z dwóch powodów: pierwszy raz miałem grać poza Polską i pierwszy raz wsiadałem na pokład samolotu. Miałem dopiero 23 lata i wszystko to było dla mnie mocnym przeżyciem. Nie tak intensywnym, jak moment, kiedy kilka lat później samolot, którym leciałem z innymi graczami Panathinaikosu, zaczął spadać nad Mediolanem, ale jednak przeżyciem.

Przede wszystkim wyruszałem z Polski pełen nadziei. W rękę ściskałem pięć tysięcy drachm, które przed wylotem dał mi załatwiający transfer menedżer i trener w jednej osobie – Jerzy Kopa.

– Będiesz miał na początek, na kilka najbliższych dni – powiedział, klepiąc mnie serdecznie po plecach. Byłem trochę zdziwiony, gdy na lotnisku zorientowałem się, że moje pierwsze greckie kieszonkowe wystarczy mniej więcej na dziesięć gazet. Cóż, może Kopa nie znał tujejszych cen – choć to mało prawdopodobne, bo kilkanaście lat wcześniej prowadził przecież Iraklis Saloniki. Ale okay, może po prostu gazety podrożały. Albo zgubiły się jakieś zera, jak miało to miejsce podczas mojego transferu z Ceramiki. Istniały podobno aż trzy umowy, w każdej suma była inna, a jedyne co łączyło te dokumenty to fakt, że w każdej dla mnie przewidywano najmniej. Dodatkowo jedna z sum była przekreślona długopisem i zmieniona na niższą. Dodam jeszcze, że Kopa po część należnej mu – jego zdaniem – raty transferowej przyszedł pod mój dom i chciał dostać ją w gotówce... Totalna amatorka, ojciec do dziś twierdzi, że wszyscy zarobili wtedy więcej niż my i to bez konieczności płacenia podatków. Tak się handlowało Igorkiem.

Nazwę Kavala usłyszałem pierwszy raz w chwili, gdy dowiedziałem się, że mogę tam trafić. Cieszyłem się jednak na ten wyjazd jak dziecko, bo przecież każde greckie miasto było lepsze od gry w polskiej drugiej lidze, a dwa lata w Ceramice wystarczyły, by kibice wybrali mnie najlepszym zawodnikiem w historii klubu. Ostatnio zobaczyłem gdzieś wyniki sondy sprzed paru lat i zrobiło mi się miło – wyprze-

dziłem przecież i Grześka Piechnę, i Mirka Myślińskiego. I Zbyszka Czerbniaka też!

Z greckich klubów znałem w 1997 roku tylko Panathinaikos Ateny, ale zaśmiałbym się prosto w twarz każdemu, kto powiedziałby mi wtedy, że trafię do zespołu „Wszechateńskich”. Gdy wyruszałem na podbój Europy, nieznana mi Kavala wydawała się szczytem marzeń. Podobnie jak oferowane mi w Grecji zarobki, bo chociaż Ceramika płaciła doskonale, to teraz miałem znaleźć się w zupełnie innym świecie, także pod względem finansowym.

Cieszyłem się również z perspektywy łatwej aklimatyzacji, bo w nowym klubie czekał na mnie nie tylko Grzesiek Lato – przepraszam, Pan Trener Lato – ale także Adam Fedoruk i Leszek Pisz. Późniejszy prezes PZPN, jak każdy wyjeżdżający wtedy z Polski szkoleniowiec, chciał mieć w swojej drużynie rodaków i miało to sens – po pierwsze, łatwiej załatwić taki transfer, a po drugie, wiadomo, że w krytycznym momencie wdzięczny piłkarz pomoże temu, któremu zawdzięcza wyjazd. Fakt, że było się z kim napić bez rozgłosu i szukania przyjaciół wśród miejscowych, stanowił tylko dodatkowy bonus.

Euforia po transferze trwała krótko, bo klub właściwie w ogóle nie płacił. Pięć tysięcy drachm błyskawicznie pozostało tylko wspomnieniem i dobrze się stało, że lecąc do Grecji wziąłem ze sobą jeszcze sto dolarów. To pozwoliło mi przeżyć jakiś czas, ale z finansami było bardziej niż krucho. Raz chyba dostałem w klubie 200 tysięcy drachm, a poza tym musiałem wydawać oszczędności z czasów gry w Ceramice. Dodajmy, że Lato został szybko zwolniony, a wraz z nim pożegnano także Adasia Fedoruka. Okazało się, że wcale nie trafiłem aż tak dobrze, jak początkowo myślałem. Zostaliśmy sami – Leszek Pisz i ja.

W tej trudnej sytuacji o dobrą atmosferę dbała żona Leszka, Basia. Gotowała bajecznie, a ponieważ kompletnie się na tym nie znałem, była dla mnie zbawieniem. Brakowało mi jej po przeprowadzce do Aten, gdzie przez pół roku jadłem tylko kurczaka i frytki. Wiem, że to dziwne, ale długo nie mogłem przekonać się do greckiej kuchni, a na widok owoców morza robiło mi się niedobrze. Musiało minąć dużo czasu zanim przejąłem grecką mentalność i zwyczaje, i to do tego stopnia, że nawet chleb zacząłem maczać w oliwie.

Trzymaliśmy się z Leszkiem razem, co było o tyle łatwe, że mieszkaliśmy obok siebie. Pisz był fantastycznym piłkarzem, jednym z najlepszych, z jakimi grałem. Kapitalnie wykonywał rzuty wolne. Gdy zostawaliśmy po treningu, to osiem na dziesięć piłek pakował w okienko bramki. Mogłem tylko bić mu brawo i próbować jak najwięcej się nauczyć, choć zdawałem sobie sprawę, że specem od stałych fragmentów gry i tak nie zostanę.

Gra z takim rozgrywającym to była przyjemność i gwarancja lepszej pracy – gdyby nie jego podania tą malutką, dziecinną wręcz nóżką, raczej nie trafiłbym do Panathinaikosu, a już na pewno nie tak szybko. W Kavali Leszka traktowali jak Boga, bo nie było w drużynie nikogo, kto mógłby pochwalić się takim wyszkoleniem technicznym jak „Piszczek”. Nic dziwnego, mało jest takich graczy, a nasz zespół to nie była orkiestra pełna wirtuozów. Określiłbym Kavalę raczej boysband z dwoma polskimi liderami.

Na początku naszej kolonii próbował przewodzić Lato, ale... nie wychodziło mu to najlepiej. Miałem wrażenie, że przyjechał tam bardziej na wakacje, niż do pracy i liczył, że mecze wygrają się same. No i się przeliczył, choć początkowo robił prawdziwą furorę. Szkoda, że głównie poza boiskiem.

Wiadomo, że Grecy żyją piłką nożną, więc nazwisko i charakterystyczną twarz króla strzelców mistrzostw świata w 1974 roku znali właściwie wszyscy. Ludzie w klubie mówili, że Lato skwapliwie z tej popularności korzystał, często przyjmując zaproszenia do nadmorskich tawern. Z bohaterem mundialu każdy chciał zamienić słowo albo dwa, więc Lato nie musiał za nic płacić. Krótko mu się wtedy w Grecji żyło, ale jak dobrze!

Jakim był trenerem? Nie wiem, za mało razem pracowaliśmy. Wiem za to, że miał bardzo miłego dobermana, choć wszystkich ostrzegał, że to pies, który skacze do gardeł. Przy pierwszych odwiedzinach bałem się jak cholera, ale gdy łąsił się zamiast gryźć, zacząłem podejrzewać dowcip. Nic takiego, Lato usiłował zmobilizować psa do większej srogości. Kiedyś byłem świadkiem, jak Grzesiek nakrzyczał na swojego ulubieńca, bo ten tulił się do Leszka. Strofował psa, gdy myślał, że tego nie widzimy... Dlaczego jednak miałyby szcze-

kać, skoro ewidentnie był pokojowo nastawiony? Poza tym mnie i „Piszcza” każdy tam lubił, więc czemu pies miałby zachowywać się inaczej?

Miałem trochę pretensji do Laty, że tak luźno traktował obowiązki w klubie, ale z każdym dniem przestawałem mu się dziwić. To piękne miasto, położone na górze, z której rozpościera się jeszcze piękniejszy widok na morze. Mieszkaliśmy wszyscy w małej miejscowości Porto Palio, położonej kilka kilometrów od Kavali, nad samą wodą i właściwie głównie się nudziliśmy... plażując. Leżenie na słońcu i pływanie w morzu nie było co prawda najbardziej profesjonalnym zachowaniem zawodowego piłkarza, ale zazwyczaj byłem mocno zdystansowany do swojego profesjonalizmu. Tak ciemnej skóry, jak po kilku miesiącach w Kavali nie dorobiłem się już nigdy, a przecież w trakcie kariery mieszkałem jeszcze w kilku innych pięknych, nadmorskich miastach – najpierw w Atenach, później w Heraklionie na Krecie, a w Szwecji choćby w Halmstad. Miałem farta do ładnych miejsc, choć doceniam to dopiero teraz.

Kilka miesięcy w Kavali było dla mnie bardzo dobrym okresem. Także dlatego, że właściwie nie piłem alkoholu, bo często brałem przywożony przez tatę z Polski anticol. „Właściwie” to zresztą najlepsze słowo do opisu mojej trzeźwości w Kavali, bo raz jednak zdarzyło mi się wypić, co omal nie skończyło się tragicznie. Zaczęło się klasycznie: pierwszą dawkę przyjąłem z nudów.

Przez kilka tygodni na miejscu była ze mną Magda, moja ówczesna narzeczona, a później żona, ale gdy wyjechała na jakiś czas do Polski – poczułem wolność. Wypiłem więc parę, a nawet paręnaście piwek wzmocnionych wódką, wsiałem w samochód i... uderzyłem w auto, które, jak się później okazało, należało do policjanta. Gdyby nie fakt, że byłem piłkarzem, rozpętałaby się wokół tego niezła afera, ale piłkarze byli traktowani, jak ludzie z innego świata. Czasem myślę, że gdyby dobry gracz potrafił przechodnia poza przejściem dla pieszych, mógłby trafić do więzienia za wgniecenie maski. Ten pieszy oczywiście...

Po tym zajściu wylądowałem co prawda w areszcie, ale tylko na chwilę. Grecja była wtedy krajem, w którym można było załatwić

wszystko. Przyjechał więc po mnie menedżer z Kavali i błyskawicznie wyciągnął z za krat. Nawet mandatu nie zapłaciłem, bo policjant zeznał, że alkomat był popsuty. Musiał być, przecież inaczej trzech promili by nie wykazał! Jedynym kosztem był... zysk, bo po tej historii szybko przenieśliem się do Aten.

W Kavali czułem się bezkarny nie tylko poza boiskiem. Na murawie też nikt nie mógł mnie zatrzymać. W pierwszej rundzie strzeliłem siedem goli, stając się ulubieńcem miejscowych kibiców. Po każdej bramce traktowali mnie jak króla, a ja nie wiedziałem jak się zachować. Normalny przecież jestem, nie rozumiałem więc takich szopek, jakie wokół mnie odstawiano na ulicach i w knajpach. Zdjęcia, ukłony, prośby o autograf, zachwyty po każdym uścisku dłoni, zaproszenia do knajp... Tak, byłem gwiazdą.

Z siedmiu goli strzelonych dla Kavali jeden był szczególnie ważny. Graliśmy z PAOK Saloniki, a ja pobiegłem lewą stroną, minąłem trzech rywali i z daleka uderzyłem nie do obrony. Już parę minut po meczu dostałem propozycję nie do odrzucenia – przenosin do Panathinaikosu Ateny.

Formalnie sprawa była bardzo prosta, bo Kavala i Panathinaikos miały tego samego właściciela. Dzięki temu bez żadnych przeszkód już po jednej rundzie w lidze zamieniłem malutki klubik z wybrzeża na europejskiego giganta. Grecja leżała u moich stóp, pisały o mnie gazety, czegoż chcieć więcej? Poza pieniędzmi, oczywiście, które nie tylko były zdecydowanie większe, ale przede wszystkim płacone na czas. Stało się również jasne, że niewiele ponad dwa lata po wygraniu polskiej trzeciej ligi, zagram w europejskich pucharach, bo przecież „Koniczynki” przed każdym sezonem mają jasny cel – mistrzostwo Grecji. Porażka była dopuszczalna jedynie po pięknej walce. W innych przypadkach można być pewnym, że w stronę autokaru z piłkarzami polecą kamienie. Kibice w Grecji potrafią kochać swoich piłkarzy, jak nikt na świecie. I, jak nikt na świecie, potrafią ich nienawidzić.

Z przeprowadzki do Aten najbardziej chyba ucieszył się tata, który wręcz maniakalnie interesował się starożytną Grecją. Nie jestem w stanie wymienić tych wszystkich miejsc, w które musiałem go wozić, ale mam wrażenie, że przeciętny Grek nie odwiedził przez całe

życie nawet połowy tych zabytków. Tata chciał – tata jeździł, czekałem w samochodzie, gdy strzelał kolejne foty. Dla mnie wszystkie te ruiny wyglądały tak samo i nigdy nie mogłem zrozumieć, co ciekawego jest w oglądaniu kolejnych wykopalisk. Co innego bary, po nich chodzi się z przyjemnością... Tak, wiem, jestem bardzo prostym chłopakiem. Nigdy tego nie ukrywałem i nie robiłem z siebie kogoś innego.

W Panathinaikosie poczułem się jeszcze lepiej niż w rodzinie Piszów – Krzysiek Warzycha i Józek Wandzik byli mi niczym dwie matki, a bratem – Erik Mykland, człowiek, który zabawę lubił jeszcze bardziej niż ja. Tak, to naprawdę możliwe. Mykland jednak, w przeciwieństwie do mnie, zrobił karierę w reprezentacji kraju Norwegii, w której zagrał prawie osiemdziesiąt meczów. Poza tym faktem oraz pozycją na boisku wszystko nas łączyło.

Do klubu trafiliśmy właściwie w tym samym czasie, bo Erik przeniósł się do Aten z Austrii zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Poznaaliśmy się, jak na kumpli od zabawy przystało, przy stole. I tutaj prawdziwy hit: ping-pongowym! W ośrodku treningowym Panathinaikosu znajdował się stół, na którym rozgrywaliśmy naprawdę wielkie mecze. Uwielbiałem ten sport od dzieciństwa, od czasu morderczych bojów z ojcem na ławie w salonie, a teraz trafiłem na godnego siebie rywala. Erik jako dzieciak w Norwegii trenował tenis stołowy, więc nie było z nim łatwo wygrać. Był naprawdę dobry. Polubiliśmy się błyskawicznie i spędziliśmy ze sobą trochę czasu mimo tego, że on słabo mówił po grecku, a ja słabo po angielsku. Język zabaw piłkarzy na świecie jest jednak taki sam, więc rozumieliśmy się doskonale. *Yia mas? Yia mas*, na zdrowie. I tak to szło.

Erik jest największym oryginałem, jakiego spotkałem w życiu. Jeździł starym samochodem i za nic nie chciał go zmienić. Często zdarzyło mu się przyjechać do klubu w dwóch różnych skarpetkach i to wcale nie na kacu. Żył na luzie i niespecjalnie przejmował się otoczeniem. Ba, on nawet wyglądał na gościa, który sam nie wie, jaki świat go otacza! Dość powiedzieć, że potrafił przyprowadzić dwóch synów na nasz trening i dać im do zabawy kupioną po drodze piłkę z herbem... Olympiakosu, który był, jest i zawsze będzie największym wro-

giem Panathinaikosu. Pracownicy ośrodka treningowego z przerażeniem patrzyli, jak Erik kopie tę piłkę razem z synami. Gdyby dziś ktoś zrobił takie zdjęcie piłkarzowi „Koniczynek”, byłoby ono na pierwszych stronach gazet. Wtedy Erik niczym się jednak nie przejmował i mam wrażenie, że nawet nie rozumiał, o co te pretensje, o co tym wszystkim ludziom dokoła niego chodzi...

Roztargnienie Erika bywało czasem niebezpieczne dla otoczenia, czyli najczęściej dla mnie. Jak choćby wtedy, gdy zamiast na buzuki, dokąd wybieraliśmy się potańczyć i popić z miejscowymi, Mykland wpadł na pomysł, by zajrzeć w uliczkę, przy której było sporo barów, gdzie jeszcze nie byliśmy. Kręciło się tam wiele dziewczyn, więc zajrzeliśmy do jednego z barów, rozglądając się z podziwem... I dopiero, gdy usłyszałem głos jednej z „pań” oraz popatrzyłem na jej palce, grubutkie jak parówki, zorientowałem się, że trafiliśmy na ulicę transwestytów. W klubie nigdy się do tego nie przyznaliśmy, bo żarty z nas trwałyby pewnie tygodniami.

Takie wpadki nie były oczywiście w stanie przeszkodzić nam w zabawie. Tej nie zakłócało nic. Płyniemy na przejażdżkę motorówką? Dawaj! Siłujemy się na rękę na ulicznym stole w środku nocy? Oczywiście! To ostatnie skończyło się dopiero, jak złamałem rękę (na boisku!) i dobrze, bo silny był ten Norweg niemożliwie, a na dyskoteki z Erikiem i tak jeździłem, tyle że z łapą w gipsie.

Będąc zawodnikami takiego klubu, jak Panathinaikos, byliśmy wszędzie rozpoznawani. Ludzie do nas podchodzili, lubili postawić svinaki (wódkę z sokiem) albo piwko. Z Erikiem nie kończyliśmy na jednym czy dwóch, czasem nawet nie na dziesięciu. Dziś brzmi to jak ponury żart, ale wtedy nie mogłem zrozumieć, że można – ot tak sobie, dla przyjemności – wypić jednego browarka. Nie umiałem. Jak piłem, to zawsze dużo. Do spodu, a ponieważ Mykland był taki sam, to łażąc razem po barach, wpadaliśmy w różne kłopoty. Kiedyś na przykład Erik zasnął na dyskotecie na kanapie i nikt nie mógł go najpierw znaleźć, a później dobudzić. W dzisiejszych czasach następnego dnia swój słodki sen obejrzałby na okładce jakiejś gazety. Wtedy kibice klepali mnie po plecach, gdy zbierałem kumpla, pomagali zanieść do taksówki i tuszowali zdarzenie.

W Panathinaikosie piłem dużo, nie miałem hamulców. Wtedy po raz pierwszy na poważnie pomyślałem, że chyba jednak mam problem z alkoholem. Ta myśl nie sprawiła oczywiście, że pić przestałem – chlałem dalej, żeby ręce mi nie drżały. Już wtedy nie mogłem zasnąć bez alkoholu, więc upijałem się właściwie dzień w dzień.

Bagatelizowałem to bardzo długo, ale gdy wpakowałem się pijany samochodem w reklamy przy stacji benzynowej, uznałem, następnego dnia oczywiście, że coś jest nie tak, a było przecież tak miło – wracałem z genialnej dyskoteki nad morzem do domu, byłem w doskonałym humorze, a za kierownicą popijałem jeszcze jedno piwko. Następne, co pamiętam z tej nocy to minę policjanta, który pukał palcem w alkomat i długo nie wierzył, że można prowadzić samochód mając trzy promile. Nie mówiłem mu, że miałem już taki wynik i to całkiem niedawno, w Kavali...

Ta historia sprawiła, że naprawdę zacząłem myśleć o rzuceniu alkoholu. Pomagał mi odnaleźć się w wielkim świecie, do którego trafiłem z Kozin, ale nie da się ukryć, coraz częściej mi przeszkadzał. Tamtego wieczora i kolejnego poranka miałem więc dużo smutnych myśli – najmniej o Audi, które sprowadziłem sobie kilka tygodnie wcześniej z Niemiec, a teraz było mocno porozbijane. Więcej – czy nie zrezygnować z używek. Najwięcej – co powiedzą o moim wybryku w klubie.

Nie powiedzieli nic. Albo nie wiedzieli – to raczej mało prawdopodobne – albo nie chcieli pokazać, że wiedzą, bo tak przecież wygodniej. To straszne, ale przez lata funkcjonowałem właśnie dzięki temu, że wielu ludzi wolało nie zauważać mojego problemu. Skoro więc oni nie widzieli, tym bardziej nie widziałem ja. Jak się dzieciakowi nie zabroni jeść chipsów, będzie robił to cały czas. Ze mną i moimi piwkami było dokładnie tak samo.

Na swoje liche usprawiedliwienie mam jedno – przed treningiem najczęściej się hamowałem. Nie było to trudne, gdyż ze względu na upał zajęcia były o wczesnej porze (wtedy problemem była pobudka). Ale naprawdę nie znosiłem dni, w których ćwiczyliśmy po południu, bo na ulubioną część dnia musiałem czekać aż do wieczora.

Wiecie skąd biorą się te piłkarskie nałogi? Z nudy. Zawodowy

piłkarz, jeśli nie ma jakiejś pasji albo przynajmniej trójki dzieci, to głównie się nudzi. Po maksymalnie czterogodzinnych zajęciach w klubie (to naprawdę jest max!), co z dojazdem daje pięć godzin... koniec pracy, a często ćwiczy się tylko dwie godziny i po robocie jest się już w południe.

Tak, hazard i alkohol w dużej mierze biorą się z nudy. Powodem mojej był brak kobiety u boku. Szkoda, że nie było ze mną Magdy. Po przeprowadzce do stolicy Grecji na pewno miałem warunki, by ją sprowadzić. Najpierw przez krótki czas mieszkałem na siódmym piętrze w nowoczesnym apartamentowcu, w mieszkaniu, które miało ponad 140 metrów powierzchni. Nie wiedziałem nawet, jak to posprzątać, więc przeprowadziłem się do mniejszego, ale lepiej położonego mieszkania w dzielnicy willowej. Na parterze mieszkali właściciele, a ja na piętrze, dysponując osobnym wejściem. Wiem, że to był trochę dziwny wybór, ale mnie taki układ nie przeszkadzał.

Z tym domem łączy się pewne wspomnienie, które nadal siedzi w mojej głowie. Jest tak mocne, że pamiętam nawet, co wówczas robiłem: zerkąłem na „Świat według Kiepskich” (w każdym klubie zagranicznym dbałem, by mieć polską telewizję) i powoli szykowałem się na trening. Huk, który nagle usłyszałem, był potężny. Dom się poruszył. Ani przez moment nie pomyślałem, że to wytwór mojej wyobraźni, przerażony błyskawicznie wybiegłem na ulicę, gdzie stali już moi gospodarze i wielu sąsiadów. To było naprawdę mocne trzęsienie ziemi, a wstrząsy trwały jeszcze kilka minut. Gdy jechałem na trening, nadal miałem wrażenie, że ziemia się rusza. Byłem przerażony tak bardzo, że na tydzień przeprowadziłem się do ośrodka Panathinaikosu. Później Grecy mówili mi, że w starej dzielnicy Aten zawalił się dom, a pod gruzami zginęli ludzie.

W ośrodku Panathinaikosu, w którym znajdował się też hotel dla zawodników, czułem się znakomicie i w pełni bezpiecznie również dlatego, że... trafiłem do pokoju prezesów klubu. Wcale nie na dywanik i nie za karę, a przez przypadek. Szczęśliwy traf zaprowadził mnie wprost do stojącego w tym pomieszczeniu dużego barku. Szybko się zorientowałem, że ani pokój, ani barek nie są zamykane, a na dodatek nikt tego wszystkiego nie pilnuje, więc wiele razy brałem po kilka piw

do pokoju. Nikt niczego nigdy nie zauważył. Także dlatego, że zawsze unikałem mieszkania z Grekami, sądząc, że mogą komuś powiedzieć o moim trybie życia. Najczęściej spałem więc w pokoju z Vladanem Milojevićem, doświadczonym serbskim obrońcą, który umiał trzymać język za zębami. Na pewno wiedział, że dużo piję, ale nikomu nie powiedział. Uznał, że to nie jego problem.

Poza Grekami i trenerami o mojej skłonności do picia wiedzieli chyba wszyscy w drużynie. Także Józek Wandzik i Krzysiek Warzycha. Obaj zawsze bardzo mi pomagali, chociaż raczej niezależnie od siebie, bo niespecjalnie za sobą przepadali. Lubiłem obu, choć różnił ich nawet sposób rozmowy: z Krzyśkiem mogłem gadać godzinami, podczas gdy Józka często... trudno było zrozumieć, tak zaciągał po śląsku.

Wandzik to jest w ogóle ciekawa postać. Zawsze wszystko wiedział najlepiej. Nie dopuszczał do dyskusji. Myślę, że właśnie dlatego rzadko spotykaliśmy się we trzech na kolacjach z rodzinami – Krzysiek nie powiedział tego nigdy wprost, ale chyba nie tolerował tych wszystkich mądrości Józka. Mnie to specjalnie nie przeszkadzało, tym bardziej, że nasz reprezentacyjny kiedyś bramkarz nigdy nie odmówił mi pomocy. Nawet po kilku latach, gdy w 2002 roku uwolniłem się od Wisły Kraków i próbowałem znów zaczepić w Grecji, to on wyciągnął do mnie rękę i przyjął nie tylko do drużyny, ale nawet pod swój dach. Dół miałem wtedy gigantyczny i właśnie Józek okazał się człowiekiem, który nie tylko sobie o mnie przypomniał, ale i zabrał z szarych Bałut prosto do słonecznej Kallithei, gdzie był trenerem. Wsiadając w Warszawie do samolotu, jak zwykle czułem, że tym razem może mi się udać, a przekonanie to wzmacniał fakt, że niemal wtedy nie piłem. I jak zwykle na nadziejach się skończyło.

Zagrałem w zespole trenera Wandzika w dwóch meczach i zebrałem dobre opinie. Depresja bardzo szybko do mnie jednak wróciła, choć chyba należałoby powiedzieć, że ciągle we mnie była – po prostu na krótki czas odpuściła i pozwoliła mi funkcjonować, a że długo to nie potrwało, szczerze powiedziałem Józkowi, że nie jestem w stanie zostać w jego domu i drużynie. Kupiłem powrotny bilet na samolot, spakowałem się i jeszcze tego samego dnia wylądowałem w Łodzi.

To na pewno nie był mój najprzyjemniejszy lot, choć uświadomiłem sobie, że właśnie w Grecji przeżyłem dwa gorsze. Pewnego razu wracaliśmy z Kavalą z meczu przeciwko PAOK i dwa razy podchodziliśmy do lądowania mimo fatalnych warunków, by wreszcie zawrócić do Salonik i całą trasę przejechać autokarem. Drugi raz zdarzył się, gdy byłem już piłkarzem Panathinaikosu. Najczęściej korzystaliśmy z czarterów, ale akurat wtedy lecieliśmy samolotem rejsowym, który nagle zaczął spadać. Byłem przerażony, wręcz pewny tego, że już po nas. Sporo ludzi krzyczało... Na szczęście pilot ustabilizował lot i wylądował w Mediolanie, gdzie nikt nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy klasycznymi metodami odreagowali gigantyczny stres. W dalszą podróż wyruszyliśmy chyba dopiero po siedmiu godzinach.

W Panathinaikosie byłem trzy lata i pracowałem w tym czasie aż z czterema trenerami. Nieskutecznie walczyliśmy o mistrzostwo Grecji, bo trafiłem akurat na erę bardzo mocnego Olympiakosu Pireus. To sprawiło, że prezesi klubu nie wytrzymywali presji i szybko zmieniali szkoleniowców. Gdy trafiłem do Aten, trenerem drużyny był Vassilis Daniil, później na chwilę zastąpił go Argentyńczyk Juan Ramon Rocha, następny był Giannis Kirastas, a gdy kończyłem swoją przygodę z Panathinaikosem szefem na ławce był Angelos Anastasiadis. Najlepiej grałem u Kirastasa, byłego piłkarza Olympiakosu i Panathinaikosu, wielokrotnego reprezentanta Grecji i człowieka, który cieszył się w Atenach wielkim szacunkiem. To on dał mi prawdziwą szansę, dzięki niemu poczułem się pewniej na boisku i zacząłem więcej grać. To był mój najlepszy okres w Panathinaikosie, wtedy dziennikarze zaczęli pisać, że gram tak, jak niegdyś w Kavali.

To były czasy, gdy ludzie w Polsce niewiele wiedzieli o lidze greckiej. Dziś wystarczy, że ktoś zagra gdziekolwiek w świecie i od razu można znaleźć masę informacji o jego występie na każdej stronie internetowej. Ba, większość meczów z najdziwniejszych nawet krajów da się obejrzeć w jeszcze dziwniejszych stacjach telewizyjnych. Wtedy tak nie było, więc pewnie większość polskich kibiców wie o moich występach w Panathinaikosie tylko tyle, że grałem w Lidze Mistrzów – przeciwko Arsenalowi i Manchesterowi United. Moja walka z londyńczykami pojawiła się w polskich mediach, bo strzeliłem gola w re-

wanżowym meczu w Atenach, ale zagrałem też kilkanaście minut na Wembley. Miałem to szczęście. Jak każdy chłopak marzyłem, by zagrać na tym legendarnym stadionie i szansę dostałem dlatego, że Arsenal chciał więcej zarobić na biletach. Szefowie „Kanonierów” słusznie wymyślili, że zamiast grać na swoim starym obiekcie, niezbyt wielkim Highbury, można przenieść się na angielski stadion narodowy. Ten, którego nazwa w Polsce zawsze działała na wyobraźnię – na Bałutach nazywaliśmy tak zresztą nasze boisko. Myślę, że w całym kraju takich malutkich „Wembley” były tysiące, bo każdy dzieciak chciał strzelać właśnie tam, gdzie w 1973 roku trafił Jan Domarski. Na Wembley.

To były moje jedyne mecze w tamtej edycji Ligi Mistrzów. Niestety. W pozostałych spotkaniach – z Dynamem Kijów i RC Lens – decyzją Daniila nie wystąpiłem. W Kijowie siedziałem na ławie i pamiętam z naszej eskapady głównie długi lot, mróz, śnieg oraz radość kilku Greków z naszej drużyny, którzy rzucali w siebie śnieżkami i bawili się jak dzieci.

O moim голу z Arsenalem w Polsce powstała legenda, ale... nieprawdziwa. Tak, jak z datą urodzenia – blisko, ale niedokładnie. Chyba ze sto osób pytało mnie już, czy fajnie jest strzelić gola na Wembley. Pewnie bajecznie, bo jak może być inaczej? Problem w tym, że nic o tym nie wiem, bo zdobyłem bramkę w meczu z Arsenalem, ale... nie w Londynie, a w Atenach. Kopiąc wtedy do siatki miałem miękkie nogi – nie z nerwów, ale dlatego, że... czułem, że zaraz upadnę. Takich goli się nie zapomina: dostałem piłkę od Aljoszy Asanovicia i jakimś cudem utrzymałem się na nogach po tym, jak Steve Bould mnie potrafił. Chorwat był prawdziwym artystą, a że piłkarz zawsze pozna piłkarza, często wypatrywał mnie na boisku, szukał z przodu, wiedząc, że zamienię podanie na gola. Teraz też się nie pomylił. Nogi chyba same mnie niosły: posadziłem Davida Seamana na trawie, piłka idealnie podeszła mi na lewą nogę i strzeliłem na 1:1. Mogłem cieszyć się z pierwszego w życiu gola w Lidze Mistrzów! Żałowałem tylko, że radość nie trwała długo, bo zaraz zrobił swoje Nicolas Anelka, z którym po meczu wymieniliśmy się koszulkami. Nie dlatego, że też strzelił bramkę, po prostu stał najbliżej... Do tych

otrzymywanych po meczach koszulek nigdy zresztą wielkiej wagi nie przywiązywałem, a szkoda, bo miałbym teraz dużo ładnych pamiątek.

W tym meczu dobił nas Portugalczyk Boa Morte, co oznaczało, że żegnaliśmy się z Ligą Mistrzów. Porażka miała także ludzki wymiar, bo jeden z kibiców tak cieszył się z mojego gola, że spadł z trybun i zginął. Dowiedziałem się o tym następnego dnia z gazet, ale bardzo długo nie mogło mi to wyjść z głowy. Przecież gdybym wtedy kopnął obok słupka, to ten chłopak, by żył...

Na kolejny mecz w Lidze Mistrzów musiałem długo czekać, bo w następnych rozgrywkach występowaliśmy tylko w Pucharze UEFA. Ale w sezonie 2000/2001, który był moim ostatnim w Panathinaikosie, Liga Mistrzów wróciła na Stadion Olimpijski. Na początku grałem niewiele: Deportivo La Coruna – 14 minut, Juventus Turyn – 4 minuty, a później trzy mecze bez gry. Zaliczyłem też epizod w rewanżu z Włochami i poleciliśmy do Manchesteru. Nikt, a zwłaszcza ja, nie mógł się spodziewać, że Anastasiadis wystawi mnie od pierwszej minuty. Trener nigdy nie informował nas wcześniej o składzie, więc na stadion jechałem przekonany, że usiądę na ławce rezerwowych. Wchodzimy do szatni, siadamy, trener staje w środku i podaje nazwiska. Nagle słyszę: Sypniewski, lewa pomoc. Wiele rozumiałem po grecku, ale trener szybko mówił i nie byłem pewien, czy na pewno powiedział to, co wydaje mi się, że słyszałem: że jestem w pierwszym składzie.

– Grasz Igor i to grasz dobrze. Chyba na to czekałeś? – Krzysiek Warzycha cieszył się moim szczęściem, gdy poprosiłem go o potwierdzenie. Nie mógł wiedzieć, co robiłem 20 godzin wcześniej w hotelu. Na szczęście. Tym bardziej, że wcale nie czułem zdenerwowania, też byłem pewien, że sobie poradzę. Po prostu było dla mnie nieprawdopodobne, że nagle, w Manchesterze, zagram pierwszy raz od początku w Lidze Mistrzów i wysłucham tego pięknego hymnu nie z ławki, czy trybun, a stojąc na środku boiska. Na treningu dzień wcześniej też nie było widać, że zagram...

Mam wrażenie, że Krzysiek wiedział, co trener planuje, bo jeszcze w hotelu zapytał mnie, czy dałbym radę zagrać w pierwszym składzie na Old Trafford. Pamiętam, że użył prostego, ale idealnego dla sytu-

acji i miejsca pytania: Nie posrasz się? Nawet zdziwiło mnie, że mnie o to pyta, bo niby dlaczego miałbym narobić w gacie tym razem, skoro nigdy nie pękałem?, a przede wszystkim: dlaczego niby miałem zagrać akurat w Manchesterze?

Na Old Trafford byłem ustawiony po lewej stronie pomocy. Wiadomo, że w ataku nie miałem żadnej szansy na grę – Krzysiek był nie do zdjęcia, a Nikos Liberopoulos miał zostać sprzedany za wielkie pieniądze i musiał się promować w Lidze Mistrzów. Dużo się wtedy mówiło, że właśnie Manchester United był nim najbardziej zainteresowany. Szkoda, że ostatecznie go nie kupił. Gdyby wtedy odszedł, byłaby to dla mnie rewelacyjna wiadomość, bo wskoczyłbym na długo do pierwszego składu.

Zawsze przed meczem szedłem na papierosa, taki był mój rytuał. Częściowo, by się jeszcze bardziej odprężyć, a częściowo dlatego, że ilość nikotyny w moim organizmie musiała się zgadzać. Mecz – meczem, nałóg – nałogiem.

W Manchesterze oczywiście z fajki nie zrezygnowałem. Dziś pewnie byłoby trudniej, bo wszędzie gdzie się da montują czujniki dymu, ale wtedy wystarczyło się tylko schować przed trenerem, najlepiej w łazience. Szybkie dwie fajki i na boisko. Moje pierwsze wrażenie – pusto. Wszedłem z tunelu, spojrzałem na stadion, a na trybunach może ze cztery tysiące ludzi. Byłem zaskoczony i nawet pomyślałem, że nie jesteśmy aż takimi ogórkami, żeby nawet kibice nie przyszli... W trakcie rozgrzewki wielu ludzi nie przybyło, ale gdy później ześleliśmy do tunelu i wróciliśmy na murawę już w strojach meczowych, czekał na nas pełny stadion. Do dzisiaj nie wiem, jak kilkadziesiąt tysięcy ludzi jest w stanie wejść na trybuny w ciągu kilku minut, ale wtedy przekonałem się, że to możliwe.

MU – te dwie litery były wtedy synonimem jakości. Największe wrażenie robił na mnie Paul Scholes, nieprawdopodobny wojownik, który miał niezwykle umiejętności. Na boisku pracował za pięciu i spełniał bardzo ważną rolę w drużynie, choć chyba był niedoceniany, a przecież on nie tylko biegał za dwóch, ale i miał idealne długie podanie oraz wizję gry. Moim zdaniem, zbyt mało ceniono go w drużynie. To był przepiłkarz. Naprzeciwko siebie miałem Davida

Beckhama. Wiadomo – był wielką postacią, ale jako piłkarz nie robił na mnie wrażenia. Właściwie sprawiał mi tylko jeden kłopot – nie mogłem go zablokować przy dośrodkowaniach. Te miał idealne. Gdyby w różnych miejscach pola karnego ustawić 10 puszek piwa, pewnie strąciłby co najmniej 8 z nich. Nawet, gdybym przy każdej z tych prób starał się go zablokować.

Mogliśmy wygrać ten mecz. Mieliśmy kilka znakomitych sytuacji, także dzięki mnie. Kac minął już parę godzin wcześniej, pijany się nie czułem i grało mi się wprost znakomicie. Pamiętam szczególnie jedną sytuację, gdy udało mi się, będąc w pełnym biegu, odegrać piłkę piętą do wychodzącego na czystą pozycję Liberopoulosa. W takich sytuacjach w ogóle się nie myśli, działa instynkt, stopy same układają się tak, jak powinny... I jeśli ktoś ze znajomych pytał później, czy nie mogłem sam spróbować skończyć tej akcji, bo przecież wbiegałem już w pole karne, odpowiadałem, że owszem, mogłem, ale zagranie do Nikosa było lepszym wyborem. On zresztą też zawsze wiedział, kiedy lepiej mi podać i gdyby nie Neville, który raz mnie uprzedził w ostatniej chwili, wypracowałby mi „setkę”. Wtedy stworzyłem Nikosowi stuprocentową sytuację: miał piłkę przed sobą, zagraną idealnie, toczącą się do przodu. Szkoda, że pozwolił Barthezowi obronić...

W przerwie w szatni było spokojnie, wiedzieliśmy, że dobrze nam idzie. Nie zdążyłem nawet posłuchać, co mówił trener, bo choć bardzo się spieszyłem i wypaliłem tylko pół papierosa, część przemowy Anastadiasisa straciłem. Złapać kilka machów i na drugą połowę – to był mój cel na ten kwadrans, a nie wysłuchiwanie, by dobrze się ustawić. To wiedziałem sam, a poza tym czułem, że to jest ten wieczór, kiedy wraz z kumplami mamy szansę dać wielką radość kibicom. Do Manchesteru przyjechało ich kilka tysięcy, zasłużyli na sukces. Wróciliśmy na boisko i... zaraz dostaliśmy gola. Byliśmy na siebie wściekli: jak to możliwe, że gramy taki mecz, z takim rywalem, atakujemy, mamy przewagę i nagle tracimy bramkę z... niczego? Zamiast się kłócić, postanowiliśmy wziąć się w garść i ruszyć do przodu. Nadal było czuć, że wierzymy w wygraną.

Kiedyś usłyszałem od pierwszego z moich trenerów, Janka Lirki, zdanie: „Jesteś dobrym piłkarzem, więc nie masz się co przejmować,

że straciłeś bramkę, spokojnie możesz to odrobić”. Miał rację, dzięki Jasiu. Ograłem Gary’ego Neville’a, on mnie sfaulował, a z wolnego przymierzył Georgios Karagounis. Tak, ten sam, który w 2004 roku poprowadził Greków do tytułu mistrzów Europy, który grał na Euro w Polsce, a ostatnio w mistrzostwach świata w Brazylii – trzyma się Georgios, nie ma co... Na Old Trafford właśnie po faulu na mnie strzelił swojego pierwszego w życiu gola poza Grecją, pierwszego w pucharach. Zrobił to jakby od niechcienia, bo uderzył pozornie flegmatycznie, jakby bez wiary, a jednak precyzyjnie, tuż przy słupku, ponad Barthezem, który, na co zwracał nam uwagę trener, lubił tuż przed strzałem zrobić dwa kroki do przodu. Dzięki temu skracał kąt, bronił wiele piłek, ale groziło mu, że ktoś go przelobuje. Tak jak Karagounis, który zrobił to, co nie udało się w pierwszej połowie Krzyśkowi, mającemu dwie lub trzy świetne okazje. Było 1:1. Georgios był zresztą wielkim graczem, klasa od niego aż biła. Wódz, do którego ja czasem bałem się nawet podchodzić, wolałem być raczej trochę dalej od niego. Oczywiście tylko poza boiskiem, bo na boisku nie miało znaczenia, gdzie stałeś – jeśli pozycja była dobra, Karagounis podawał.

Miał ogromne serducho nie tylko do gry, ale i dla ludzi. Pamięta mnie do dziś. Mojemu tacie dał w prezencie swoją koszulkę po meczu w Warszawie na Euro 2012, a drugi komplet jego ubrań dostaliśmy, gdy wraz z reprezentacją przyjechał w 2004 roku do Szczecina na towarzyski mecz z Polską. Mnie zaprosił na ten mecz PZPN i skorzystałem z okazji, by spotkać kilku dawnych kumpli i odwiedzić ich w hotelu. Georgios przywitał mnie chyba najserdeczniej. Jak już mówiłem – prawdziwy piłkarz zawsze pozna i polubi piłkarza, a Karagounis był klasą samą w sobie.

Do dzisiaj jestem pewny, że nie przegralibyśmy na Old Trafford, gdyby Anastadiasis nie zaczął bronić remisu i nie zdjął nas z boiska. Georgios zszedł kilka minut po голу, zaraz po nim Warzycha i na końcu ja. Za mnie wszedł lewy obrońca, Percy Olivares i stało się jasne, że ostatnie 12 minut będzie bardzo trudne. Choć wciąż mieliśmy remis 1:1, nasza gra nie wyglądała już tak dobrze.

Usiadłem na ławce, obok Krzyśka, i mówię do niego:

– Fajny wynik, co?

Za chwilę dostaliśmy gola, a później jeszcze następnego. Oba strzelił Scholes. Zasłużył, był najlepszy na placu.

Po meczu dostaliśmy masę braw od kibiców, którym nie podobało się tylko to, że Anastadiasis zmienił Georgiosa, Krzyśka i mnie. Następnego dnia w greckich gazetach pojawiły się komentarze, że trener zdjął trzech najlepszych piłkarzy i sam jest winien porażki. Dokładnie to samo usłyszeliśmy po przylocie do Aten od kibiców, którzy przyjechali na lotnisko, żeby poklepać nas po plecach i pogratulować występu. Szkoda, że nie wyniku.

Wiele razy słyszałem, że najlepszy mecz w życiu zagrałem właśnie na Old Trafford. Bzdura, było wiele lepszych. Dziesiątki. Dawałem sobie wtedy w Manchesterze nieźle radę, to fakt, ale absolutnie nie był to mój najlepszy mecz w życiu. Zresztą z czego niby mam być dumny? Strzeliłem gola? Nie. Wygraliśmy? Nie. Moja trzynastka szczęścia nie przyniosła, „Koniczynki” przegrały.

W ŁKS na początku mojej przygody z piłką grałem z numerem 13 na plecach i taki sam miałem wtedy na Old Trafford. Pisano, że szczęśliwy. Pytano mnie czasami, czy nie boję się, że przyniesie pecha i dlatego go wybrałem, a zdecydował wypadek, nigdy nie traktowałem trzynastki jakoś szczególnie. Numer to numer, wszystko jedno jaki i tak go nie widzisz w czasie gry. Zawsze śmiałem się z piłkarskich przesądów: niektórzy musieli koniecznie wyjść na boisko jako pierwsi, inni z kolei walczyli ze sobą, by zamykać szatnię, jedni wchodzili na plac gry lewą nogą, inni prawą. Ja do nich nie należałem. Wprawdzie lubiłem wyjść z szatni ostatni, ale tylko dlatego, że mogłem jeszcze pociągnąć kilka razy papieroska, a nie przyciągnąć szczęście.

Był czas w Panathinaikosie, że nie piłem, ale papierosy paliłem właściwie zawsze. Zostało mi to do dzisiaj. Na zmiany jest za późno, tak pewnie będzie już do końca życia. Bo o ile potrafiłem przestać pić, o tyle fajek nie rzucę na pewno. Popielniczka w moim pokoju zawsze jest wypełniona.

Najdłużej bez papierosa wytrzymałem, gdy byłem w Halmstad i trener Jonas Thern namówił mnie, żebym rzucił palenie. Po półtora mie-

siąca pojechaliśmy z Gosią i moim synkiem na spacer do lasu. Wzięła mnie ochota na dymek i jednego zapaliłem... Potem nie mogłem już przestać. Co ciekawe nigdy nie miałem z powodu palenia problemów, a wydolność – gdy trenowałem – też miałem dobrą. Z piciem było inaczej, bo właśnie w Grecji poczułem pierwszy raz, że przeszkadza mi w grze. Gdy naszym trenerem był Giannis Kirastas, postanowiłem z tym skończyć. Wytrzymałem kilka tygodni, ale moja forma wtedy naprawdę się poprawiła.

Dziś mogę powiedzieć, że nie zostałem na dłużej w Panathinaikosie z dwóch powodów: były nimi alkohol i złamana ręka, a może nawet w innej kolejności – złamana ręka i alkohol. Ten ból pamiętam do dzisiaj – wyskoczyłem do piłki dośrodkowanej z rzutu różnego, ale obrońca mnie przytrzymał. Usiłowałem się uwolnić, straciłem kompletnie równowagę i upadłem na ziemię na prostą rękę. Usłyszałem trzask łamiącej się kości i poczułem trudny do opisanego ból. Wiedziałem, że stało się coś strasznego i nie będzie to zwykły piłkarski uraz.

Leczenie się przedłużało, traciłem formę, piłem coraz bardziej. Gdyby nie kontuzja, na pewno zostałemby dłużej w Atenach, a tak uznano, że już się do Panathinaikosu nie nadaję. Miałem jeszcze ważny kontrakt, ale dla szefów klubu nie miało to znaczenia. Byłem załamany...

Znam się na piłce i znam też swoją wartość jako piłkarza. Często wkurzałem się, jak w Panathinaikosie trenerzy wystawiali zamiast mnie Albańczyka Bledara Kolečę, bo czułem się od niego dwa razy lepszy. Ale grał tam dłużej, miał ode mnie mocniejszą pozycję. Wielkim autorytetem w klubie był Krzysiek Warzycha, legenda „Koniczynek”, ale umiejętności mniejszych od niego nie miałem. Słabszą głowę – to fakt. Brak pozaboiskowej inteligencji – oczywiście. Ale nie to, co byłem w stanie zrobić z piłką. Gdybym od początku kariery miał przy sobie kogoś takiego, jak Jonas Thern, którego spotkałem na swojej drodze dopiero w Szwecji, to grałbym w Barcelonie. Jestem tego pewny.

Zaraz po tym jak odszedłem z Panathinaikosu, zespół grał z Barceloną. Gdybym wtedy został, może spełniłbym swoje największe piłkarskie marzenie i – nie chodzi tu o wymianę koszulki, nie polo-

wałbym na jakieś szmatki – strzelałbym gole takiemu wielkiemu klubowi!

W ramach wypychania mnie z klubu zaproponowano mi przenosiny do Panioniosu Ateny, ale się zbuntowałem. Do cholery, kilka tygodni temu robiłem wiatrak z Gary’ego Neville’a i jego kumpli, a teraz mam kopać w takim zespole? W dodatku Panionios miał duże kłopoty finansowe i wówczas realnie groziła mu likwidacja. Niewiele razy w życiu potrafiłem się postawić, ale wtedy byłem twardy. Zaproponowano mi zatem OFI Kreta i razem z ojcem uznaliśmy, że z tej oferty już skorzystam. Gdzieś przecież musiałem grać, a to był przynajmniej klub działający profesjonalnie. No i Kreta była fajnym miejscem do życia. Jadąc tam byłem przekonany, że zostanę na tej wyspie maksimum pół roku. Miała być tylko krótkim przystankiem przed dalszą drogą w szeroki świat...

Później, po latach, wróciłem na Kretę na wakacje. Poleciałem z moim przyjacielem i jego żoną, a ci nie mogli się nadziwić, że ludzie mnie tam jeszcze pamiętają. Recepcjonistce z hotelu musiałem nawet obiecać, że wyślę jej stary dres Panathinaikosu, tak długo mnie prosiła. Żałuję, że ostatecznie zapomniałem tego zrobić. Zginął mi gdzieś adres, który mi dała, a naprawdę chciałem sprawić jej przyjemność.

W OFI zagrałem parę spotkań, strzeliłem jednego gola, a najdziwniejszy był dla mnie mecz z Panathinaikosem. Czułem się tak, jakbym grał przeciwko własnej rodzinie. Naprawdę byłem bardzo zżyty z chłopakami i całym klubem. Grając tam wziąłem ślub i urodziła mi się córka. Na ślub i wesele z Magdą dostałem zresztą trzy dni urlopu, czego nie udało się powtórzyć, gdy rodziła się Dagmara. Córkę zobaczyłem więc dopiero po dwóch miesiącach, gdy Magda przyleciała z nią do Aten.

Dziwne? Trochę tak, ale takie przecież jest życie. Już wtedy nie układało się między nami dobrze i po kilku tygodniach wiecznych kłótni Magda z Dagmarą wróciły do Polski. Potem nastąpił długi, nieprzyjemny rozwód, podczas którego szarpaliśmy się straszliwie. Dużo mnie to kosztowało – i nerwów, i pieniędzy. Nie ma co ukrywać – nie byliśmy z Magdą dobraną parą, choć teraz, po latach od naszego rozvodu, potrafimy się dogadywać bardziej niż dobrze. Obie dziewczy-

ny, była żoną i coraz większą córkę, odwiedzam co niedziela.

Poznaliśmy się w Łodzi na dyskotece, spotykaliśmy się jakiś czas i po kilku latach Magda zaszła w ciążę. Ślub wzięliśmy pod presją ojca. Tata zawsze miał bardzo konserwatywne poglądy i nie wyobrażał sobie, że mogę mieć dziecko nie mając żony. I chociaż od początku było wiadomo, że nie będzie z nas kochającej się rodziny, ślub mieliśmy wystawny. Przez całe miasto przejechaliśmy białą kareta, a przed kościołem czekał kucyk, który w pysku trzymał bukiet dla Magdy. Nawet Panathinaikos był na ślubie mocno reprezentowany, bo dokumenty podpisaliśmy... klubowym długopisem, na co bardzo nalegał mój ojciec. Zaraz po ślubie musiałem wracać do Grecji, a Magda została w Polsce. O narodzinach Dagmary dowiedziałem się przed jednym z treningów i zamiast żałować, że nie było mnie przy porodzie, cieszyłem się, że trafia mi się tak doskonały powód do świętowania. Imprezy hucznej nie było, ale trochę się pobawiliśmy.

W OFI tak dobrze nie było, ale nie narzekałem, zwłaszcza, że po zakończeniu sezonu, mogłem wrócić do Panathinaikosu, gdzie zmienił się trener. To była dobra wiadomość numer jeden. Numer dwa? Trenerem ponownie został Kirastas, a to za jego kadencji grałem najlepiej. Ten gość mnie cenił, a na pewno lubił, bo choć znał wszystkie moje wady, to chciał, żebym wrócił do Aten. Złe wiadomości? Moje wybory. Choć drużyna szykowała się do gry w Lidze Mistrzów, ja... odmówiłem. Do dzisiaj nie mogę tego odżałować. Duża w tym zasługa mojego ówczesnego menedżera Adama Mandziary, który obiecywał mi kontrakt we włoskim AC Torino. Kusił mnie i skusił. Panathinaikos był wielkim klubem, ale jednak greckim. Dla mnie wtedy – tylko greckim. Włoska Serie, a kusiła zaś nie tylko grą na wyższym poziomie, ale i dużo większymi pieniędzmi.

Wtedy podjąłem jedną z wielu koszmarnych życiowych decyzji. Uwierzyłem Mandziarze, a potem z Torino nic nie wyszło. Wściekły Kirastas już mnie nie chciał i nagle zostałem bez klubu. Wylądowałem na lodzie, a dokładnie w Radomsku.

Niedawno wróciłem na parę dni do Grecji z kilkoma chłopakami, którzy kupili mi bilety i chcieli nakręcić film o tym, co się ze mną

stało i jak wyglądała moja kariera. Byli zszokowani, jak przyjęto mnie na stadionie Apostolos Nikolaidis, na który zresztą my mówiliśmy zawsze Leoforos Aleksandras. Wielki obiekt, wielkiego klubu, a nas wpuszczają na boisko, żebyśmy sobie pokopali! Każdy w klubie podchodzi i ściska mi rękę, a gdy rozchodzi się po mieście wieść, że Sypa wrócił, pojawiają się dziennikarze i fotoreporterzy. Razem z Krzyśkiem Warzychą odgrywamy na murawie najbardziej pamiętne dla mnie akcje, Krzysiek udaje i przeciwników, i partnerów z boiska, a nawet samego siebie, a ja mam tylko strzelać... Tam w Atenach nadal pamiętają wynik meczu wygranego 5:1, gdy na wielkiej świetlnej tablicy trzy razy świeciło się nazwisko Sypniewski i dwa razy Warzycha. To był jeden z najszybszych hat-tricków w historii ligi greckiej. Nadal jest chyba na trzecim miejscu.

Wieczorem wracamy na stadion na mecz i znów spotykam wszystkich dawnych kolegów i pracowników klubu. Czuję się jak w filmie, ale nie tym, który przyjechaliśmy tu kręcić, a w jakimś amerykańskim, w którym bohater widzi, jak mogła wyglądać jego przyszłość, gdyby kiedyś podjął inne decyzje. Stoję w szarej, zbyt dużej zimowej kurtce, a z łoży honorowej wychodzą świetnie ubrani ludzie w drogich garniturach, z którymi nie tak dawno grałem i od których byłem lepszym piłkarzem! Są serdeczni, ale jakby zdumieni moim widokiem... Na ich nadgarstkach błyszczą drogie zegarki, tak jak na moich rękach świeciły jakiś czas temu kajdanki. 10 lat wcześniej byliśmy w tym samym miejscu, a talent, który dał mi Bóg sprawiał, że miałem większe szanse niż oni, by osiągnąć sukces, a jednak..., a jednak poszliśmy w różnych kierunkach. Dlatego ja jestem szarym, biednym facetem, a oni ludźmi sukcesu...

Ta wizyta w Atenach w 2012 roku była ważna, ale bardzo bolesna. Także dla wspaniałych kibiców Panathinaikosu, którzy o moim przyjeździe przeczytali następnego dnia we wszystkich gazetach. Wszędzie były reportaże na dwie strony z mojej wizyty na Leoforos Aleksandras. I ogromne tytuły: „Przepraszam, że wtedy piłem”. Przyznałem, że zawałem swoją szansę w tym wielkim klubie i zawiodłem nadzieje fanów. Zrozumiałem to jednak dopiero po wielu latach...

Wróćmy jednak do roku 2001, gdy niemal równy rok po

pamiętnym meczu na Old Trafford wracałem do Polski, żeby grać na wsi. Tak to wtedy traktowałem, choć później to niewielkie miasto nawet polubiłem. Nie umiałem się z tym pogodzić i nawet nie udawałem, że jestem z tego zadowolony. Po prostu nie miałem wyjścia i musiałem brać co było, bo za chwilę zostałem w ogóle bez klubu. Jak na polskie warunki w zespole RKS-Fameg (to skrót od nazwy sponsora, Fabryki Mebli Giętych. Nieźle, co?) nie miałem najgorzej, bo prezes Tadeusz Dąbrowski robił wszystko, żeby niczego mi nie brakowało, ale jednak ambicje miałem większe. Dużo większe.

Chciałem wielkiej piłki, a wylądowałem w Radomsku.



7. Węgrzyn na dzień dobry

Wspominałem, że miałem szczęście do transferów i grałem tylko w ładnych miejscowościach? Jeśli tak, to uznajcie, że dotyczyło to tylko klubów zagranicznych. Bo przecież grałem w Radomsku, a jak miał mój serdeczny kumpel z tamtych czasów, Paweł Sobczak, światowym centrum seksu i biznesu to miasto nie było. Delikatnie powiedziane.

Jeśli słyszeliście o Radomsku, to albo zdarza się wam jeździć gierkówką, polską trasą numer 1, z Częstochowy do Łodzi lub Warszawy, albo jesteście starszymi kibicami piłkarskimi, którzy kojarzą z dawnej I ligi RKS-Fameg. Bo nie sądzę, żeby ktoś spędzał tam urlop – rozmawiamy o zwykłej szarej mieścinie, w której mieszka niecałe 50 tysięcy ludzi, z czego połowa wsiada codziennie o 6.00 rano w pociąg albo PKS, żeby dostać się do roboty. „Sopel” miał więc rację – polskim Las Vegas trudno tę miejscinę nazwać. Trenowałem tam i grałem przez niecałe 3 miesiące. Trafiłem na przymusowe zesłanie.

Najbardziej zastanawiające jest to, że dziś Radomsko wcale nie kojarzy mi się z czarną dziurą, w którą wpadłem – choć tak właśnie było. Dla mnie było to dobre miejsce, które dziś wspominam z pewnym sentymentem i uważam, że byłem tam szczęśliwszy niż na przykład w Atenach. Dziwne, prawda?

Myślę, że duży wpływ wywarła obecność Goški, która cały czas była przy mnie. Nie miałem kiedy ruszyć w długą, choć... oczywiście czasem głupota mi się włączała. Na tyle rzadko jednak, że w dwunastu meczach strzeliłem siedem bramek, trafiając w I lidze (4 razy w 9 grach), Pucharze Polski (2 razy w 2 meczach, w tym przeciwko Legii, przez co musiała męczyć się z nami w dogrywce) i jakimś śmiesznym Pucharze Ligi. Patrząc na te liczby i nie wierzę – naprawdę w Radomsku strzeliłem cztery z pięciu goli, jakie uzyskałem w najwyższej polskiej klasie rozgrywkowej? Szokująco?! Może raczej miżernie wygląda ten mój bilans...

Mało było bramek, ale dużo mi one dały. Do tej pory dla mniej zaangażowanego polskiego kibica, który przegapił moje występy w Li-

dze Mistrzów i nie miał pojęcia, co działo się kiedyś w Ceramicie, byłem niczym Yeti ze starego dowcipu: wielu twierdziło, że istnieje i jest groźny, ale trudno go zobaczyć. Teraz się pokazałem i szybko udowodniłem, że przerastam tę ligę o klasę albo dwie. Wszedłem do gry niemal bez treningu, a zdobyłem po голу w każdym ze swoich pierwszych pięciu meczów. Były takie spotkania, w których bawiłem się jak na podwórku i to grając dla jednej z najsłabszych ekip w lidze, a przecież w takich zawsze jest trudniej o gole.

Było wiele czynników, które sprawiały, że strzelanie przychodziło mi łatwiej. Przede wszystkim Gośka, która miała mnie na oku cały czas (w porządku, większość czasu – o tych mało jej znanych fragmentach mojego życia jeszcze zdążę opowiedzieć). Do tego ojciec, który regularnie przyjeżdżał do Radomska i kontrolował, czy wszystko układa się jak powinno. Prezes, a raczej szef klubu (o Tadku Dąbrowskim jeszcze wspomnę), który dałby mi wszystko, o co poproszę. Wreszcie na koniec liga, na którą byłem po prostu za dobry. Na moim przykładzie najlepiej było widać, jaka jest różnica poziomów między grecką Alpha Ethniką i polską I ligą.

Uspokoilem się, co przyszło tym łatwiej, że Gośka zaszła w ciążę i na początku 2002 roku miała urodzić mi synka. Większość czasu spędzałem z nią w domu, czasami jeździłem także do Łodzi – do rodziców lub... kolegów. Kilka razy zdarzało się zaszaleć, ale zachowując jednak jakiś umiar. Sam zacząłem wierzyć, że wydorostałem i zmądrzałem.

Sto kilometrów, które dzielą Radomsko i Łódź pokonywałem często w niecałą godzinę. Wydaje mi się, że mandat zapłaciłem tylko dwa razy, przede wszystkim dlatego, że policja szybko mnie poznała. Ta z rejonu Piotrkowa Trybunalskiego traktowała mnie z przyzwyczajeniem oka, także ze względu na samochód, którym jeździłem. Nie sposób było nie rozpoznawać granatowego jaguara, którego na początku naszej znajomości pożyczył mi Tadek Dąbrowski. To był wtedy prawdziwy król regionu: biznesmen, właściciel stacji benzynowej, hotelu i pewnie jeszcze wielu innych mniejszych interesów, o których nawet nie miałem pojęcia. Nie zajmowałem się tym specjalnie, bo nie było takiej potrzeby – każdy kto grał w Radomsku widział,

że biznes idzie dobrze. Piłkarski też, bo przecież Radomszczański Klub Sportowy Fameg awansował do ekstraklasy! Bez wsparcia wielkiego koncernu, jako patrona (bo przecież Fabryka Mebli Giętych to jednak nie Zakłady Płytek Ceramicznych) Dąbrowski dokonał tego, co nie udało się mimo wielu prób, działaczom z Opoczna. Ale miał swoje sposoby.

Miał też Mirka Myślińskiego, którego spotkałem dobrych parę lat wcześniej w Ceramice i który już wtedy przymierzał się do zakończenia sportowej kariery. „Dziadek” trzymał się jednak doskonale – nogę miał ułożoną świetnie, a i w głowie też wszystko poukładane jak należy, więc wciąż dużo dawał zespołowi. Przypominam, był rok 2001, a w 1982 „Myślina” wchodził do szatni Wielkiego Widzewa. I grał regularnie zarówno wtedy w Łodzi, jak teraz w Radomsku.

Do RKS trafiłem w trakcie sezonu, pod koniec wakacji. Wszyscy szybko zorientowali się, kto przyjechał. Nawet bez przygotowania prezentowałem się na treningach tak dobrze, że trener Piotr Mandrysz bez przygotowania zabrał mnie na wyjazd do Szczecina i wpuścił na boisko po przerwie. Strzeliłem gola, który wprawdzie punktów nie dał, ale sprawił, że zaczęto o mnie mówić. Czterdzieści pięć minut wystarczyło, by pokazać, ile potrafię, a najboleśniej przekonał się o tym chyba Kazimierz Węgrzyn, którego wtedy objechałem. Cieszyłem się, bo po powrocie na boisko strzeliłem gola w oficjalnym meczu, a na dodatek nie dał mi rady nawet taki twardziel. Od początku dostałem od niego po kościach, na przywitanie z ligą, a ja nigdy nie przepadałem za grą przeciwko silnym, czarnoskórym obrońcom albo... takim gościom jak Węgrzyn. Humor popsuł mi tylko fakt, że to on z kumplami cieszył się z wygranej.

W drugim moim meczu, parę dni później, RKS Radomsko już wygrał 3:0 w Toruniu w Pucharze Polski. Tego meczu zupełnie bym nie pamiętał, gdyby nie przyszło mi do głowy, że zamiast do Torino trafiłem do Torunia. Niby blisko, ale jednak daleko jak diabli. Siedziało mi to trochę w głowie.

Potem strzelałem w każdym meczu. Pięć występów, pięć goli. Liga, wspomniany Puchar Polski, jakiś dziwny Puchar Ligi, gdzie Mandrysz chciał, żebym tylko pobiegał i wchodził w rytm meczowy –

za każdym razem trafiałem do bramki. Największym moim problemem była skuteczność, ponieważ zespół stwarzał mi sporo sytuacji, a jak nie – sam je wypracowywałem. Czasem pomagali mi obrońcy, jak podczas absurdalnego meczu w Grodzisku Wielkopolskim, gdzie daliśmy pokaz futbolu, a i tak najczęściej mówiło się o... Igorze Koziole. Obrońca Groclinu myślał, że zagrana wzdłuż linii piłka jest już poza boiskiem i pobiegł po drugą, a tymczasem gra toczyła się dalej. Odpuszczony przez Kozioła Radek Kowalczyk, sprytny, szybki napastnik, zorientował się błyskawicznie, że kopnięta wysoko piłka nie wyszła za linię, przejął ją, pobiegł na bramkę i dograł mi idealnie. Pamiętam, że przełożyłem jeszcze raz bramkarza, tak dla zabawy, a Kozioł dalej stał za linią z tą drugą piłką w ręku...

W tamtym meczu strzeliłem gola, miałem jeszcze asystę, drugą bramkę, której nie uznał mi sędzia, choć powinien i jakiś strzał w słupek. Chłopcy pokazywali mi następnego dnia gazety – w każdej pisano, że gość, który wszedł do ligi bez treningu ośmiesza przeciwników, jak juniorów. I nie miało dla mnie znaczenia, czy rywale próbowali opiekować się mną indywidualnie, czy ustawiali obronę szczególnie pode mnie – wiedziałem, że jestem lepszy i dam radę.

W RKS wszystko szło po mojej myśli także dlatego, że cieszyłem się bezgranicznym wręcz zaufaniem trenera. W szatni żartowano, że gdyby Piotr Mandrysz nie wystawił mnie w dowolnym meczu, to znaczyłoby to, że albo nie zna się na piłce (znał się, sam przecież długo i dobrze grał), albo jest wariatem (nie był), albo... chce ostatecznie podpaść szefowi klubu, który i tak za nim specjalnie nie przepadał (nie chciał). Logiczne więc było, że grałem.

Mandrysz poświęcał mi dużo czasu, bo chyba mnie polubił, a już na pewno cenił za umiejętności. Wiedział, że Radomsko to skazany na pożarcie w najwyższej klasie rozgrywkowej beniaminek, który nagle dostał do ręki potężną, choć trochę przerdzewiałą broń – „Sypka”. Robił więc co mógł, żeby szybko ją przystosować do użytku: prowadził indywidualne treningi, a na tych zespołowych ćwiczył ze mną w parze. Skończył grać rok wcześniej, więc chciał być w formie, a wyszło tak, że najlepiej przekonywał się, ile potrafię. Z bliska patrzył, jak go często objeżdżam.

Nawrzeszczał na mnie tylko raz, po meczu ze Śląskiem Wrocław w czternastej kolejce, choć... krzyczał bardziej do reszty drużyny. Gdy mnie spotkał, złość już mu trochę przeszła. Zdobyłem wtedy z karnego jedyne go gola w meczu, ale w następnej akcji zmarnowałem drugą jedenastkę. Mandrysz chciał, by drugiego karnego strzelał ktoś inny, takie miał trenerskie zasady, ale ja się nie podporządkowałem. Zaraz po meczu wściekły wpadł więc do szatni, ale... mnie tam nie znalazł. Do głowy mu nie przyszło, że już palę papierosa w rogu łazienki, jak po każdym swoim meczu od dobrych kilku lat... Słyszałem więc krzyki „Gdzie jest Sypa?”, ale gdy spotkałem trenera pół godziny później, powiedział tylko, żebym więcej nie uprawiał samowolki. Obiecałem się poprawić i poklepałem go po ramieniu. Układy w Radomsku były naprawdę bardzo luźne, nawet do Tadka Dąbrowskiego mówiłem: „Cześć, Tadziu”, a nie „Dzień dobry, panie prezesie”.

Ted, bo tak go nazywaliśmy (Tadeusz i Ewa Dąbrowscy byli właścicielami wspomnianej wcześniej stacji benzynowej przy jedyńce, nazywanej także TED), był fajnym gościem. Nie chodzi tylko o to, że pieniądze wypłacał w terminie, a kilkanaście tysięcy dolarów za podpis na półrocznej umowie dostałem do ręki od razu, ale o to, jak Tadek postępował. Normalny był, tak najłatwiej to opisać. Miał swoje dziwne zachowania, ale ogólnie był naszym kumplem bardziej niż szefem. Nawet gdybym nie miał na piśmie tego, że mogę za darmo odejść po rundzie, pamiętałyby o słownej umowie, która przyciągnęła mnie do jego klubu.

Nie pamiętam, ile mi płacił, ale chyba około 20 tysięcy złotych miesięcznie (co było wtedy wysoką, choć nieoszałamiającą ligową pensją) i z całą pewnością w terminie. Obiecywał wysokie premie ligowe, bo jako niezły cwaniak wiedział doskonale, że innych cwaniaków, tych z boiska, tylko w ten sposób zmotywuje. Dotrzymywał słowa: gdy powiedział, że pozwoli mi odejść do dowolnego klubu, kiedy tylko będę chciał – nie robił żadnych przeszkód i nic nie wypoминаł, a miałby co, bo przecież tego ślicznego jaguara, którego dał mi do użytkowania na czas gry w RKS (wraz z zaproszeniem do bezpłatnego tankowania na jego stacji) poważnie poobijałem już po kilku

dniach. Wracalem do Łodzi, padało i było ślisko, a ja ruszyłem ze świateł tak, że... wylądowałem w rowie na wysokości centrum handlowego Ptak w Rzgowie. Nic mi się nie stało, ale jaguar się trochę wgniół i Tadek się zdenerwował. Bardziej nawet niż dwa dni wcześniej jak z jaguara niemal wysypywały się niedopałki papierosów. Chłopcy mieli niezły ubaw, ale co miałem robić po drodze, jadąc do większego miasta? Tylko palenie mi pozostało.

O tym, jaką Ted otoczył mnie opieką świadczy też fakt, że od razu dał mi ładne mieszkanie na wybudowanym przez własną firmę monitorowanym osiedlu, choć... miał je dostać Piotrek Mandrysz i już podobno szykował się do przeprowadzki. Trener sam jednak uznał, że woli mieszkać trochę gorzej, ale mieć w zespole zadowolonego „Sypę” niż na siłę zmieniać lokum. To właśnie do tego mieszkania przychodził czasem Dąbrowski, by po prostu, tak zwyczajnie i po ludzku, pogadać, jak mi się żyje i gra. Takie wsparcie zawsze było dla mnie ważne – i od trenera, i od prezesa w Radomsku je dostałem.

Na tym osiedlu, na którym w połowie sezonu, już po mojej wyprawce, mieli zamieszkać Sławek Wojciechowski, Adam Matysek, czy Olgierd Moskalewicz, (czyli sprowadzeni w ostatniej chwili gracze z nazwiskami), miałem też dobrego sąsiada – Pawła Sobczaka. „Sopel” również miał się w Radomsku odbudować po tym, jak nie poszło mu w Austrii i we Włoszech. Więc czasem się wspólnie, tak to nazwijmy, odbudowywaliśmy. Najlepszym spoiwem przy takiej regeneracji jest oczywiście piwo.

„Sopel” zaczął w RKS fenomenalnie, bo od dwóch goli w pucharowym debiucie, ale później złapał kontuzję i stracił większość rundy. Długo się z nim kumpłowałem, bo choć nie był wybitnym piłkarzem, to kolegą – fantastycznym. Miał swoje atuty na boisku, czyli wzrost, siłę i strzał głową, ale jeszcze więcej zalet poza placem gry. Jeszcze po moim transferze do Wisły utrzymywaliśmy kontakt, co przychodziło tym łatwiej, że... przeniósł się do Łodzi, do Widzewa. Gdy wracałem do swojego miasta, miałem więc z kim się spotkać.

W Radomsku porządnie napiliśmy się dwa razy, i oba razy były pamiętne. Zdarzało nam się spotkać na piwie, oglądając jakiś mecz, ale nasze kobiety trzymały nas krótko, więc raczej rozwinięcia impre-

zy nie było. Kiedyś, właśnie podczas takiego spotkania, uznaliśmy, że trzeba scementować przyjaźń i przygotowaliśmy sporą baterię butelek. Jeszcze porządnie się za te flaszki nie wzięliśmy, a tu dzwonek do drzwi, w których staje... Tadek Dąbrowski. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby wiedział o zapasach, bo wiedział o wszystkim, co działo się w mieście, ale nie – wpadł z towarzyską wizytą, na kilka minut. Piwo w rękę nie stanowiło dla niego problemu, lodówki przecież nie sprawdził, a wtedy byliśmy jeszcze trzeźwi. Zdjął więc buty i wszedł do pokoju, a my zobaczyliśmy, że ma... dwie dziury w skarpetce. Złoto na szyi, solidna kanapka z banknotów w kieszeni, a tu palec wychodzi na podłogę. Ryknęliśmy śmiechem, nie dało się tego opanować. Ale Tadek zachował spokój i pośmiał się z nami, mówiąc, że za dużo go piłkarze kosztują i na ubrania nie wystarcza. Sytuacją specjalnie się nie przejął.

Drugi raz z „Soplem” był jeszcze bardziej pamiętny.

RKS grał mecz trzynastej kolejki (przedostatniej przed podziałem grup i punktów, taka była wtedy liga) we Wronkach i musiał wygrać, żeby mieć szansę na awans do górnej połówki tabeli. Pamiętam, że Piotrek Mandrysz robił wtedy jakieś trenerskie papiery w Warszawie i dojechał sam do Poznania, gdzie byliśmy zgrupowani przed meczem. My dostaliśmy zgodę, by jechać własnym samochodem, nie pamiętam już czym to uzasadnialiśmy. W każdym razie ta zgoda zaskoczyła nawet nas – żeby dwóch takich imprezowiczów puścić razem w teren? Samych?!

Na zgrupowanie do Poznania dotarliśmy, ale dość późno. Na kolacji mocno czuć było od nas piwo, więc dostaliśmy nakaz, by zaraz położyć się spać. Ale my już złapaliśmy „ciąg na bramkę”, więc spać poszliśmy bardzo późno. Czy też wcześniej, jak kto woli – o świcie. Alkohol musiało być od nas czuć jeszcze na boisku we Wronkach.

Najlepsze mecze grałem zawsze na kacu, jednak spotkanie z Amicą było wyjątkiem potwierdzającym regułę. Zawaliłem. Do przerwy było jeszcze 0:0, ale potrzebowaliśmy zwycięstwa, więc ruszyliśmy do ataku i... dostaliśmy pięć goli. „Sopel” wszedł na dożynki, gdy było już 3:0 dla Amiki, ale ja musiałem się męczyć przez 90 minut. Chciało mi się spać, a musiałem biegać. Lub przynajmniej udawać, że biegam.

Mandrysz dopiero po meczu dowiedział się o trybie przygotowań dwóch swoich napastników, wcześniej współpracownicy bali mu się cokolwiek powiedzieć. O tym, dlaczego zespół przegrał 0:5 został też poinformowany Ted, ale obeszło się bez kar finansowych. Ojcowskie pogawędki i wściekłość trenera, to jedyne nieprzyjemności, które nas wtedy spotkały.

Jak widać w Radomsku poznałem urok polskiej ligi. Był taki mecz w Chorzowie, który przegraliśmy 0:1, a sędzia (taki mały, czarny, dziwnie biegający – pamiętam tego frajera do dziś) śmiał się nam w oczy. Zrobił wszystko, żebyśmy nie wygrali, wiedząc, że nie ponieś za to żadnych konsekwencji. Kipiałem, bo nie podyktował dwóch ewidentnych karnych za faule na mnie, w tym jednego, gdy próbowałem wyrównać w ostatniej minucie. Jeszcze ze śmiechem dał mi żółtą kartkę... Następnego dnia w Radomsku mówiono tylko o tym, w Canal+ też powiedzieli o błędach sędziego, ale gość pozostał bezkarny. Ruch Chorzów też, choć akurat z tym klubem kojarzy mi się jeszcze głośniejsza historia z tamtych czasów.

Sezon, w którym wróciłem do Polski był... dziwny. Po raz pierwszy, i jedyny jak do tej pory, I liga została podzielona na dwie grupy po osiem drużyn. Później czołowe czwórki walczyły o mistrza, a te osiem słabszych, w tym RKS, biło się o utrzymanie, z zaliczeniem połowy zdobytych wcześniej punktów. Na koniec mieliśmy jeszcze baraże. Widać więc wyraźnie, że kluczowe było zapewnienie sobie miejsca w czwórce swojej grupy i to było celem mojej drużyny. Gdybym grał tam od początku, pewnie nie byłoby problemu, ale zacząłem od ósmej kolejki, a wtedy straty były już konkretne. Jednak sporo udało nam się odrobić i realne szanse na awans do grupy mistrzowskiej straciliśmy dopiero po pamiętnym meczu we Wronkach w trzynastej, przedostatniej kolejce. W ostatniej przyjeżdżał do nas Śląsk Wrocław i potrzebował nie gorszego wyniku, niż wspomniany Ruch, bo oba zespoły miały tyle samo punktów, a Śląsk miał lepszy wynik z bezpośrednich meczów z Ruchem. Co więc wymyślili moi koledzy z zespołu?... Nie, nie chcieli sprzedać meczu, to byłoby zbyt ryzykowne i nie w porządku w stosunku do Tadka Dąbrowskiego, którego wszyscy szanowali. Postanowili zarobić w inny sposób.

Cała ta sprawa rozgrywała się poza mną, więc nie wszystko wiedziałem, ale jakoś obito mi się o uszy, że był problem z kontaktem z Ruchem – bo starsi piłkarze założyli, że właśnie od chorzowian dostaną premie. Legalne, za zwycięstwo. Nasz kolega z zespołu, Mirosław Kalita, udzielił więc wywiadu, w którym stwierdził, że... czekamy na oferty z Chorzowa. Rzadko znajdujecie w tej książce jakieś cytaty, ale trudno mi będzie samemu przedstawić, co naopowiadał w „Gazecie Wyborczej”, w rozmowie z Andrzejem Klembą. Ta zapomniana dziś sprawa to świadectwo tego, co działo się w naszej piłce krótko po 2000 roku.

„Piłkarze RKS Radomsko chcą 150 tys. zł od Ruchu Chorzów za pokonanie w niedzielę Śląska Wrocław. – To chyba normalne, że chorzowianie do nas zadzwonią – przyznaje Mirosław Kalita, piłkarz RKS, a prezes Ruchu zapewnia: – Organizacyjnie zrobimy wszystko, by awansować”.

Dobre? Później było jeszcze lepiej. Przypomnę, w „Gazecie Wyborczej”, na ostatniej stronie. Na cały kraj.

„Chorzowianie, nawet jeśli pokonają Amicę, muszą jeszcze liczyć na potknięcie Śląska. Tę sytuację chcą wykorzystać piłkarze RKS Radomsko.

– Czekamy na telefon z Chorzowa. Na zdrowy rozsądek Ruch musi nam zaproponować pieniądze – twierdzi czołowy piłkarz Radomska Mirosław Kalita.

A co na to działacze z Chorzowa? – Nie działałam w piłce od pięciu dni, żeby nie wiedzieć, że takie rzeczy się zdarzają. Mam jednak nadzieję, że sportowa postawa zwycięży – podkreśla Krystian Rogala, prezes Ruchu.

– Zapłacicie RKS?

– Bez komentarza. Organizacyjnie zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy, by awansować do grupy mistrzowskiej. Wszystko rozstrzygnie się jednak na boisku – odpowiedział Rogala.

Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, piłkarze RKS podobno zażądali trzysta tysięcy złotych.

– Bądźmy realistami – zastrzega Kalita. – Ani Śląska, ani Ruchu nie stać na wyłożenie takiej sumy. Połowa z tego to i tak będzie dla nas

dużo”.

Potem w tekście były jeszcze opinie ekspertów, czy Kalitę należy ukarać i czy domaganie się „nagrody” jest moralnie właściwe. Była też wypowiedź Tadka Dąbrowskiego, przypomnę, prezesa RKS, że „nie widzi w takiej motywacji dla swoich zawodników nic złego”. Nieźle, prawda? Mówimy o meczu, który ostatecznie wygraliśmy 1:0 i w którym wykorzystałem jednego z dwóch karnych. To po nim Mandrysz był na mnie tak wściekły, że tej drugiej jedenastki nie oddałem. Widać było, że bardzo chciał wygrać.

Pamiętam, że gdy już szedłem szybko do szatni, by sobie zapalić, piłkarze Śląska oglądali końcówkę meczu w Chorzowie na małym monitorku wystawionym na murawę przez stację Canal+. Mecze miały rozpocząć się o tej samej godzinie, ale gracze Ruchu wyszli na drugą część... parę minut później. Gola z rzutu karnego, na remis 2:2, strzelili w ostatniej minucie, gdy nasz mecz już się skończył i gracze Śląska nie mieli żadnej szansy odpowiedzieć. Płakali leżąc na boisku.

A co z premią od Ruchu? Nic się o niej początkowo nie mówiło, ale potem któryś z młodszych chłopaków zadzwonił do kumpla z Chorzowa i ten powiedział, że oni się wywiązali z umowy. Zrobiła się mała awantura w szatni i dwóch starszych kolegów chciało potem mnie i „Sopłowi” jakieś pieniądze z opisywanej „nagrody” wypłacić. Było to dwa tygodnie po fakcie. Dlatego kazaliśmy im spierdalać. Ogólnie jednak atmosfera w Radomsku była dobra i naprawdę miło wspominać tamten okres.

Co stało się z RKS? Do awansu do czołowej ósemki ligi zabrakło nam trzech punktów, jednej wygranej. Śląsk, któremu brakowało minuty z meczu w Chorzowie, by grać o miejsca 1–8 ostatecznie spadł do II ligi, a RKS był jedną pozycję wyżej i grał w pełnych afer barażach ze Szczakowianką Jaworzno. Na boisko powrócił nawet niespodziewanie trener Piotr Mandrysz, który... sam się wprowadził z ławki rezerwowych. Nawet to nie wystarczyło. Podobnie jak przedstawione przez Tadka Dąbrowskiego dowody, że w Szczakowiance grał niezgodnie z prawem zawodnik – PZPN kilka razy zmieniał decyzję i wreszcie RKS ostatecznie zdegradował. O tym wszystkim opowiadał mi ojciec, który żył całą sprawą, gdy we mnie nie budziła ona

najmniejszych emocji. W maju 2002 roku zażywałem garściami leki psychotropowe i wszystko było mi obojętne.

Gdy radomszczanie na zawsze żegnali najwyższą klasę rozgrywkową, miałem już za sobą ostatni mecz w polskiej I lidze, zwanej dziś ekstraklasą. Na oba te upadki największy wpływ miała moja własna decyzja podjęta pół roku wcześniej – ta grudniowa, o przenosinach do Krakowa.

Nie chodzę już do kasyna

Igor Sypniewski po latach gry w Grecji i Szwecji wrócił do ŁKS. Wraz z łódzkim zespołem zamierza wejść do elity polskiego futbolu – ekstraklasy

«Ciepło się pan piłkarzom umywał?»
«Jeszcze nie»
«Dla niego najlepszy był reprezentant Polski gra w II lidze?»
«Jestem przyzwyczajony do ŁKS i chęć spróbowania miał tylko chęć klub do ekstraklasy»

bardzo gruby rozpięniętą rakietą. Miałem już do niego rusa z młodszą. Jak to w życiu było, jeden na socjety, drugi sprawa to obieranie kłopoty. Chodziło jednak o potrzebę nowości i ŁKS się pan odważył?

Owsie, a kłosa wiele plony na przepadali. To wszystko się wia, do usatysfakcjonowania się. W tym byłoby piłkarzem?
«Bardzo było ciężko i powoli jest to bawienie się w Działce?»
«Mam ogromny błąd do awansów. Wzrost, co i jak w futbolu funkcjonuje. Były wolał, jak poprowadzić Kargu, aby nie popełnił takich błędów»
«Wia pan, gdzie w Łodzi są kasyna?»
«W kilka godzin. Adres to już jest przesyłane. Mam jeszcze w tym»
«Ile pan najwięcej przegrał?»
«Bardzo, ale chyba nie. Kiedyś uwodziłem się kilka razy. To nie jest gra, która nie ma znaczenia i tego»
«Najbardziej interesująca chwila na boisku?»
«To chwila, gdy w meczu, gdy awansowałem do ekstraklasy. Kiedy otrzymałem ofertę do ekstraklasy»
«Ma pan jeszcze reprezentacja kraju?»
«Nie. Już nie mam pozwolenia, do nie interesuje mnie gra w drugą stronę»
«Czyby jeszcze raz stanął pan przed wyborną kielichem?»
«Pewnie stałbym się, aby zostać piłkarzem»



Miało być spotkanie na boiskach ŁKS.



Spacery z K...

DO ME CZU WISŁA - PANATHINAIKOS ZOSTAŁO 8 DNI

Grecy mają więcej szans

Igor Sypniewski uważa, że warszawski zespół zmierzy się z wielką konkurencją z Atlet. Gra tu i tu, musi być w stanie...

PRZEGLĄD SPORTOWY

Sypnęło...

NA PRZEGLĄD SPORTOWY
TYGODNIA 2002
- DOPINIESE.

AMIKĄ W FINALE PUCHARU

PRZEGLĄD SPORTOWY

Wzrosty

SWIATA W PRZEŁAZNEJ
100 zł 50

8. Franz, Frankowski i inni

Każdy człowiek w życiu popełnia jakieś błędy, ale w moim przypadku zawsze były to błędy bardzo kosztowne. Najgorszym okazał się transfer do Wisły. Sądziłem, decydując się na przejście do Krakowa, że znów trafię na poziom Panathinaikosu, będę regularnie grał w kadrze i sięgnę piłkarskiego nieba, a tymczasem tą decyzją wrzuciłem siebie do grobu. Tak, do grobu.

Pod koniec 2001 roku wykopałem sobie dół, położyłem się i czekałem, aż wszyscy zasypią mnie na zawsze. Wtedy z beztroskiego chłopaka, któremu wszystko uchodzi płazem, stałem się przerażonym, starym człowiekiem, który marzy już tylko o tym, by mieć spokój. Ile w tym mojej winy, a ile Wisły? Trudno mi oceniać, nie jestem obiektywny. Uważam, że krakowski klub zniszczył mi życie, karierę, oni sądzą, że wyrzucili pieniądze. Myślą też pewnie, że te pieniądze im ukradłem, natomiast ja ich nawet nie zobaczyłem.

Jedno jest pewne – to nie był dobry związek. Wyniszczający.

W 2001 roku Wisła była na etapie budowania swojej potęgi. Walczyła o trzecie mistrzostwo Polski od momentu przejęcia klubu przez Bogusława Cupiała, Liga Mistrzów wydawała się być tylko kwestią czasu. Gdy zgłosili się po mnie, pomyślałem, że kolejny raz spadłem na cztery łapy, a Bóg chce, żebym jednak był szczęśliwy i bogaty. Wszystko jednak potoczyło się inaczej. Mój powrót do Polski był więc niczym wizyta w dyskotecę – nie chciało mi się na nią iść, ale kilka godzin później wylądowałem w łóżku z najlepszą dziewczyną, by po chwili szczęścia szybko się zorientować, że ta noc wyrządzi w moim życiu znacznie więcej złego niż dobrego.

Za grę w Wiśle miałem dostawać 10 tysięcy euro miesięcznie. Dodatkowo przez pięć lat klub miał mi wypłacić w sumie 1,14 mln euro w ratach kontraktowych. Kosmos, gigantyczne pieniądze. Dobrze liczyć, gdybym wypełnił tę umowę na moje konto trafiłoby 1,74 mln euro (słownie: jeden milion siedemset czterdzieści tysięcy euro). Plus premie rzecz jasna, które były czymś oczywistym, bo przecież prezes nagradzał za mistrzostwo, a i awans do Ligi Mistrzów

przyniósłby majątek. Gdy podpisywałem kontrakt byłem pewien, że spełnimy marzenie Bogusława Cupiała i zagramy w elicie. Wielki klub, dobrze poukładany zespół pełen gwiazd, kibice na których patrzyłem z podziwem, odkąd trafiłem do Polski – to po prostu nie mogło się nie udać.

Finansowo w Radomsku też źle nie miałem, ale tu wskoczyłem na zupełnie inny poziom, zarabiając chyba jakieś cztery razy więcej niż u Tadka Dąbrowskiego. Przeskok był kolosalny, mówiono nawet, że mam największe zarobki w lidze! Wydaje mi się to mało prawdopodobne, bo w Wiśle było kilku dobrych piłkarzy, którzy na pewno zarabiali bardzo dużo, ale... tak mówiono. Nie narzekałem i innym w kontrakty nie zaglądałem. Szczerze mówiąc, miałem też nadzieję, że inni nie zobaczą mojej umowy, bo zazdrość nie sprzyja pozytywnym kontaktom.

To był czas, kiedy w Wiśle chcieli grać wszyscy, a Bogusław Cupiał nie oszczędzał na piłkarzach. Nigdy sam na sam z nim wprawdzie nie rozmawiałem, ale tuż przed rundą wiosenną spotkaliśmy się na uroczystej kolacji całego zespołu. Cupiał sprawiał dobre wrażenie i było widać, że nas szanuje, ale jakiegoś bliższego kontaktu z drużyną nie szukał. Kolacja nie potrwała więc długo. Posiedzieliśmy w klubowej kawiarni, coś tam przekąsiliśmy i rozjechaliśmy się do domów. Swoimi samochodami, bo o alkoholu na takim spotkaniu nie było nawet mowy. Cupiał podobno zwracał na takie rzeczy dużą uwagę.

Zanim trafiłem do Wisły, miałem sygnały, że interesowały się mną dwa kluby – włoskie Udinese i niemieckie Energie Cottbus. Bundesliga mnie nie interesowała, a już na pewno nie przeciętne Energie, ale możliwością transferu do Włoch byłem podekscytowany. Ani przez moment nie pomyślałem, że być może znowu jestem zwodzony przez menedżera, jak pół roku wcześniej. Przecież po grze w OFI też miałem niby-ofertę z Włoch, z AC Torino i nic z tego nie wyszło. Podobnie jak teraz z wyjazdu do Udine, z którego byłoby już bardzo blisko do wielkich klubów z Italii. Serie, a zawsze działała mi na wyobraźnię i choć inni preferowali ligi z innej części Europy, ja marzyłem właśnie o tej włoskiej. Może wpłynęła na to moja dziecięca i młodzieńcza fascynacja Zbigniewem Bońkiem?

Mając pilotować ten transfer Adam Mandziara sprawił jednak, że zamiast polecieć na południe Europy wylądowałem w Krakowie. Żałowałem tylko na początku, bo potem cyfry, które zobaczyłem w kontrakcie sprawiły, że nie myślałem już o Udinese. Fakt, że w Krakowie od samego początku mogłem poczuć się jak gwiazda, ułatwiał aklimatyzację, a i perspektywy rysujące się przed drużyną zapowiadały doskonałe lata. Byłem usatysfakcjonowany. Nic nie zapowiadało totalnej klęski.

Na mój pierwszy trening przyszło sporo kibiców – nie mogło być inaczej skoro szum wokół Wisły wzrastał, a od kilku dni gazety rozpiswały się, jaki to doskonały napastnik trafia do ich klubu. Już pierwsze moje zagrania musiały przekonać nawet tych, którzy nie widzieli moich akcji z Radomska, że Franek Smuda dokonał słusznego wyboru. W wewnętrznej gierce strzeliłem dwa gole, a później klub oficjalnie przedstawił mnie na konferencji prasowej. Zdjęcia z niej obiegły kraj, następnego dnia trafiłem nawet na pierwszą stronę „Przeglądu Sportowego” – tym transferem naprawdę żyła piłkarska Polska. Gdy pół roku później po cichu rozwiązywaliśmy umowę, nikt się o tym nie dowiedział. Wtedy obie strony chętnie cofnęłyby czas. Jednak w pierwszych dniach pobytu w Wiśle miałem wszystko, by poczuć się królem świata.

Nigdy nie przykładałem wielkiej wagi do „lansowania”, jak to się teraz mówi, czy podlizywania się kibicom, ale na swojej pierwszej konferencji w Krakowie mówiłem to, co wszyscy chcieli usłyszeć. Ktoś zasugerował mi jeszcze przed spotkaniem z dziennikarzami, żebym koniecznie nazwał Wisłę „najlepszą polską drużyną”, więc zrobiłem to nawet kilka razy. Nie miałem z tym zresztą problemu, podobnie jak ze stwierdzeniem, że na pewno wejdziemy do Ligi Mistrzów. Wierzyłem wtedy w to, co mówiłem. Kłamać nie umiem.

Mój związek z Wisłą zaczął się więc doskonale. Kibice błyskawicznie mnie polubili. Niosłem im nadzieję, byłem gościem, który zna smak upragnionej Ligi Mistrzów i mówi, że oni zaraz też go poznają. Już za momencik, już w następnym sezonie...

Od początku w Wiśle nie miałem przyjaciół i nigdy nie czułem się częścią zespołu. To była dla mnie nietypowa sytuacja, bo wcześniej

wszędzie, gdzie grałem, byłem lubiany, miałem grupę dobrych kumpli. W Wiśle – ani jednego. Czy wpływ na to miała duża konkurencja i walka o miejsce w składzie? Zapewne też, bo kilku piłkarzy nie ukrywało nawet niezadowolenia z mojego transferu. Wiadomo – do drużyny wielokrotnego mistrza Polski przychodzi napastnik, który dostaje wielki kontrakt i z którym klub wiąże ogromne nadzieje, a takich gości żaden trener nie sprowadza po to, by sadzać ich na ławce. Wniosek – ktoś straci miejsce w jedenastce. Nie chcę podawać nazwisk, ale łatwo się zorientować, kto mógł siedzieć na ławie zamiast mnie. I komu ewentualne poparcie, także na boisku, daliby pozostali ludzie w zespole.

Nie było oczywiście tak, że cała szatnia mnie odrzuciła, bo złapałem zupełnie dobry kontakt z Kamilem Kosowskim, Maćkiem Żurawskim i Marcinem Baszczyńskim. Ale od początku wiedziałem, że tak naprawdę mogę liczyć w klubie tylko na jedną osobę. Z trenerem, Frankiem Smudą, miałem rewelacyjny kontakt, wiele razy mówił mi, że bardzo zależało mu na moim transferze i że chce na mnie stawiać. „Franz” podbudowywał mnie jak mógł, chwalił często i może aż za bardzo. Chłopaki w szatni śmiali się z wielu rzeczy związanych ze mną, a zwłaszcza z jednego mojego przyzwyczajenia: wracając z murawy zdejmowałem buty piłkarskie przed wejściem do budynku klubowego. Tego zostałem nauczony w Panathinaikosie i wydawało mi się oczywiste, że trzeba tak robić. Jak po wejściu do domu, żeby nie brudzić w pokoju.

W Krakowie mieszkałem bardzo krótko, ale wydarzyło się tam wiele z tego, co najgorsze w moim życiu. To właśnie w Krakowie po raz pierwszy poszedłem do kasyna. Zaprowadził mnie tam menedżer Adam Mandziara jeszcze przed podpisaniem kontraktu. On grał spokojnie, posiedział może godzinę, a ja rzucałem żetonami do czwartej nad ranem, przy czym kilku ostatnich godzin właściwie nie pamiętam, bo byłem kompletnie pijany. Jak już pisałem, trochę pieniędzy w życiu przegrałem – czy to w kasynach, czy na automatach. Jednorazowo najwięcej kilkanaście tysięcy euro, ale wtedy, w Wiśle, specjalnie się tym nie przejmowałem. Myślałem, że zarabiam ogromne pieniądze, a poza tym mam jeszcze na koncie sporą sumę z czasów

gry w Panathinaikosie, więc nic wielkiego się nie stało. Ależ byłem naiwny...

W Wiśle kompletnie zgłupiałem, byłem zachwycony kasynem. Przesiadywałem tam całe noce, a nad ranem najczęściej miałem puste kieszenie. Następnego dnia wracałem, pewien, że się odegram, bo przecież jak raz się przegrywa, to następnego musi być odwrotnie, prawda? Wtedy nie wiedziałem, że to tak nie działa, a może po prostu tylko sobie wmawiałem, że jest szansa na wygraną, a tak naprawdę bardzo imponowało mi to, że mogę obracać dużymi pieniędzmi? Że wokół mnie dużo jest świetnych dziewczyn i kelnerzy za darmo przynoszą wódkę. „Za darmo”, naprawdę tak wtedy myślałem. Przez myśl nie przeszła mi prawdziwa cena drinka, płacona w żetonach rzuconych na stół przed każdym obrotem ruletki. Jakże byłem głupi, a kasyno – mądre. Mój menedżer – zbyt zadowolony z tego, co już ugrał na „Sypie” i zbyt zajęty sobą, aby troszczyć się co ze mną będzie.

Zdarzyło mi się też pojechać do kasyna do Łodzi, by pograć. Spotkałem tam kilku starych kolegów, ale nie tych ze skwerku, a tych, nazwijmy to w ten sposób, ze świata sportu. To wtedy doszło do sytuacji, w której wściekły rzuciłem całą kasetką z żetonami, gdy kulka przetoczyła się o jeden numer za daleko... Zamiast kilkunastu tysięcy do przodu przez kilka milimetrów straciłem swoją stawkę, a że w głowie szumiało – tak walnąłem w stół, że wszystko wylądowało na podłodze. To były takie plastikowe rynienki, większa wersja tego, co mają przed sobą taksówkarze, żeby segregować monety. Tyle że nie miałem tam drobnych, a same czarne żetony, warte najwięcej... Po tym, jak rozsypały się po całym kasynie, ze znajomymi zebraliśmy z podłogi niecałe pół, prawie pełnej wcześniej kasety. Z dziesięciu tysięcy złotych do zabawy zrobiło się nagle jakieś cztery, bo reszta żetonów gdzieś zniknęła – przede wszystkim pod nogami i w kieszeniach innych gości, którzy ochoczo „pomagali” zbierać. Tak się wtedy bawiłem. Tego samego wieczora zaskoczyłem kolegów z Warszawy, odwożących mnie pod dom na Bałuty, podobno powiedziałem, że nie muszą zamykać mojego mercedesa:

– Tutaj na Bałutach mojego nikt nie ruszy – upierałem się totalnie zalany, zabierając z ich ręki kluczyki.

Kasyna do rana i alkohol zniweczyły moją szansę w Wiśle. Na treningi chodziłem skacowany i niewyspany, a wracając do domu kupowałem kilka piw, które szybko wypijałem i szedłem po następne. Potem drzemka i powrót do kasyna, a w najlepszym wypadku – wieczór w domu, choć również z piwem w rękę. Gośka była ze mną, ale niestety, nie trzymała mnie krótko. Była bardzo uległa. Przez wiele lat tolerowała moje zachowanie, bo mnie kochała i nie chciała awantur, a ja byłem w amoku, który trwał i trwał.

Nie mam żadnych wątpliwości, że Franz (Smuda, nie mylić z Tomkiem Frankowskim, zwanym „Frankiem”), chłopaki – wszyscy w klubie widzieli, co się ze mną dzieje. Ktoś nawet próbował ze mną rozmawiać na ten temat, ale ja oczywiście – z uśmiechem na ustach – zaprzeczałem wszystkiemu. Wiadomo – alkoholik. Nigdy nie przyzna się, że pije, nawet wtedy, gdy leży na ulicy.

W Wiśle grałem średnio, mój organizm już nie radził sobie z występami na wysokim poziomie przy jednoczesnym picciu na umór połączonym z niedoborem snu. Po pierwsze, byłem starszy niż w Panathinaikosie, a po drugie, w Wiśle oczekiwano ode mnie dużo więcej. W Atenach byłem jednym z wielu, a Wisła kupiła mnie po to, żebym był najlepszy. Zarabiałem dużo i dużo miałem z siebie dawać. Kiedy nie trafiałem z bliska do bramki – a zdarzyło się tak choćby w debiucie z Ruchem Chorzów – byłem traktowany zupełnie inaczej, niż gdyby w tej sytuacji nie trafił ktokolwiek inny. Młodego można by pochwalić, że wypracował karnego, po którym Maciek Żurawski strzelił zwycięską bramkę, choć wcześniej brakowało mu trochę szczęścia, spudłował minimalnie, ale nie mnie. „Sypa” miał być gwiazdą, miał strzelać. Dużo strzelać.

Presja była ogromna i ona poniekąd też mnie zgubiła. Dziś wiem, że gdybym w drużynie czuł się dobrze, gdyby klub chciał dłużej na mnie stawiać, a chłopaki wiedzieli, że dzięki mnie mogą wygrywać i zarabiać więcej, to może dałbym sobie radę. Ale niestety, nie miałem żadnej pomocy, a z czasem wręcz przeciwnie.

Przed sezonem graliśmy sparing z Bełchatowem, w którym zdobyłem gola, ale doznałem kontuzji. Smuda pokazał wtedy, jak bardzo na mnie liczy, bo zabrał mnie na obóz do Włoch, choć nie bardzo

nadawałem się do treningów. Chciał, żebym zintegrował się z drużyną. Niestety, ten plan się nie powiódł. Jest w tym oczywiście część mojej winy, bo nigdy, w żadnym klubie, nie byłem duszą szatni. Zawsze jednak umiałem znaleźć sobie towarzystwo, w którym czułem się akceptowany. Ale nie w Wiśle. Przestałem więc szukać na siłę przyjaciół, wystarczyłoby, żebyśmy zostali znajomymi z pracy. Chciałem tylko, żeby mnie szanowano, a nie żartowano ze wszystkiego co robiłem i mówiłem, a nawet z tego, czego nie zrobiłem. To jak to robili główni żartownisie – te ich uśmieszki, jakieś dziwne tekściki pod moim adresem i sposób, w jaki się zachowywali doprowadzały mnie do szału. Naprawdę niewiele brakowało, żebym któremuś przypierdolił i może nawet byłoby to dobre rozwiązanie. Albo wtedy wyrzucono by mnie dyscyplinarnie z klubu – choć może nie, może wszystko jakoś by się poukładało – albo zobaczyliby, że trzeba na mnie uważać. Tymczasem wszystko tłamsiłem w sobie. Gotowałem się w środku, a na zewnątrz próbowałem uśmiechać. To nie było moje środowisko.

Gdyby nie Kosa, czy Żuraw, to w ogóle nie miałbym się do kogo odezwać. We Włoszech postanowiliśmy się zintegrować na poważnie, gdy któregoś dnia Smuda pozwolił nam pojechać wieczorem do miasta. Ruszyliśmy we trzech, z Kosą i Żurawiem, ale... szybko wróciliśmy, ponieważ okazało się, że do centrum mamy kawał drogi. Poszliśmy do pokoju chłopaków, bo Maciek Żurawski miał w lodówce kupioną na lotnisku whisky, a że uważał się za eksperta w dziedzinie tego trunku, nie był to zwykły „Johny Walker”, a jakaś cholernie droga butelka. Mocne to było niemożliwie i śmierdziało straszliwie, ale grzecznie piliśmy ze szklaneczek. Nie lubię mocnych alkoholi, podobnie jak Kosa, a whisky wręcz nie znosiłem, ale nie wypadało odmówić.

Siedzieliśmy w pokoju, opowiadaliśmy jakieś historie, śmialiśmy się – normalny wieczór na zgrupowaniu. Usłyszał nas Smuda, który wściekły wparował do pokoju i zaczął krzyczeć, że odeśle nas do domu. Żurawowi odpuścił początkowo, ale do Kosy się przyczepił:

- Wiem, że pijesz, gdzie gorzała? – krzyczał, a Kamil spokojnie:
- My sobie tylko siedzimy.

Smuda wpadł w szal. Za jego plecami stał Zdzisław Kapka, wtedy chyba prezes Wisły, a Franz szukał butelki: w koszu na śmieci, pod łózkami, pod kołdrami, za telewizorem i w walizkach. Podłogę by zerwał, gdyby mógł! Zaczął grozić, że wezwie policję, żeby nas alkoma-tami zbadała, a Kosa na to:

– Bardzo proszę.

Pachniało awanturą. Nie chodziło nawet o to, że ktoś delikatnie popija, a bardziej o to, że... na zgrupowaniu nie pił Smuda. Franek ma zasadę, że podczas postu niczego, co ma procenty nie bierze do ust, a to z kolei sprawia, że jest uczulony na picie innych i bardzo nerwowy. To był właśnie ten czas.

Lodówka, gdzie spokojnie chłodziła się nasza flaszka bardzo dobrej whisky, była chyba jedynym miejscem w pokoju, którego nie wziął pod uwagę. Nic by nam nie udowodnił, gdyby nie to, że... kazał mi iść do siebie do pokoju. Wstałem, zatoczyłem się i usiadłem – mocne alkohole nie były moją domeną. Znow wstałem i znow bym upadł... Kamil i Maciek byli prawie trzeźwi, a ja się chwiałem, może z powodu wypitych wcześniej piw... Cóż, łyskacz uderzył mi do głowy i choć dowodów nie znaleziono, kara musiała być. Następnego dnia po śniadaniu Smuda ogłosił, że mamy zapłacić po 20 tysięcy złotych. Przyjeliśmy to na luzie. Chłopaki chyba dlatego, że ostatecznie tej kary nie zapłacili, Franzowi jakoś później przeszło. Mnie z pensji potrącono całą sumę.

Gdy już wyleczyłem kontuzję, na treningach źle nie wyglądałem, starałem się przekonać chłopaków do siebie umiejętnościami. Pamiętam, jak kiedyś założyłem „dziurę” Kosowskiemu, a on robił wszystko, żeby piłka nie przeszła mu między nogami. Tak szybko i pechowo dla siebie złączył stopy, że zderzyły mu się kostki, które przez kilka najbliższych dni były sine. „Kosa”, któremu takie wpadki często się nie zdarzały, potrafił się jednak śmiać z tej historii i myślę, że wspomina to z uśmiechem do dziś. Wtedy wygrażał mi żartobliwie przez kilka dni – dopóki nie zszedł mu zielony kolor z kostek. Gdyby wszyscy w tamtej szatni potrafili tak się zachować... Kamil, który moim zdaniem nie był tak dobrym piłkarzem, jak w Polsce go oceniano, po wódce szczerze mi jednak kiedyś powiedział, że gdybym miał

formę z czasów Grecji albo nawet z Radomska, przewyższałbym tę ligę o dwie głowy. W Wiśle byłem, jego zdaniem, już tylko cieniem tamtego „Sypka”, graczem rewelacyjnym, ale jedynie na polskie warunki. No i pechowym, bo goli nie strzelałem.

Mój debiut z Ruchem został oceniony przez kibiców raczej pozytywnie, zwłaszcza, że wygraliśmy. Tydzień później przegraliśmy jednak z Polonią Warszawa, a ja do słupka w pierwszym meczu dorzuciłem strzał w poprzeczkę. W Wiśle zawodziła mnie skuteczność, bo po dwóch pierwszych kolejkach spokojnie mogłem mieć na koncie kilka goli. OK, byłem chwalony za grę, za aktywność, za dryblingi i dochodzenie do sytuacji, ale Smuda wściekał się, że marnuję kapitalne okazje. Sam nie rozumiałem, jak to możliwe, że nie jestem w stanie kopnąć z kilku metrów do bramki. To też powodowało u mnie coraz większą frustrację i coraz większą chęć odreagowania. Nakręcałem się w złą stronę.

W trzecim meczu przegraliśmy w Warszawie z Legią, a Cupiał nie wytrzymał i zwolnił Franka. Straciłem chyba jedyną osobę w klubie, której zależało na mojej grze. I sam się za to obwiniałem, bo nie ma co ukrywać – nie pomogłem Smudzie w utrzymaniu posady, a na Legii zagrałem naprawdę bardzo słabo, choć przed meczem zapowiadałem, że będzie inaczej. Udzieliłem wywiadu „Przeglądowi Sportowemu” i powiedziałem, że Legia jest słabsza od nas i spokojnie tam wygramy. Na zapowiedziach się skończyło, słowa nie przeszły w czyn. Kibice na „Żylcie” mieli piękną zabawę, bo długo skandowali: „Sypniewski ch... ci na imię”.

Po Franzu na ławkę Wisły trafił Henryk Kasperczak i choć też wystawiał mnie od pierwszej minuty, to takiego dobrego kontaktu, jak ze Smudą, z nim nie miałem. Szybko zorientował się, że piję, wziął mnie na rozmowę i powiedział, że w moich oczach zobaczył problem z alkoholem. Zaprzeczyłem, chociaż smak piwa miałem jeszcze wtedy w ustach. Nie wyglądał, jakby mi wierzył...I stawiał na Tomka Frankowskiego, z którym w szatni też nie mogliśmy na siebie patrzeć.

Na pierwszego, choć powinienem powiedzieć, że jedyne go gola w Wiśle, czekałem do piątego meczu. We Wronkach z Amiką wreszcie się przełamałem i wreszcie miałem szczęście, bo kopnąłem zza pola

karnego, a piłka po drodze odbiła się od kogoś i wpadła do bramki. To był gol, który już mnie nie cieszył, bo odezwała się moja zmora – depresja. Gośka była w mocno zaawansowanej ciąży, mój rozwód z Magdą przeciągał się w nieskończoność, kasyno wyciągało ze mnie nie tylko pieniądze, ale i siły, w szatni czułem się źle. To wszystko, połączone z coraz większą krytyką powodowało, że kompletnie sobie nie radziłem. Po strzeleniu tego gola, nikt mnie nie pochwalił. Dzień po meczu przeczytałem w jakiejś gazecie, jak Jan Tomaszewski napisał, że „Sypek w końcu strzelił, ale też nie sam”. Czyli nawet gość z mojego ŁKS nie wziął mnie w obronę, a dodatkowo kopnął... Zresztą wtedy było mi to już obojętne, zapamiętałem, bo ludzie się śmiali.

30 marca 2002 roku zakończyła się moja przygoda z Wisłą, bo wtedy zagrałem ostatni mecz. Kilka dni wcześniej doznałem drobnego urazu w meczu Pucharu Ligi, więc usiadłem na ławce, ale wszedłem na ostatni kwadrans. Powiem szczerze – byłem już w takim stanie psychicznym, że nie pamiętam nic. Miałem lęki, bałem się wszystkiego. Marzyłem tylko o tym, żeby pojechać do domu i w spokoju napić się piwa. To był moment, w którym stało się jasne, że nie poradzę sobie z sytuacją. Tym bardziej, że wciąż wydawało mi się, że w szatni wszyscy się ze mnie śmieją. Ktoś kiedyś zażartował, że „Sypa” po cichu onanizuje się pod kołdrą i gdy zobaczyli, jak mnie to wkurza, potrafili „żartować” w ten sposób non stop. „Podłapali” mnie, tak to się mówi między piłkarzami. Nie umiałem sobie z tym poradzić, zwłaszcza, że byłem przekonany, że ci, co tak się nabijali, nie mieli w życiu okazji obudzić się nawet z połową tak świetnych dziewczyn jak ja. Bo co jak co, ale na brak zainteresowania kobiet nigdy nie narzekałem, a zaczęło się to jeszcze zanim miałem pieniądze. Serio – nie wiem, co te baby do mnie ciągnęły, ale naprawdę mam dziwne przekonanie, że dla wielu z nich nie kasa była magnesem.

Szatnia Wisły mnie wypluła. Boisko nie dało oparcia, bo zawiodły nawet nogi, na które zawsze mogłem liczyć i które często pomagały wyjść z najtrudniejszych sytuacji. W tej sytuacji nic dziwnego, że głowa też nie wytrzymała.

Byliście kiedyś w szpitalu psychiatrycznym? Ja byłem, w Krakowie.

Zawiózł mnie tam Jerzy Zając, lekarz Wisły. Siedziałem z nim przed gabinetem jakiegoś dobrego psychiatry – tak zapewniał doktor Zając – i patrzyłem na chorych ludzi, którzy chodzili po korytarzu. Ludzie cierpiący na problemy psychiczne mają to wypisane na twarzy: krzywią się, śmieją bez powodu, czasem zataczają, albo z trudem idą przed siebie. Ogólnie – dziwnie zachowują. Byłem przerażony widząc, jak na mnie patrzą. Nie wyobrażałem sobie, że mogę tutaj zostać. Czułem się, jakby ktoś chciał mnie zniszczyć. Kaftan zakładany w izbie wytrzeźwień wydał mi się jakąś zabawką w porównaniu z tym, co mogło mnie spotkać tutaj...

Zobaczyłem otwarte drzwi i poczułem, że muszę uciekać. Nie pozwoliłem, by doktor przytrzymał mnie za rękę, poderwałem się z krzesła i ruszyłem do przodu. Wybiegłem ze szpitala, a doktor Zając za mną. Wskoczył do taksówki, którą złapałem. Próbował rozmawiać... Podał taksówkarzowi adres „Reymonta 22” i dodał „pod stadion Wisły”, a to oznaczało, że jedziemy do klubu.

Nie dojechaliśmy. W centrum miasta wyskoczyłem na światłach i szybko złapałem następną taksówkę, którą, już sam, pojechałem do domu. Miałem w głowie tylko jedną myśl: zabrać Gośkę i uciekać. Jak najdalej od Krakowa. Wbiegłem do mieszkania i zobaczyłem strach w oczach swojej kobiety.

– Co się z tobą dzieje? Igor, co jest? O co chodzi? – pytała przerażona, ale nic nie odpowiadałem. Poza jednym:

– Pakuj się, wyjeżdżamy.

Kilka minut później pojechaliśmy pod klub, gdzie miałem zaparkowany samochód, przesiedliśmy się i pojechaliśmy do Łodzi. Wszedłem jeszcze na chwilę do prezesów i powiedziałem, że muszę wyjechać, a Gosia porozmawiała z doktorem, chcąc dowiedzieć się, co się ze mną dzieje. Wszyscy próbowali nas namówić do zmiany decyzji, ale nie słucałem. Wiedziałem swoje: muszę uciekać. Do Łodzi, na Bałuty, do swoich.

Przez całą drogę nie odezwałem się ani słowem. Chciałem znaleźć się daleko od Krakowa. Jak najdalej...

Doktor Zając był pierwszą osobą, która dostrzegła, że mam problemy z psychiką. Zabrał mnie do psychiatry, próbował pomóc. Wtedy

byłem tym przerażony, a dziś, po latach, gdy już wiem, czym jest depresja, powinienem mu podziękować i przeprosić. Był pierwszym, który nie uznał mnie za pijaka, a przynajmniej... nie tylko za pijaka. Zobaczył, że mam inne problemy. Może gdyby wtedy nie zawiózł mnie do szpitala, gdzie przeraziłem się widoku tych wszystkich nafaszerowanych lekami ludzi, a do prywatnego gabinetu psychiatrycznego, w którym miałbym zagwarantowany spokój, a przede wszystkim anonimowość, wcześniej wyszedłbym z kłopotów? Dziś mogę tylko gdybać.

Do Łodzi wróciłem w fatalnym stanie psychicznym i miałem lęki, które powodowały, że nie umiałem normalnie funkcjonować. Dorosły facet, który bał się sam spać i przez dwa tygodnie prosił matkę, by spała z nim w jednym pokoju. Który nie wychodzi z domu. Zasłania okna i siedzi po ciemku, który wpada w panikę, gdy tylko słyszy dzwonek do drzwi, a gdy na korytarzu jest cisza, nasłuchuje rozmów pod oknami, czy czasem o nim ktoś nie gada. Tak, to nie jest zwyczajne zachowanie.

Byłem pogrążony w depresji, chociaż wtedy nie znałem tego słowa. Doszło do tego, że bałem się oglądać telewizję, bo wydawało mi się, że będą o mnie rozmawiali. Panicznie się bałem.

Po jakimś czasie musiałem wrócić do Krakowa, żeby rozwiązać „kontrakt życia”, który omal nie okazał się „kontraktem śmierci”. Zakończyliśmy umowę z dniem 1 lipca – do tego czasu dostawałem pensję, czyli 10 tysięcy euro. Kilka miesięcy byłem na zwolnieniu lekarskim i dlatego Wisła zgodziła się wypłacić pierwszą ratę kontraktową – chociaż tak naprawdę miała mi ją wypłacić jeszcze w styczniu. Cały czas byłem jednak zwodzony, że już za chwilę, już za moment... Wiele z tego do mnie nie trafiło, od menedżera dostałem 50 tysięcy euro, a należało mi się znacznie więcej. Zresztą Mandziara długo zwlekał z wypłatą pieniędzy i długo się o nie dopominałem. Musiałem po kasę pojechać do Szwajcarii, gdzie mieszkał. Nawet wtedy, tuż przed zaplanowanym spotkaniem zadzwonił, że akurat prowadzi pilne rozmowy i wyjeżdża załatwiać komuś kontrakt. Lekceważył mnie brutalnie.

Wreszcie spotkaliśmy się na lotnisku w Niemczech i dostałem

te pieniądze. Wziąłem, coś tam podpisałem, odwróciłem się i poszedłem. Nie chciałem mieć już nic więcej wspólnego ani z Wisłą, ani z tym menedżerem. Po prostu – koniec.

Mistrzostwa świata w Korei i Japonii w 2002 roku obejrzałem w telewizji, leżąc na kanapie w domu u ojca. Albo raczej zerkałem czasem na mecze, jeśli akurat nie spałem. Byłem wtedy na silnych lekach i obserwowałem mecze z obojętnością. Znajdowałem się w takim stanie, że nic mnie nie cieszyło i niczym się nie przejmowałem. Tak właśnie działają leki psychotropowe.

A przecież mogło być zupełnie inaczej, bo w Radomsku grałem bardzo dobrze, dziennikarze nawet zaczęli domagać się powołania mnie do reprezentacji. Za kilka miesięcy miały być rozgrywane mistrzostwa. Ostatnie powołanie przyszło do Krakowa, ale na mecz z Wyspami Owczymi podczas zgrupowania na Cyprze nie pojechałem, bo właśnie wtedy leczyłem kontuzję ze sparingu przeciwko GKS Bełchatów. Pech jak cholera. Jestem pewien, że akurat w takim spotkaniu coś bym strzelił.

Prowadzący RKS Piotr Mandrysz bardzo mnie namawiał, żebym został w Radomsku przynajmniej do końca sezonu i do czasu mundialu w Korei. Zapewniał, że na bank pojedę na mistrzostwa świata. Pamiętam, jak mu odpowiedziałem:

– Z Wisły też pojedę.

Przechodząc do Wisły byłem pewien, że z Krakowa jest znacznie bliżej na azjatycki mundial niż z Radomska. Głupi byłem. W RKS byłem gwiazdą, gdzie wszyscy na mnie grali i gdzie nie miałem żadnej konkurencji. W Radomsku nic nie mogło mi się stać, a jednak przed oczami miałem propozycję z Wisły i wielkie pieniądze, które leżały na stole. Gdybym wtedy wiedział...

Nazwa „Wisła” prześladowała mnie przez wiele lat. Przez paniczny strach przed meczem w Krakowie odszedłem kilka lat później z ŁKS, gdy awansowaliśmy do ekstraklasy. Bałem się, że kiedy pojedę na Wisłę, to cały koszmar do mnie wróci... Irracjonalne myśli, że wszyscy mnie prześladowają i chcą porwać do Krakowa długo siedziały mi w głowie. Z powodu strachu przed tym klubem mogłem nawet przedwcześnie zakończyć życie, gdy byłem w Szwecji.

9. Jestem jak Paul Gascoigne

– Igor, jesteś za młody żeby kończyć karierę. Życzę ci, żeby w tym roku wszystko znów się ułożyło, a ułoży się, jak zaczniesz grać w piłkę. Tego ci życzę z całego serca – mówiła, przytulając mnie Gośka, gdy na ekranie telewizora i za oknem strzelały fajerwerki. Ludzie pod balkonem przechylali butelki szampana, my wznosiliśmy toast stukając się szklaneczkami z colą. Taka to była impreza.

Kończył się koszmarne rok 2002, który tak brutalnie zaważył na moim życiu, a zaczynał następny. Nie mogłem wtedy oczekiwać, że z nim będą potem związane moje najlepsze wspomnienia.

Sylwestra spędzaliśmy we troje, towarzyszył nam jeszcze ojciec mojej partnerki. Siedzieliśmy w domu przed telewizorem i czekaliśmy na lepsze czasy, licząc, że coś się zmieni wraz ze zmianą daty. I nasze marzenia się spełniły. Okazało się, że Tomek Wieszczycki mówiąc, że mi pomoże, nie kłamał i naprawdę spróbował to zrobić.

– Cześć Igor, nazywam się Bogdan Maślanka i jestem menedżerem piłkarskim. „Wieszczu” miał ci powiedzieć, że będę dzwonił. Przekazał? – to był początek rozmowy telefonicznej, na którą czekałem. Ta rozmowa miała sprawić, że coś się w moim życiu zmieni.

– Dzień dobry, mówił. Podobno ma pan dla mnie jakiś klub?

– Myślę, że mam dla ciebie ciekawą propozycję. Od kilkunastu lat mieszkam w Szwecji, mam tutaj doskonałe układy, ale znam też polską piłkę, bo sam wiele lat grałem w naszej lidze. Przez pewien czas byłem nawet w ŁKS, ale Łódź zupełnie mi się nie podobała, chciałem się z niej jak najszybciej wyrwać i mi się udało... No, ale będzie jeszcze o tym okazja porozmawiać. Przejdźmy do rzeczy: szwedzki klub Halmstad szuka napastnika, jest tam bardzo dobry trener Jonas Thern, będący pod wrażeniem twoich występów w Lidze Mistrzów. Jesteś w formie?

– Jest w porządku. – Bo co miałem powiedzieć?

– Ale jesteś w gazie, dałbyś radę w Szwecji?

– Poradzę sobie.

Wiedziałem, że ta rozmowa jest bardzo ważna. Niewielu zostało lu-

dzi, na których mogłem liczyć, jednym z nich był na pewno Tomek Wieszczycki. Zainteresował się moim losem i wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do swojego menedżera, z którym zawsze dobrze mu się współpracowało. Okazało się, że Bogdan Maślanka kojarzy moje nazwisko i za pośrednictwem Patricka Mörka, swojego zięcia, z którym współpracował przy wielu transferach, podpowiedział je Thernowi. Ten akurat szukał napastnika i gdy zobaczył moje mecze w Lidze Mistrzów, nie miał wątpliwości, że trafia mu się doskonały gracz. Wtedy oczywiście nie mógł też nawet przypuszczać, co zobaczy, gdy ten „top class player” stawi się w Szwecji...

Maślanka działał błyskawicznie. Gdy tylko wyraziłem zainteresowanie wyjazdem szybko wszystko uzgodnił i już kilka dni późniejjechałem samochodem w stronę Świnoujścia, gdzie wsiadłem na prom do Ystad. Tam miał mnie odebrać Maślanka i dalej się mną zaopiekować.

Pamiętam, że dzień był szary i dołujący, ale po raz pierwszy mi to nie przeszkadzało. Optymistyczniej patrzyłem na świat. To była prawdziwa odmiana po ostatnich miesiącach, kiedy w ogóle nie miałem chęci do życia. Wyjazd z Polski był po prostu tym, czego potrzebowałem, tym, co mogło mnie uratować nie tylko przed totalnym bankructwem i degrengoladą, ale także przed samym sobą. W piłkę grać skończyłem przecież przed wakacjami, a gdy zadzwonił Bogdan – było po sylwestrze. Zimą depresja staje się jeszcze trudniejsza do zniesienia niż latem...

– Zawsze jestem w formie. Może fizycznie szалу nie ma, ale wie pan, w szwedzkiej lidze dam radę. Gdybym dziś wyszedł na boisko, zacząłbym kręcić obrońcami, jak baranami – zawsze lubiłem to powiedzenie i jestem pewien, że w tamtej rozmowie musiałem go użyć. Chciałem grać w Szwecji, choć nie byłbym w stanie wymienić nawet jednego klubu z tamtej ligi, o piłkarzu już nie wspominając. To zresztą nie było nic nowego, tak miałem przy każdym zagranicznym transferze, bo przecież futbolem samym w sobie – od pewnego momentu kariery – specjalnie się nie interesowałem. Wiedziałem to, co wiedzieć wypadało i należało, o czym rozmawiało się w szatniach. No i to, że każdego jestem w stanie minąć na boisku. Także w Szwecji.

cji.

Maślanka zaśmiał się, słysząc te słowa, ale chyba spodobało mu się, że rozmawia z kimś, kto zamiast skromności oferuje przesadną wręcz pewność siebie. Może i bez pokrycia w ostatnim czasie, ale... on też lubił dużo i barwnie opowiadać. Może właśnie dlatego uwierzył swojemu przeczuciu oraz zdaniu Tomka Wieszczyckiego i zaprosił mnie do Halmstad? Nie jest to istotne. Grunt, że podjął ryzyko i mi zaufał. Uratował. Dobrze było wiedzieć, że masz kogoś, na kogo możesz liczyć.

Zacząłem odżywać już po kilku rozmowach na linii Łódź – Borås, gdzie mieszkał mój nowy menedżer. Udzieliłem nawet dwóch wywiadów dziennikarzom, którzy zabiegali o rozmowę ze mną od paru miesięcy. Pierwszy był „Przegląd Sportowy”, którego łódzki korespondent, nie mając na mnie żadnych zamiarów, zaczął pisać artykuł o tym, że Igor zapadł się pod ziemię i dlaczego tak się stało. Logiczne, że takie ujęcie tematu wcale mnie nie ucieszyło. Po trzecim czy czwartym telefonie od kolegów z dawnych lat, informujących, że ktoś grzebie w przeszłości, wypytujac jeszcze o historie z Ceramiki Opoczno, nie wytrzymałem i sam do gościa zadzwoniłem. Nie zgodził się odpuścić artykułu, ale zaproponował układ – będę mógł wszystko autoryzować, jeśli tylko szczerze pogadamy o teraźniejszości. W pierwszej chwili powiedziałem, żeby spadał i odłożyłem słuchawkę, ale potem przemyślałem temat i zadzwoniłem raz jeszcze. Umówiliśmy się na następny dzień na moim terenie: na Bałutach, między blokami. Tam właśnie porozmawialiśmy na moich warunkach, czyli bez pytań o Wisłę Kraków. Pozwoliłem nawet fotoreporterowi zrobić kilka zdjęć, jak podbijam piłkę nogą i głową na pełnym kałuż asfaltowym boisku przy ul. Rysowniczej. Miałem na sobie dres Panathinaikosu, przypominający najlepsze czasy i czułem się naprawdę dobrze znów mając piłkę przy nodze. Gdy zacząłem się nią bawić, przez chwilę znowu byłem dzieciakiem, który grywał na tym placu dziesięć lat wcześniej. Nie mówiłem w wywiadzie, że ostatnio kopnąłem futbolówkę... sam nie wiem kiedy. Cieszyłem się każdym strzałem na pustą, żelazną bramkę do piłki ręcznej. Powiedziałem nawet dziennikarzom, że spokojnie trafię z połowy w poprzeczkę i udało mi się to

za trzecim razem, dwa razy zabrakło centymetrów. Wracalem do gry.

Następnego dnia, pierwszy raz od paru miesięcy, poszedłem kupić „PS”. Po moim zniknięciu z Krakowa wypisywano tam przedziwne historie, potrafiono nawet dać na pierwszej stronie ogromny tytuł, mówiący, jakie to gigantyczne pieniądze z państwowej kasy – bo przecież od Zakładu Ubezpieczeń Społecznych – pobiera będący na zwolnieniu „piłkarzyk” Sypniewski. Wkurzyłem się, bo to „dziennikarzyki” pogrywali na ludzkich emocjach. Tylko moi bliscy wiedzieli, że dostaję jedynie skromny zasiłek, a zwolnienie pozwala mi zachować ubezpieczenie, upoważniające do korzystania z pomocy lekarzy. O mojej depresji, już wtedy zdiagnozowanej, wiedzieli nieliczni. O tym, co oznacza naprawdę to słowo i jak mordercza to choroba, nie mówiło się wtedy wcale. Myślę, że podejście do depresji w świecie sportu zmieniła dopiero śmierć Roberta Enke. Chłopak był w Barcelonie, zagrał kilka meczów w reprezentacji Niemiec, ceniono go w Bundeslidze, a jednak jego psychika nie wytrzymała. Pomagali mu najlepsi lekarze, ale gdy stracił małą córkę, wszystko się skumulowało. Rzucił się pod pociąg i dopiero po tym samobójstwie ludzie zrozumieli, że futbol to nie tylko ogromne pieniądze i radość po wielkich meczach, ale także jego mroczna strona: ból, strach, przerażające poczucie samotności. Znałem to aż za dobrze.

Jeśli ktoś nie interesuje się futbolem i nazwisko Enke nic mu nie mówi, słyszał pewnie o wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” w 2014 roku przez Justynę Kowalczyk. Mistrzyni olimpijska z Vancouver i Soczi, dziewczyna, która całej Polsce wydawała się twardą góralką, dającą sobie radę z każdym wysiłkiem i najgroźniejszymi rywalkami, ale nie z samą sobą. Cierpiała w samotności, godzinami płakała i wpatrywała się w ścianę. Zamknęła się w swoim świecie, pełnym obaw i lęków. Jak ja jedenaście lat wcześniej... Tylko że Justynie każdy po tym wywiadzie chciał pomóc, a do mnie nikt w Polsce nie wyciągnął ręki, każdy tylko bezmyślnie i bez serca kombinował, jak Sypkowi dopieprzyć, najlepiej wychodząc od określeń „zarabiał gigantyczne pieniądze” i „miał wszystko”. To się dobrze sprzedawało w gazetach, zwłaszcza w połączeniu ze słowami „alkohol” i „narkotyki”, a ja, choć jeszcze parę miesięcy wcześniej potrafiłem

pić na umór, akurat problemu z narkotykami przecież nie miałem. Ten nałóg – choć jeden! – w jakiś sposób mnie ominął. W każdym razie o depresji nie wspominał wtedy nikt. Ja też nie chciałem mówić o tym głośno – wstydziłem się swojej słabości i miałem świadomość, że jestem zbyt prostym gościem, żeby ludziom to wyjaśnić – zwłaszcza takim osobom, które nie chcą słuchać, a swoje i tak wiedzą.

Chłopakom z „PS”, wtedy w styczniu 2003 roku, też o depresji nie powiedziałem. To byli równi goście, ale nie zaryzykowałem. Powstał z tego spotkania duży, interesujący chyba dla każdego kibica tekst, który nawet ja przeczytałem z ciekawością, bo faktycznie odgrzebano w nim kilka faktów z mojej przeszłości. Ubawiło mnie tylko to, że co do przyszłości „Przegląd” nie trafił, bo w ramce znalazły się spekulacje, że wyląduję w IFK Göteborg. Coś tam widać wiedzieli o Szwecji, ale Halmstad nie odgadli. To pewnie Bogdan, który jest bardzo szczerym i otwartym człowiekiem, wspominał komuś, że prowadzi z zięciem mój transfer, a skoro Patrick Mörk – to wiadomo, że Skandynawia.

Nie miało to jednak znaczenia... Do Szwecji przez Świnoujście jechałem w bardzo dobrym humorze. Taki ma pewnie każdy człowiek idący do nowej pracy i taki miewałem po prawie każdej zmianie klubu. W Ystad, gdy wysiadłem z promu i odnalazłem Bogdana Maślankę, nie zauważyłem, że patrząc na mnie minę miał nietęgą. Wraz z Mörkiem obiecali Jonasowi Thernowi grajcara z Ligi Mistrzów, faceta z klasą, a tymczasem do Szwecji przyplłynął biednie ubrany, lichy wyglądający, zaniedbany gość, do piłkarza niespecjalnie podobny. Było cholernie zimno, więc nawet krzywych piłkarskich nóg dostrzec się nie dało.

Na moje szczęście Maślanka nie wsadził mnie na powrotny prom, lecz zawiózł do Halmstad. Tam moim jedynym problemem nie był wcale fakt, że przyjechałem po kilku miesiącach siedzenia w czterech ścianach własnego pokoju przy ul. Sukienniczej, ale kwestia dogadywania się. Nie znałem języka i nie mówię tu o szwedzkim, bo tego obcokrajowiec nie ma szans się nauczyć. Gorsze było, że nie porozumiewałem się również po angielsku. W sklepie mogłem coś wybrać i zapłacić, ale ekspedientki o cielęcinę na obiad już bym nie poprosił.

Grecki miałem opanowany w stopniu bardziej niż dobrym, ale jedy-
nymi lekcjami angielskiego, jakie wcześniej pobierałem, były te z Eri-
kiem Myklandem. On mówił po angielsku, ja po polsku, potem kie-
liszki szły w górę i kelnerka polewała ponownie. Albo na treningu:
ja go popchnąłem, a on mnie i się pośmialiśmy. Rozumieliśmy się
więc doskonale, ale w Szwecji tak prosto już nie było. Może dlatego,
albo przede wszystkim dlatego, że alkohol nie służył już za tłumacza.

Jak mógł pomagał mi Bogdan, a także Polacy, których przedstawił
mi na miejscu. Nie powinno to wystarczyć, ale... wystarczało. Miało
też swoje dobre strony, przynajmniej jakimś głupim tekstem nie zawa-
liłem tego, co świetnymi negocjacjami wywalczył dla mnie mój me-
nedżer, a właściwie nie menedżer, lecz przyjaciel. Przedstawił mnie
osobie, będącej najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałem na swojej
piłkarskiej drodze – Jonasowi Thernowi.

Thern – starszy ode mnie o zaledwie siedem lat stał się moim praw-
dziwym mentorem, przewodnikiem nie tylko przez świat piłki, ale
także przez życie. Rozmawialiśmy najczęściej korzystając z pomocy
Bogdana, ale także bez niego i miałem wtedy wrażenie, że choć nie
znam słów, doskonale go rozumiem. Czułem się trochę jak dziecko,
które zagubione w wielkim, ciemnym lesie nagle spotkało kogoś, kto
za rękę wyprowadził je spomiędzy drzew. Gdy Jonas był przy mnie,
od razu przestawałem się bać. Wiedziałem, że wszystko będzie do-
brze.

Thern był prawdziwą osobowością, postacią, człowiekiem niezwy-
kle szanowanym. Kopiąc piłkę osiągnął właściwie wszystko, co było
w jego zasięgu, bo w 1992 roku poprowadził reprezentację Szwecji,
jako jej kapitan, do półfinału Euro, a dwa lata później – do trzeciego
miejsca w finałach mistrzostw świata. Pamiętacie ten doskonały
zespół, który w Stanach Zjednoczonych, w decydującym meczu
o brązowy medal pokonał Bułgarię 4:0? Tomas Brodin, Martin Dahlin,
Kennet Andersson, stojący w bramce Tomas Ravelli i oczywiście do-
skonale Henrik Larsson – najlepsza chyba ekipa w dziejach szwedz-
kiego futbolu, a na pewno w erze nowożytnej, telewizyjnej. Niesamo-
wita mieszanka graczy o wielkich umiejętnościach piłkarskich, ale
także nagromadzenie prawdziwych osobowości. Thern był kapitanem

tej drużyny, zagrał w reprezentacji siedemdziesiąt pięć razy.

Grał w Szwecji, Szwajcarii, Portugalii i we Włoszech, by karierę skończyć w szkockim Glasgow Rangers. Widział potężne, dobrze zorganizowane kluby, takie jak Benfica Lizbona czy AS Roma, mieszkał w pięknych miastach. Poznał świat, ludzi i życie, od każdej strony. Roztaczał wokół siebie jakąś taką dziwną aurę... Patrzyłeś na niego i wiedziałeś, że to gość z klasą. Z wielką klasą. Nie musiał podnosić głosu, a i tak wszyscy go słuchali. Kogoś takiego nie spotkałem nigdy wcześniej i nigdy później. On, na kogoś podobnego do mnie kiedyś trafił, bo już kilka dni po moim transferze, gdy otworzyłem się przed nim i opowiedziałem o nawiedzających mnie demonach, o depresji, bagnie, w które wpadłem i całym tym gnoju, który wciąż się mnie trzymał, stwierdził krótko:

– Jesteś jak Gazza.

Wiedział o mnie więcej niż ktokolwiek w tamtym czasie i mówił z pełną odpowiedzialnością:

– Spotkałem tylko jednego podobnego do ciebie piłkarza i człowieka, był nim Paul Gascoigne. Grałem z nim dwa sezony w Glasgow Rangers i wspominam jako kapitalnego kolegę. Zawsze można było na niego liczyć, określiłbym go jako bardzo miłego i wrażliwego człowieka, takiego jak ty, Igor. On też miał dar od Boga, połączony jednak niestety z talentem do pakowania się poza boiskiem we wszystkie możliwe kłopoty. Na murawie z nikim się nie kłócił i każdy go lubił, choć potrafił ośmieszyć na treningu pół drużyny – jak ty, Igor. Nie skończ jak on – tłumaczył mi Jonas, wspominając piłkarza, którego następców do dziś brakuje reprezentacji Anglii. Bo przecież Gascoigne był tej kadry wielką gwiazdą, a jednocześnie symbolem gigantycznych zawiedzionych nadziei.

Pod względem piłkarskich osiągnięć nie mam nawet co porównywać się z Gazzą, ale wiem, że poza boiskiem byśmy... się bardzo polubili. Patrząc na losy Paula Gascoigne'a, przywołane przez naszego wspólnego znajomego, zrozumiałem jak wiele mogłem osiągnąć w karierze i jak dużo straciłem, ale też... jak wiele mam jeszcze do stracenia.

Do Halmstad, o czym dowiedziałem się trochę później, Thern trafił

w trudnym dla klubu momencie. Musiał poskładać zespół po odejściu do Malmö cenionego Toma Prahla, a przecież doświadczenie Terna na trenerskiej ławce ograniczało się do roku pracy w szwedzkiej trzeciej lidze. Dał sobie jednak radę, choć początki miał trudne. W toczonym systemem wiosna – jesień sezonie 2002 Halmstad było w pewnym momencie zagrożone degradacją. Jonas nie tylko utrzymał klub w lidze Allsvenskan, ale znalazł się blisko ligowej czołówki. Rozbudził nadzieje, że w kolejnym sezonie będzie lepiej. I było. Także dlatego, że miał do swojej dyspozycji napastnika wybitnego. Tak, mnie. Igora Sypniewskiego w najwyższej formie.

Na takiego Sype Jonas musiał jednak cierpliwie poczekać. I zaufać intuicji, która mu podpowiadała, że warto poświęcić mi czas. Thern początkowo nie był w stanie zrozumieć, skąd się taki gość jak ja wziął w jego zespole. Czemu ten facet, znalazł się na tak ostrym życiowym zakręcie, a właściwie już poza trasą?! Ma 28 lat i nie gra w piłkę? Coś tam kopnął w reprezentacji i słuch o nim zaginął? Grał w Lidze Mistrzów, a skończył bez klubu? Szuka drużyny, mając wydolność dziesięciolatka? Cóż, każde z tych pytań mogło mnie przekreślić, a wszystkie razem powinny sprawić, że bardzo szybko zostałbym zapakowany na powrotny prom relacji Ystad – Świnoujście. Dobrze, że Jonas zadawał je tylko sobie i że postanowił znaleźć odpowiedzi. To naprawdę najmądrzejszy facet, jakiego spotkałem.

Podjął duże ryzyko, widząc przed sobą wrak człowieka i piłkarza. Postanowił go uratować i do dziś nie wiem, czy w ogóle wierzył, tak od samego początku, że ta misja ma szanse powodzenia, czy po prostu zobaczył w moich oczach zwyczajne ludzkie wołanie o pomoc. Grunt, że pozwolił mi zostać i trenować. Tego mi było trzeba.

Bogdan Maślanka, który bardzo szybko zaczął mnie porównywać do największych polskich piłkarzy, często podkreślając, że wielu z nich znał, a przeciwko niektórym grał broniąc barw Pogoni Szczecin, przetłumaczył mi jeszcze jedną rzecz, której znaczenie zrozumiałem dopiero po latach. Otóż w Halmstad pracował wybitny specjalista od spraw odnowy biologicznej, ceniony w Europie, znawca organizmów sportowców. Jonas polecał go nawet parę lat wcześniej do Benfiki Lizbona, w której grał, bo w klubie, prowadzonym wtedy

przez Svena Gorana Erickssona, mieli problemy z urazami mięśni dwugłowych piłkarzy. Portugalczycy szukali pomocy u specjalistów w Stanach, ale pomógł im dopiero kumpel Therna – ten sam, który dobrych parę lat później badał mnie w Halmstad.

Maślanka przekazał mi, że facet był zachwycony moją budową (jakkolwiek może to dziś zabrzmieć). Mówił podobno, że mam niesamowite możliwości, mając tak długie i wytrzymałe mięśnie. Pewnie miał rację. Bo przecież ja nawet na kacu byłem na treningach w każdym klubie w pierwszej piątce pod względem wydolności, omijały mnie też poważniejsze kontuzje. Przy moim trybie życia było to zastanawiające, nieprawdaż? Oczywiście nie dla mnie – dla mnie wtedy wszystko było oczywiste, niegodne dłuższych przemyśleń.

W Halmstad trafiłem więc idealnie, nie tylko jeśli chodzi o klub, trenera i drużynę, ale także sztab medyczny i samo miasto. Ktoś powiedział mi kiedyś o „uroczym, skandynawskim miasteczku” i... określenie to do Halmstad pasuje doskonale. Położone nad morzem, nie za duże, bardzo spokojne, dumnie prezentujące przyjezdnym otwarty dla zwiedzających zameczek. Oczywiście, nigdy w nim nie byłem, turystyka to domena mojego ojca. Zaliczam się do tej grupy sportowców, którzy po zakończeniu kariery z większością miast w których byli pamiętają jedynie rozegrany tam mecz albo, w najlepszym przypadku, standard hotelu i wystrój zlokalizowanego w nim baru. Znajomi mówią z zazdrością: „Ile ty pięknych miejsc na świecie widziałeś!”, a taki siatkarz, piłkarz, czy koszykarz odpowiada, że na zwiedzanie nie miał czasu. Kłamie oczywiście: pod warunkiem że nie jest rozpoznawaną wszędzie gwiazdą, zawsze może wyjść na jakiś spacer. Najczęściej woli jednak zostać i grać z kumplami w karty (to moje czasy) lub w PlayStation (tak jest pewnie obecnie). W każdym razie zameczku w Halmstad nie odwiedziłem i jak gdzieś jechałem z zespołem, poza treningami i meczami z hoteli raczej nie wychodziłem.

Zresztą nie jechałem do Szwecji, żeby zwiedzać. Być może przyjeżdżając tam wyglądałem jak turysta po męczących wczasach „all inclusive”, a sił miałem mniej niż para staruszków po dłuższym spacerze promenadą w Halmstad, ale jednak przyjechałem do tego miasta,

by poważnie zająć się futbolem. Dziś muszę przyznać, że nie mogłem chyba znaleźć w całej Europie lepszego miejsca, by skupić się na piłce nożnej. I na odwyku od dręczących mnie nałogów.

Początkowo mieszkalem sam, ale bardzo szybko dołączyła do mnie Gośka z Kacperkiem. Klub pomógł mi znaleźć bardzo ładne mieszkanie, supernowoczesne, z którego bardzo szybko mogłem dostać się do stadionu. Do morza docierałem spacerem w 10 minut, miałem też blisko do płynącej przez miasteczko rzeki. Idealna lokalizacja, mieszkanie jak ze snów – nic tylko trenować. Mając obok siebie ukochaną kobietę i syna, uwierzyłem, że w Szwecji pójdzie mi dobrze. Wszystko się zresztą układało, bo zgodę na mój transfer wydała UEFA, która teoretycznie mogła go zablokować. Wszystko przez to, że już raz w sezonie 2002/2003 zmieniałem klub, próbując sił w Grecji, w Kallithei, gdzie bramkarzy szkolił Józef Wandzik. Nie wiem, ile jest prawdy w tym, że w załatwieniu specjalnej zgody od Europejskiej Unii Piłkarskiej pomogła pozycja Lennarta Johanssona, Szweda, który przewodniczył UEFA, ale... certyfikat przyszedł. Fakt, że w Szwecji rozpoczął się nowy sezon, podczas gdy większość Europy była w połowie rozgrywek, też pewnie miał jakieś znaczenie. Te wszystkie historie znałem jednak tylko od Bogdana Maślanki, który miał przecież tendencje do, nazwijmy to, koloryzowania niektórych rzeczy.

Dokładnie nie wiem, ale pamiętam, że od początku powtarzano mi, że do kwietnia, kiedy startowały rozgrywki, będę uprawniony do gry. Gdy przyszedł papier z UEFA, potwierdzający możliwość zmiany przeze mnie klubu, otrzymanie pozwolenia na pracę w Szwecji było już tylko formalnością.

Wiarę w to, że wszystko się wreszcie poukłada, dodatkowo ugruntowały sparingi. Z każdym kolejnym wyglądałem coraz lepiej. Kumple z zespołu – choć bardziej pasowałyby określenie „znajomi” lub „współpracownicy” – i ludzie będący przy klubie nie mogli się nadziwić, jakie zrobiłem postępy. Nie mogli zrozumieć, skąd się w ogóle wziął taki gość, który przyjechał jako amator, a nagle zaczął ich wszystkich ogrywać, jak chciał. Sam tego nie rozumiałem, ale nawet nie próbowałem zrozumieć. Wreszcie byłem szczęśliwy. Spokojny i szczęśliwy. W ostatnim meczu kontrolnym strzeliłem dwa gole.

Byłem gotowy.

Gdybym miał porównać Halmstad do jakiegoś polskiego miasta, to pewnie postawiłbym – oczywiście zachowując odpowiednie proporcje – na Bełchatów albo Tomaszów Mazowiecki. Od obu szwedzkie miasteczko było oczywiście znacznie ładniejsze, a przede wszystkim czystsze i ze względu na morski klimat znacznie lepsze do życia, ale mogło pochwalić się niezłą drużyną piłkarską w najwyższej klasie (jak w Bełchatowie, a wielkość miast jest przecież podobna) i było położone, jak Tomaszów, mniej więcej w połowie drogi między znacznie większymi Malmö i Göteborgiem. Dobra, trochę się zapędziłem, bardzo na siłę te wszystkie porównania – przede wszystkim dlatego, że takiego miasteczka jak Halmstad w Polsce nie kojarzę. W każdym razie trafiłem idealnie, bo klimat w południowej Szwecji jest znacznie przyjemniejszy niż w północnej i w innych skandynawskich krajach.

Pomoc, jaką dostałem nie tylko od Jonasa Therna, ale też od klubu, jest nie do przecenienia. Rzadko udzielałem wywiadów, unikałem kontaktu z dziennikarzami, szczególnie z polskimi, choć próbowali mnie złapać na różne sposoby, zwłaszcza, gdy zacząłem regularnie strzelać gole i moje nazwisko pojawiała się w szwedzkiej prasie. To był rok 2003 i o przedruki nie było tak łatwo jak teraz, gazety raczej nie wrzucały do Internetu wszystkiego, co ciekawe, więc w Polsce nie było o mnie zbyt wielu informacji. Sypniewski strzelił, grał dobrze i... to było wszystko, a ja się zapałem, niczym jakiś muł na drodze. Nie chciałem rozmawiać z pismakami, aby któryś nie zadał niewygodnego pytania, przypominającego mi złe czasy. Nawet przychylnych sobie chłopaków z Łodzi unikałem – wiedziałem, że znają moją historię i pytanie o Wisłę musi paść, a takie, zadane nawet w delikatnej formie, naprawdę by mogło namieszać w mojej głowie. Do tego nigdy wiele nie było trzeba.

Polscy dziennikarze próbowali się do mnie dostać, trudno im tego odmówić. Jeden z nich zadzwonił nawet do klubu i przekonał rzeczni-ka, by ten zapytał mnie, czy o umówionej godzinie nie zgodziłbym się pogadać z „Przełęczem Sportowym”. zaproponował, że będzie dzwonił na numer klubowy, żeby nie naruszać mojej prywatności i nie wydzwaniać do domu. Odmówiłem i ostatecznie skończyło się na tym, że

uparty dziennikarz dostał szansę rozmowy z trenerem Thernem. Miał świetny materiał, bo tylu pozytywnych rzeczy nikt chyba o mnie do gazety nie powiedział, ale... miałem wątpliwości, czy mi ten tekst nie zaszkodzi.

W Halmstad było mi dobrze. Nikt nie zaczepiał mnie na ulicach, prowadziłem spokojne życie. Szwedzi rozpoznawali mnie, po moich wyczynach w sparingach i pierwszych meczach bilety sprzedawały się fantastycznie, ale byli inni niż Grecy, dyskretni. W Atenach nawet stając na świątłach musiałeś liczyć się z tym, że ktoś podbiegnie, gdy cię rozpozna i będzie na siłę zapraszał do swojej knajpy, tu w Szwecji cieszyłem się prywatnością. I zawsze mogłem liczyć na wsparcie Jonasa. Wiedziałem, że moje bramki pomagają mu w pracy, ale z drugiej strony, ciesząc się z goli, obawiałem się, że zrobi się wokół mnie zbyt wielki szum. Takie wywiady, jak ten Żelka Żyżyńskiego z „Przeglądu” z Thernem, były jednak nieuniknione. Cisza wokół mnie się kończyła.

– Igor dodaje blasku drużynie, ale także całej naszej lidze i w ogóle szwedzkiej piłce. Jest zupełnie innym typem napastnika niż wszyscy, których mam do dyspozycji. Gdyby ktoś nie wiedział, że jest Polakiem, nie dałby wiary, że uczył się grać w piłkę w Europie. Jest szybki, a przy tym ma niesamowitą technikę, którą potrafi doskonale wykorzystać, fantastycznie panuje nad piłką. Nie szuka najprostszych rozwiązań, a znajduje te, które nikomu innemu nie przyszłyby do głowy. Zaskakuje rywali i co najważniejsze nie robi tego wszystkiego tylko po to, by się popisać – jest bardzo skuteczny. Stylem gra przypomina Brazylijczyków, ale od wielu jest bardziej przydatny w zespole, bardziej efektywny. I nadal się rozwija, choć przecież ma już 28 lat – wychwalał mnie Thern. Nie mówił tego jakiś przypadkowy chłopak, nikomu nieznanemu trener z odległego kraju. Mówiła to jedna z legend szwedzkiej piłki, pomocnik znany w całej Europie. I dodawał, nie zważając na to, że to oficjalny wywiad i że przeczytają to również w jego kraju: – Nigdy nie spotkałem tak utalentowanego piłkarza.

Mnie też to mówił, a grał z wieloma Grajkami przez duże G. W tym z samym „Gazzą” Gascoigne’em.

Doniesień o mojej wysokiej formie, potwierdzanej przez strzelane

seryjnie gole, nie mógł przegapić trener Paweł Janas, prowadzący wtedy reprezentację Polski. Oczywiście dziennikarze na łamach gazet domagali się powołania Sypka do reprezentacji natychmiast, od zaraz, przed czym Janas bronił się jak mógł. Przebąkiwał coś, że musi liczyć na tych, których sprawdził i którym może ufać, że nie może powołać kogoś, kto nie przepracował zimy i że... pojedzie mnie zobaczyć. Tego ostatniego wołałem uniknąć, nie miałem zamiaru rozmawiać z nikim Polski, panicznie bałem się kontaktu z polskim futbolem. Dlatego Janasa nie tylko nie atakowałem, ale wręcz ułatwiłem mu sprawę. Najpierw, gdy w czerwcu Polska jechała do Szwecji na mecz eliminacji mistrzostw Europy, powiedziałem w szwedzkich mediach, że... będę kibicował reprezentacji Trzech Koron. I naprawdę tak było, bo czułem, że tutaj znalazłem ludzi, którzy mi pomagają i zapewniają dobre życie, a w Polsce... W Polsce było mi zdecydowanie gorzej, tam przede wszystkim dostawałem po głowie i to z każdej strony.

Informacje o moim stosunku do Polski i Szwecji postanowił zweryfikować jeden z dziennikarzy, którzy przyjechali do Sztokholmu na mecz Polaków. Dzień po przegranej przez kadrę Janasa 0:3 spotkaniu Krzysztof Stanowski wsiadł w samochód i razem z fotoreporterem Włodzimierzem Sierakowskim przyjechali ze wschodniej części Szwecji na jej przeciwległy kraniec. Pokonali ponad 500 kilometrów, żeby ze mną porozmawiać, ale nie mieli na to szans. Jonas grzecznie ich przeprosił, ja się przywitałem i pożegnałem w kilka sekund, schodząc z treningu. Fotoreporter mógł zrobić tylko zdjęcia jak żonglując piłką w narożniku boiska, sam, daleko od kolegów z zespołu, ale także od dwóch rodaków, którzy do mnie przyjechali... Najbardziej się zdziwiłem, że dziennikarz zrelacjonował to bardzo spokojnie, nie atakując mnie i nie oceniając. Później, od kolegi z Łodzi, usłyszałem historię, którą Stanowski opowiadał w redakcji: żartował, że nikt go nigdy nie splawił z takim wdziękiem. Wydaje mi się, że dobrze odczytał sytuację, zauważył, że nie zrobiłem nic złośliwie, a może po prostu żał mi mnie było?

Pamiętam tę sytuację lepiej niż większość swoich meczów przede wszystkim dlatego, że bardzo się bałem, aby jedno zdarzenie lub rozmowa nie zburzyły tej kruchej konstrukcji, którą wznosiłem wokół

siebie. By nie zakłóciła mi budowy muru, dzięki któremu mogłem znów grać w piłkę. Nie oszukujmy się, depresja nie mija z dnia na dzień, człowiek ma ją w sobie wiele lat, a często do końca życia i po prostu próbuje zwalczyć – raz lepiej, raz gorzej. Stara się poukładać świat i nabrać choć trochę dystansu, dzięki któremu łatwiej jest zorientować się, co jest w życiu prawdą, a co fałszem, wytworem chorej wyobraźni... Mnie wychodziło to różnie. Były chwile, w których wolałem umrzeć niż nadal tak cierpieć. Na tym polega depresja.

Będąc w Szwecji odbudowywałem się, ale dalej miewałem kłopoty z Polakami, którzy próbowali mnie szantażować. To byli ludzie, którzy w Polsce okradli mnie z pieniędzy – tak mogę ich nazwać, więcej pisać nie chcę nawet tutaj, gdzie otwieram się najbardziej w swoim życiu. Bo nadal się boję: tamtych czasów i tamtych ludzi. Wtedy, w Halmstad, dostałem duże wsparcie od klubu, który zatrudnił prawników, by pomogli mi rozwikłać różne zaległe sprawy finansowe. Nie na wszystko byli jednak przygotowani... Nigdy, przenigdy nie przyszłoby im do głowy, że ich piłkarz będzie chciał popełnić samobójstwo. Do dziś zresztą wie o tym tylko Jonas, wiadomość o mojej próbie błyskawicznego skończenia wszystkich kłopotów nie dotarła nawet do władz klubu.

Gdy przyjechali polscy dziennikarze, poczułem się osaczony. To był moment, gdy zacząłem jeszcze bardziej wsłuchiwać się w odgłosy ulicy, a każdy dźwięk, przypominający język polski napełniał mnie strachem. Stopniowo dochodziłem do sytuacji, w której miałem zwyczajnie dość. Poddałem się.

Na boisku wszystko układało się znakomicie, ale ja już nie chciałem na nie wychodzić. Nigdy. Pastyłki – bardzo dużo pastylek – wydały mi się wtedy najlepszym i najszybszym rozwiązaniem. Popełnić samobójstwo spróbowałem jednak dopiero po połowie sezonu, w momencie, gdy ludzie z zewnątrz widzieli we mnie piłkarza w doskonałej formie i zadowolonego, otwartego człowieka. Ba, nawet ci, z którymi grałem byli przekonani, że „Sypek” ma się doskonale, a to, że czasem mu odbija, schodzi z treningu lub dziwnie się zachowuje, to delikatny odchył od normy. O tym, jakie układy panowały w szatni Halmstad i ogólnie, jak wyglądają kontakty międzyludzkie w skandy-

nawskich klubach, najlepiej świadczy fakt, że o mojej samobójczej próbie nikt się nie dowiedział. Tam po prostu każdy przychodzi na parę godzin do pracy, po czym wraca do domu, swojego życia. To nie Grecja czy Polska, gdzie grono kumpli wyskakiwało po treningu na piwo. Nie. W Szwecji jest inaczej. „Cześć” na dzień dobry, „cześć” na do widzenia, widzimy się jutro. Znajomi z pracy z rzadka rozmawiają o sprawach prywatnych, bo nie bardzo jest na to czas. Szybko doszedłem do wniosku, że nawet gdybym znał wtedy angielski, w szatni specjalnie by mi się nie przydał.

Pomógłby natomiast w kontaktach z Jonasem, któremu zawdzięczałem najwięcej. O tym, ile zrobił dla mnie poza boiskiem, jaką miał do mnie cierpliwość i jakie serce mi okazał, już pisałem. Na murawie też musiał dać mi ogromne wsparcie. Do Szwecji przyjechałem przecież pod koniec stycznia kompletnie bez formy i męczyłem się po kilkunastu minutach treningu. Na pierwszych zajęciach po przyjeździe zastanawiałem się, czy w ogóle rozpakowywać torbę: wydawało mi się, że nic z tego mojego powrotu na murawę nie będzie, tak fatalnie się czułem. Tymczasem już w maju dostałem nagrodę miesiąca dla najlepszego piłkarza Allsvenskan, a pod koniec czerwca, po jedenastu kolejkach, byłem liderem klasyfikacji strzelców z ośmioma trafieniami na koncie. Halmstad, które w 2002 roku broniło się przed spadkiem, teraz, niemalże na półmetku liczącego 26 kolejek sezonu, miało 5 punktów straty do prowadzącego Djurgårdens. Zespoły ze Sztokholmu i Malmö zaczynały się z nami liczyć, tym bardziej, że po moich dwóch golach pokonaliśmy Hammarby 3:1. Szkoda, że później wiodło nam się zdecydowanie gorzej, a do końca sezonu dorzuciłem już tylko dwa gole. Do drugiego miejsca w klasyfikacji strzelców, które zajął Kim Källström zabrakło mi czterech goli, a do czwartego, na którym uplasował się Kennedy Bakircioglu – dwóch trafień. Dziesięć bramek zdobył także Brazylijczyk Alfonso Alves, który potem kapitalnie grał w Holandii i nieźle w Premiership, łapiąc się nawet do reprezentacji swojego kraju. Są to nazwiska, pokazujące, że Allsvenskan była niezłą ligą, w której wcale nie grało się tak łatwo. Ale mnie się tam bardzo podobało. Tym bardziej, że w Szwecji brakowało skutecznych i błyskotliwych napastników,

co widać także po nazwiskach snajperów, które wymieniłem. W czołówce klasyfikacji strzelców byli albo Brazylijczycy, albo ofensywni pomocnicy, albo... Igor Sypniewski.

Jonas Thern szybko dostrzegł moje prawdziwe umiejętności i cały czas mnie motywował. Opracował specjalny program treningowy, dzięki któremu miałem zająć wysoko, a na początek – po prostu wrócić do formy. Uwierzył we mnie od pierwszego dnia, a już po tygodniu testów powiedział, że chce, żebym został. Czułem, że stanął na mojej drodze facet, który zna się na rzeczy, ale przede wszystkim jest dobrym człowiekiem. Poświęcał mi długie godziny. Gdy byliśmy sami, mówił bardzo powoli i słuchał mnie w ogromnym wręcz skupieniu, a jak mówił – słuchałem wpatrzony w niego jak w obrazek. Zawsze miał rację.

W meczach towarzyskich wprowadzał mnie na dziesięć, najwyżej dwadzieścia minut. Gdy strzeliłem pierwszego gola w sparingu sam uwierzyłem, że będzie okay. Dobrze żyłem z pracownikami klubu, z chłopakami w drużynie nie miałem problemów, a szwedzcy dziennikarze polubili mnie za styl gry i moje próby rozmów po angielsku. Często podkreślali też, że nigdy nie odmówiłem nikomu autografu i zdjęcia, ale... zawsze tak robiłem. Kiedyś w Polsce, gdy byłem w Wiśle, kibic zaczął całować mnie po rękę, gdy idąc do autokaru rozłączyłem telefoniczną rozmowę z kolegą, by zapoznać z nim do zdjęcia. Mówił, że nigdy nikt tak się przy nim nie zachował, a dla mnie to było normalne i źle bym się z tym czuł, gdyby ktoś powiedział, że Sypa gwiazdorzy. Dlatego w Szwecji też nie odmawiałem prośbom kibiców, zwłaszcza, że chodziło ich na mnie kilka tysięcy. Tak, na mnie. Odkąd trafiłem do Halmstad i pokazałem, co potrafię, frekwencja rosła błyskawicznie.

Podobało mi się to, że wśród znajomych z boiska nie zaistniała zawiść o moją popularność. Ci goście faktycznie wszystko przyjmowali z pokorą i zrozumieniem, mieli właściwy Skandynawom dystans do otaczającego świata. Jedynym, który okazywał emocje był chyba służący mi często pomocą, zwłaszcza na początku mojego pobytu w Halmstad, Tomek Žvirgždauskas. To były piłkarz Polonii Warszawa, Litwin, który przez pół roku był związany z Łodzią. Grał wprawdzie

po niewłaściwej stronie mojego rodzinnego miasta, ale okazało się, że mieszkał całkiem blisko mnie, na Bałutach. Wtedy się oczywiście nie poznaliśmy, ale w Szwecji zdarzało nam się wyjść z dziewczynami i dziećmi na wspólny obiad lub kolację. Nie powiem, byśmy zostali przyjaciółmi, na taką zażyłość nie pozwalały zasieki, które postawiłem wokół siebie, ale lubiliśmy się. Miał syna i córeczkę, ja miałem Kacpra, było więc o czym pogadać. Ostatnio nieźle się zdziwiłem, że jeszcze rok temu kopał piłkę i to gdzie? Nadal w Halmstad... Został pewnie klubową legendą, ale bardzo mnie to cieszy. To był równy gość, a przy tym niezły piłkarz. Oczywiście jak na obrońcę i na szwedzkie warunki...

Taka bratnia dusza, jak Żwirek, oczywiście przydawała się też przy tłumaczeniu, choć kiedy tylko mogłem starałem się rozmawiać ze wszystkimi moim „uroczym” – jak to określił jeden ze szwedzkich dziennikarzy – angielskim. Dogadywałem się. Rzecznika prasowego, którym bywał Jonas Thern, potrzebowałem więc tak naprawdę tylko do kontaktów z polskimi dziennikarzami, a właściwie do braku kontaktów. Bo przecież jedyne, czego chciałem, to żeby w Polsce po prostu wszyscy o mnie zapomnieli.

Tak jak w Halmstad nie trenowałem nigdy. Szwedzi pod względem pracowitości przewyższają chyba całą Europę, a ja – pierwszy cwaniak i wagarowicz na treningach w Polsce, a także godny kontynuator lokalnych tradycji w Grecji – wcale od nich nie odstawałem. Jak Jonas zarządzał, że mamy przebiec pięć kilometrów, to niektórzy przebiegali siedem. Czasami ja wraz z nimi. Dużo pracowałem też indywidualnie i to często tak, że zaraz po zajęciach albo nawet w ich czasie, zwyczajnie zginałem się w pół i rzygałem, a potem podnosiłem się i biegałem dalej. Miałem też indywidualne zajęcia z Jonaszem w weekendy. Żadnych nie opuszczałem.

Zapieprzaliśmy zdrowo, ale widzieliśmy po wynikach, że to ma sens. Zresztą nawet gdyby sensu nie było, nikt by nic nie powiedział – szacunek, jakim cieszy się w Szwecji Thern jest wprost niebywały. Każdy jego polecenia wykonywał bez szemrania. To nie była Grecja, gdzie tak wymagający trener, długo by raczej nie popracował...

W Halmstad grałem naprawdę dobrze, a otuchy dodawało mi to, że z każdej niemal strony dochodziły do mnie oznaki szacunku i sympatii od ludzi, których nawet nie znałem. Kiedyś koledzy w szatni pokazali mi gazetę, w której był wywiad z Fredrikiem Ljungbergiem, grającą wtedy w Arsenalu ikoną szwedzkiej piłki. Powiedział tam, że interesuje się klubem ze swojego miasta i co tydzień sprawdza, jak Halmstad sobie radzi. W Anglii wyczytał, że Sypniewski jest bardzo ważną postacią drużyny.

– Powinienem mu za to podziękować – powiedział Ljungberg, który miał w mieście status żyjącej legendy. Ciekawe, czy Fredrik wiedział, że kilka lat wcześniej strzeliłem jego Arsenalowi gola w Lidze Mistrzów?

Rok 2003 był dla mnie najlepszym w karierze, choć przecież zacząłem go jako wrak piłkarza, a nawet człowieka. Pierwszy raz w życiu czułem się doceniony. Znalazłem się na pierwszych stronach gazet dzięki golom, które strzelałem seryjnie, jak wcześniej w Grecji. Z przytupem wracałem do wielkiej piłki. To był rok, w którym wychodziło mi wszystko. Właśnie wtedy, w meczu z Landskroną, strzeliłem chyba najpiękniejszą bramkę w życiu. Grałem już wtedy z lekką kontuzją, wykonałem więc rękami charakterystyczny kołowrotek, a Jonas szykował zmianę. Miałem duży luz, bo mecz kapitałnie się dla mnie układał. Prowadziliśmy 2:0, a ja na samym początku dośrodkowałem z rzutu różnego na głowę kolegi, który zdobył pierwszego gola. Potem sam podwyższyłem na 2:0 i z uśmiechem na ustach czekałem na zmianę, bo noga bolała jak cholera. Nagle jednak dostałem piłkę w okolicach linii koła na środku boiska... Resztę zrobiłem już instynktownie: spojrzałem w stronę bramki, zobaczyłem, że bramkarz wyszedł nieco do przodu i kopnąłem. Szwedzcy dziennikarze lot tej piłki opisywali na wiele sposobów, bo rzeczywiście leciała jakoś dziwnie, jakby w locie nie hamowała, a przyspieszała. Nie ma to znaczenia. Grunt, że bramkarz Landskrony, choć desperacko się cofał i miał futbolówkę praktycznie na rękawicy, wpadł z nią do bramki. Śmiałyśmy się potem z Jonaszem, że noga tak mnie już bolała, że nie chciało mi się biec w stronę bramki i dlatego kopnąłem ze środka boiska. Mogę jeszcze dodać, że oczywiście nie mierzyłem – po prostu mocno

kopnąłem na bramkę. Jeśli jakiś piłkarz po голу zdobytym po strzale z ponad 30 metrów powie, że celował w okienko – nie wiercie w te bzdury. Mógł chcieć tam trafić i modlić się, żeby się udało, ale gdy jakaś bomba wpada w same widły, to dlatego, że tak chciał piłkarski los, a nie dzięki precyzji strzelca. Choć technika uderzającego na pewno pomaga i zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu, a techniki i fantazji mnie akurat nigdy nie brakowało.

Ten pamiętny gol, po którym zrobiło się o mnie jeszcze głośniej, przyniósł mi jednak nie tylko korzyści. Znowu przypomniano sobie o mnie w Polsce, znowu zaczęto o mnie pytać trenera Pawła Janasa. W dobrej formie był wtedy wprawdzie Artur Wichniarek, do kadry dobijali się Tomasz Dawidowski, Paweł Kryszalowicz i Marcin Zając, ale skuteczny napastnik jest zawsze w cenie. Sztab kadry postanowił więc wysłać do Szwecji Edwarda Klejndinsta.

Przyjazd do Halmstad asystenta selekcjonera oczywiście bardzo mnie wystraszył. Ani myślałem wyjeżdżać ze Szwecji, wracać do Polski i od razu na początku zgrupowania stawać przed plutonem egzekucyjnym złożonym z polskich dziennikarzy, czekających na każde moje słowo. Wiedziałem, że wokół mnie zebrałby się tłumek, bo przecież z każdym innym łatwiej było porozmawiać, a ja wracałbym z... zaświatów, tak to nazwijmy. Pogodziłem się z myślą, że mój licznik gier reprezentacyjnych zatrzyma się na dwójce i jakoś specjalnie mnie to nie martwiło. Znacznie bardziej niepokoiła zaś perspektywa kolejnych wywiadów i pytań o przeszłość, których bym nie uniknął. Podobnie zresztą jak spotkania chłopaków z Wisły Kraków. Niby nic przeciwko nim nie miałem, ale, jak już wspominałem, poczucie humoru kilku z nich zupełnie mi nie odpowiadało. Nadawaliśmy na innych falach. Krakowska szatnia nie tyle mnie nie zaakceptowała, co wręcz zniszczyła, więc logiczne, że nie chciałem tam wracać – nawet w rozmowach. Byłem prostym chłopakiem z łódzkich Bałut, a tam – światowi goście wymieszani z boiskowymi cwaniakami, z którymi nie miałem jak dyskutować. Lepiej rozumiałem nieliczne opowiadane po angielsku żarty w szatni Halmstad czy nawet boiskowe docinki po szwedzku, niż teksty, które pojawiały się w podczas mojego pobytu w Krakowie. Dlatego chciałem być od wiślackiej ekipy jak najdalej.

Im bardziej na północ tym lepiej. Po drugiej stronie Bałtyku.

Od momentu, w którym usłyszałem, że przyjeżdża trener reprezentacji i że mam się z nim spotkać po meczu, całą energię włożyłem w kombinowanie, co zrobić, żeby do tej rozmowy nie doszło. Informacja, że jest na meczu przysłała kilkanaście minut przed pierwszym gwizdkiem sędziego, więc czasu za dużo nie miałem. Nie mogłem się skupić na grze, w głowie miałem chaos. Zrobiłem parę akcji, ale każda upływająca minuta nieuchronnie przybliżała kłopoty. Jak podczas gry w pucharach, gdy przegrywasz i wiesz, że czas pracuje na twoją niekorzyść.

Wreszcie poprosiłem o zmianę – zszedłem z boiska udając kontuzję i trzymając się za mięsień. Takie „urazy” są najlepsze – każdy profesjonalny lekarz zaleci ci odpoczynek i zaprosi na badanie USG, kolejnego dnia. Inaczej bywało tylko w polskich klubach, gdy zaczynałem karierę, bo tam trener mówił ostro: „Rozbiegaj, nic ci nie będzie.”. Takie „rozbiegiwania” kończyły się potem często dłuższą przerwą w grze, a wielu chłopaków kosztowały pewnie kariery, bo nie ma nic gorszego niż gra z niezaleczonym mięśniem.

Na szczęście w Halmstad pracowali fachowcy, więc jeszcze zanim skończył się mecz, siedziałem w samochodzie i jechałem do domu. Dałem sobie nawet radę wmówić, jeszcze na boisku, że coś mnie ciągnie w nodze, więc sprawa wyglądała bardzo wiarygodnie. W samochodzie pogwizdywałem pod nosem, czułem się, jakbym uciekł spod topora. O tym, że starszy facet przyjechał bez sensu do Szwecji nawet nie pomyślałem. Dziś, z perspektywy czasu (jak to się ładnie mówi...) jest mi trochę głupio. Jednak czuję się w pełni usprawiedliwiony, żeby była jasność, miałem swoje poważne argumenty, choć uciekając w ten sposób zachowałem się nieładnie. Miałem nawet pomysł, by podczas pisania tej książki przeprosić Pawła Janasa za tamto zachowanie, ale okazało się... że na trybunach był Klejndinst. Mój stres wtedy, w 2003 roku, był tak gigantyczny, że nawet nie wiedziałem i nie spytałem, kto przyjechał. Trener to trener, a że selekcjonerem był Janas, byłem przekonany, że on ma mnie oglądać. Musiało upłynąć ponad dziesięć lat zanim dowiedziałem się, że uciekałem wtedy przed Klejndinstem!, a przecież jego akurat znałem ze zgrupowa-

nia reprezentacji w Tajlandii i naprawdę nic przeciwko niemu nie miałem. Bardzo mnie cenił jako piłkarza, zachowywał się w porządku. Po prostu nie powinien przyjeżdżać do Halmstad.

Asystent selekcjonera odjechał więc z niczym, słysząc od Jonasa pochwały pod moim adresem – z nim udało mu się porozmawiać. Pogadał też z Tomkiem Žvirgždauskasem, przez którego wcześniej próbował się ze mną umówić. Do dziś podobno pamięta, jak opowiadano mu o moim rozżaleniu wywołanym traktowaniem w Polsce. Pomimo to dla trenera Klejndinsta była to jedna z gorszych w życiu eskapad zagranicznych. Na pocieszenie mogę tylko powiedzieć, że ja po tej jego wizycie czułem się jeszcze gorzej.

Aby ustrzec się przed kolejnymi wizytami wykonałem pewien ruch. Pomysł wydawał mi się doskonały, genialny w swojej prostocie. Potem okazało się, że jestem chyba jedynym w historii piłkarzem, który... poprosił, by nie powoływać go do reprezentacji Polski. Odpowiedział mi to chyba Bogdan Maślanka, ale dziś raczej bym takiego ruchu nie wykonał.

To było na początku sierpnia 2003 roku. „Niniejszym oświadczam, że nie jestem zainteresowany ewentualnymi występami w Reprezentacji Polski” – taka była oryginalna treść oświadczenia, które z Halmstad wysłałem do prezesa PZPN Michała Listkiewicza. Ten musiał być niezłe zaskoczony, bo przecież nigdy wcześniej, ani nigdy później z podobną sprawą się nie spotkał. Jeden z dziennikarzy opowiadał mi parę lat później, że „Listek” przyznał mu się, że... najpierw spojrzał na listę graczy powołanych na zbliżający się mecz z Estonią, żeby upewnić się, czy na pewno nie ma tam nazwiska „Sypniewski”. Oczywiście nie było, bo powołania nie dostałem, ale uznałem, że taki list raz na zawsze uwolni mnie przed strachem związanym z powołaniem. Albo inaczej: strachem przed WEZWANIEM do Polski. Tak to wtedy traktowałem, jak kiedyś młodzi ludzie służbę wojskową. O czym Listkiewicz oczywiście wiedzieć nie mógł...

Po przeczytaniu takiego komunikatu ze Szwecji prezesowi PZPN opadły ponoć ręce. Poinformował o sprawie selekcjonera, który co zrozumiałe ani trochę się nie zmartwił, otwierając nawet z okazji samorozwiązania kolejnego problemu butelkę niezłej whisky (to też

wiadomość z pewnego źródła, otrzymana kilka lat później). Janas i Listkiewicz szybko powiedzieli o moim piśmie mediom, a potem uznali sprawę za zakończoną. Dla mnie też był to definitywny koniec wszystkiego, co mogło być związane z reprezentacją Polski – także dziecięcych i młodzieńczych marzeń o podbijaniu świata w koszulce z orzełkiem na piersi. Wtedy jednak najważniejsze było moje bezpieczeństwo, które – tak kombinowałem – zapewniałem sobie tym piśmie. Znów mogłem skupić się na grze dla Halmstad, dla Jonasa. Chciałem, by tak było już zawsze.



10. Ibrahimović i Sypa, tak miało być

Moje życie ktoś kiedyś przeklął – im dłużej jest w nim lepiej, tym większą można mieć pewność, że zaraz coś się popsuje. W Szwecji niestety było podobnie. Miodowe miesiące z Allsvenskan skończyły się, gdy zamiast w stronę pucharów, które wydawały się całkiem realne, zaczęliśmy spadać w tabeli. Powodów było kilka, a jednym z nich moja próba samobójcza.

To stało się krótko po wizycie Klejndinsta, a wcześniej polskich dziennikarzy. Wszędzie wokół zaczynałem widzieć czyhających na mnie Polaków. Zacząłem obawiać się porwania do kraju, nie wiedziałem, czy ktoś nie zlecił sprowadzenia mnie do Krakowa.

Nie wytrzymałem też tego, że w Polsce pisano o mnie głupoty. Lubiłem być chwalony, ale czułem się fatalnie, gdy czytałem o sobie coś złego. Tak marzyłem, żeby w Polsce o mnie zapomnieli, przestali się mną zajmować, wypisywać... Jednak nic takiego się nie działo. Nikogo nie obchodziło, że nie chciałem mieć nic wspólnego ani z polskimi działaczami, ani trenerami, ani dziennikarzami. Chcieli dobrać się do mnie...

Gdy pewnego dnia Gośka wzięła Kacpra na spacer, a ja zobaczyłem pod domem dziwny samochód, nie wytrzymałem. Dałbym sobie uciąć obie nogi, że dwaj goście, którzy z tego starego mercedesa wysiedli, rozmawiali po polsku... Tego było dla mnie za wiele, depresja zawładnęła mną całkowicie. W głowie została tylko jedna myśl, o samobójstwie. Połknąłem tabletki, których w domu nie brakowało i za moment zasnąłem. Było ich z pięćdziesiąt, przygotowanych na najbliższe tygodnie, a ja zdążyłem zażyć chyba trzydzieści. Zasypiając przez moment poczułem się wolny, bo wiedziałem, że już nie będę musiał się bać. Chciałem, żeby to wszystko się wreszcie skończyło.

Odnalazła mnie Gośka i gdy tylko zobaczyła porozrzucane tabletki, których wziąć nie zdołałem, od razu zorientowała się, co zrobiłem. Zrozumiała, że tym razem to nie alkohol rzucił mnie na podłogę naszej ślicznej łazienki. Chciała zadzwonić po karetkę, ale nie wiedziała nawet jak. Wykręciła numer Bogdana Maślanki i to mnie uratowało.

Gdy mój menedżer usłyszał co się stało, błyskawicznie wsiadł do samochodu i ruszył z Borås do Halmstad. 180 km/h nie schodziło z licznika. Zanim wyruszył, wezwał karetkę, więc gdy dotarł, byłem już na oddziale intensywnej terapii. Spędziłem tam jakieś trzy, cztery dni, po których mogłem wrócić nie tylko do domu, ale także do treningów. Ci, którzy wiedzieli, co się działo, byli załamani, inni – nic nie zauważyli. Bo przecież już wcześniej byłem jakiś taki dziwny...

Bogdan wyrzucał sobie, że nie zorientował się, co mi jest, gdy kiedyś późnym wieczorem przyjechałem do niego do domu do Borås razem z Gošką i Kacperkiem, prosząc o nocleg i mówiąc, że bardzo się boję zostać sam. Ruszyłem do niego natychmiast, gdy wydało mi się, że na plaży, na której siedziałem sam, atakują mnie jakieś duchy. Szukałem kogokolwiek, kto mógłby mnie wesprzeć.

Maślankę i Jonasa bardzo szanowałem, wiedzieli o mojej próbie samobójczej, ale nawet nie domyślali się mojej choroby. Zdawali sobie sprawę z tej alkoholowej, ale nie z depresji, a takiego bólu życiowego, jaki ona niesie, nie życzę nikomu. Z lepszą psychiką, tak mi już parę osób mówiło, grałbym w Barcelonie. Ze swoją, będąc po rozwodzie, mając drugą kobietę, drugie dziecko i gigantyczny talent – łykałem pastylki. Także dlatego mam dziś zaniki pamięci, pewne fakty mi umykają. To nie tylko anticol z Polski, lecz także leki ze Szwecji zażyte podczas próby samobójczej doprowadziły mnie do takiego stanu.

Po tamtych wydarzeniach usłyszałem między innymi, że zaszkodziły mi narkotyki. Tych akurat nie brałem, psychotropów i tak miałem dość. Napić się wolałem.

Marihuanę zapaliłem kilka razy w życiu. Gdy grałem w Panathinikosie, to na wakacjach zawsze mogłem liczyć na parę machów od świętej pamięci Bodzia. Nie wciągnęło mnie to zupełnie, próbowałem, żeby kumple się nie obrazili. Bo co, oni palą, a Igor nie zapali? O konsekwencjach nie myślałem, do głowy mi nie przyszło, że mogę przez to nie przejść kontroli antydopingowej w Grecji. Taki właśnie byłem.

A jak ci sami kumple mówili: „Sypek, daj parę złotych na wódkę”, to wyciągałem pieniądze i wysyłałem kogoś po całą skrzynkę. Dlatego

dobrze, że w Szwecji byli przy mnie tylko najbliżsi. Oni mnie chronili. Nawet o tej próbie samobójczej nikt w klubie, poza Jonasem, się nie dowiedział. Nawet Žvirgždauskas, z którym znałem się najlepiej i którego szczerze lubiłem... W wielu krajach byłoby to niemożliwe, tabloidy szybko dostałyby cynk od kogoś ze szpitala. W Halmstad mi się udało – choć „udało” nie jest tu najlepszym słowem.

Wróciłem do zespołu, ale nie byłem już sobą. Pod koniec sezonu przegrywaliśmy więc wszystko, co tylko się dało. Jonas nie dogadywał się z zarządem, atmosfera się pogarszała. Chciał, by w Halmstad zostali piłkarze, którzy najwięcej dają zespołowi (a najlepiej, aby otrzymali też podwyżki), ale szefowie klubu dyktowali co innego. Taki układ nie mógł trwać długo i musiał się skończyć tylko w jeden sposób. Zrozumiałem to dopiero po pewnym czasie, także z powodu kłopotów komunikacyjnych.

Dwie kolejki przed końcem Jonas przyszedł do szatni i powiedział, że odchodzi. Miałem wrażenie, że wszystko się wali, a sufit spada mi na głowę. Nie traciłem trenera, traciłem swoją opokę: nie tylko w Szwecji, ale również w życiu. Thern widział, jak się czuję i poświęcił dużo czasu, by przekonać mnie – albo raczej przekonywać, bo pełnego sukcesu nie odniósł – że wszystko będzie dobrze. Dziesięć goli w 21 meczach i przynajmniej kilkadziesiąt akcji, o których mówiło się w Szwecji, sprawiło, że wyrobiłem sobie w tym kraju niezłą markę. Zgłosiło się po mnie Malmö, które pod okiem Toma Prahla miało nawiązać do dawnych lat świetności. Po spadku z Allsvenskan w 1999 roku szefowie klubu zaczęli odbudowywać potęgę zespołu, który czternastokrotnie zdobył mistrzostwo Szwecji, a w 1979 roku awansował nawet do finału Pucharu Europy. Po szybkim powrocie do najwyższej klasy rozgrywkowej celem stały się puchary i pierwszy od 1988 roku tytuł mistrzowski. W 2003 roku skończyło się na trzecim miejscu, a teraz miało być lepiej. Także dzięki mnie.

W Malmö FF bardzo chciał mnie widzieć Tom Prahla, doświadczony szwedzki trener, który do 2001 roku pracował w... Halmstad, doprowadzając ten klub do dwóch tytułów mistrzowskich w ciągu pięciu lat. W 2004 roku dostał od sponsorów pieniądze, by zbudować „dre-

am team”, którego nie da się pokonać. Mógł przejrzeć składy ligowe, wskazywać palcem, z kim chce pracować i brać takich piłkarzy, jakich chce. Byłem jego pierwszym wyborem i kandydatem na następcę Zlatana Ibrahimovicia. Każdy, kto widział mnie w formie, powtarzał, że będę nowym „Ibrą”. Poza Malmö FF podobne spostrzeżenia mieli skauci Ajaksu, którzy próbowali mnie ściągnąć do siebie i zbudować atak z dwóch takich grajków. Wysłannicy holenderskiego klubu rozmawiali nawet z Patrickiem Mörkiem i Jonaszem Thernem, był taki moment, w którym bliżej mi było właśnie do Amsterdamu, niż do Malmö. Ostatecznie zostałem jednak w Szwecji, choć w grę wchodził także transfer do duńskiego Brøndby Kopenhaga.

– Wiesz Igor, Malmö to mocny klub, grałem tam. Będę niedaleko, zawsze ci pomogę, a ty znajdziesz się w najsilniejszej szwedzkiej drużynie. Zdobędziesz mistrzostwo i twoja wartość jeszcze wzrośnie – mówił mi Jonas Thern, bardziej mnie jednak pocieszając niż przekonując do decyzji. Bogdan Maślanka doradzał:

– Stanałeś na nogi, tam się odnajdziesz. Dobrze czujesz się w Szwecji, a jak dalej będziesz tak dobrze grał, to może znów odezwie się Barcelona. Naprawdę jest taki temat – pewnie trochę koloryzował, ale jeśli chodzi o Ajax mam pewność, że uważnie mnie obserwowali.

Malmö było bardzo konkretne: za sam podpis na umowie dostałem w przeliczeniu grubo ponad 100 tysięcy złotych polskich, a zarabiać miałem, bez premii, około 40 tysięcy miesięcznie. Po prawie trzech miesiącach dojeżdżania do nowego miejsca pracy 130 kilometrów autostradą przeprowadziłem się na zamknięte, elitarne osiedle w Malmö i znów miałem otwarte drzwi do czekającej mnie wielkiej kariery. Wszystko to niespełna rok po tym, jak znalazłem się na dnie... Powinienem się czuć, jakbym w „Tip Topie” trafił przynajmniej karete. Był tylko jeden problem – nie licząc oczywiście powracających czasem czarnych jak noc depresyjnych myśli i duchów z Krakowa – w Malmö miałem grać bez Jonasa.

Thern wiedział, że bardzo go potrzebuję i mnie nie zostawił. To dzięki niemu rozpocząłem w Szwecji nowe życie, to on najpierw odnalazł we mnie człowieka, a dopiero później piłkarza. I pozostał blisko mnie, gdy zmieniłem klub, choć... i tak zbyt daleko.

Jonas po odejściu z Halmstad zajął się przede wszystkim swoją rodziną. Patrząc dziś na Simona, z którym w domu Thernów kilka razy kopnąłem piłkę, można być pewnym, że dobrze zrobił. Dzwonił do mnie czasami, zdarzyło się też kilka razy, że to do niego telefonowano z Malmö, gdy kłopoty ze mną zaczęły przerastać władze klubu. Tak było choćby podczas naszego przedsezonowego obozu w hiszpańskiej La Mandze, gdy kilka razy... po prostu się wyłączyłem.

To był czas, gdy depresja posuwała się w błyskawicznym tempie i musiałem przyjmować spore dawki leków. Z medycznego punktu widzenia nie było więc pewnie nic dziwnego w tym, że można było mnie spotkać w hotelowym holu krótko przed północą... z butami piłkarskimi w ręku, ubranego jak na trening. Dla trenerów Malmö musiał to być jednak szok, takich kłopotów ze mną się nie spodziewali. Podobnie jak tego, że następnego dnia po takiej scenie – nic nie będę pamiętał. Wiem, trudno to sobie wyobrazić, ale tak było. Nowy nabytek przyszłego mistrza Szwecji, potencjalna gwiazda nowego sezonu, chciał trenować w środku nocy, a w rozmowie z szefami zachowywał się, jakby lunatykował. Podczas zajęć – już o normalnych porach, razem z zespołem – potrafiłem zacząć żonglować gdzieś na boku, a potem położyć się na boisku, w samym narożniku. Zdarzało mi się też, zdjąć buty w środku treningu i zejść z murawy, bo coś mi nie odpowiadało. Wiem z opowiadań, że nic do mnie wtedy nie docierało. To po prostu nie byłem ja, czułem się, jakby ktoś mnie wyłączył... Trudno to opisać. Dodam jeszcze, że byłem trzeźwy. W La Mandze nie piłem.

Jedynym pomysłem Toma Prahla na rozwiązanie tych kłopotów był telefon do Jonasa Therna. Ten dzwonił do mnie i próbował uspokoić. To pomagało. Przynajmniej na jakiś czas. Prahł zachowywał się zresztą bardzo w porządku. Wyciszył sprawę mojego dziwnego zachowania na obozie w Hiszpanii, a nie było to takie łatwe, bo przecież w jednej z gazet ukazał się artykuł opatrzony zdjęciem leżącego przy boisku „Sypka”. Tę pozycję przyjmowałem widać, gdy traciłem nad sobą kontrolę, bo przecież kilkanaście miesięcy później tak samo uwaliliśmy się na trawie (wiem, że to brzydkie określenie, ale pasujące idealnie do sytuacji) na meczu trzecioliigowego wtedy Sokoła Alek-

sandrów. Ludzie mieli niezły ubaw, robili mi zdjęcia, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Chciałem sobie po prostu poleżeć.

Wracając jednak do Praha – nie dał powiedzieć na mnie złego słowa, nie wyrzucił z zespołu, wspierał. Wraz z klubem zapewnili mi bardzo dobrą opiekę. Zdecydowali się nie ściągać kolejnego napastnika, tym bardziej, że kibice niesamowicie na mnie liczyli, niektórzy podchodzili do mnie na ulicy i poklepywali po plecach. Nie mogłem mieć do nikogo pretensji i naprawdę chciałem się im wszystkim za to odwdziżyć.

Miałem taką możliwość. Malmö 2004 było bardzo silną drużyną, pełną gwiazd. Wraz ze mną do klubu przyszli Patrick Andersson z Barcelony oraz wspomniany wcześniej Alfonso Alves, który błyszczał w Örgryte, jak ja w Halmstad. Dodajmy jeszcze rozgrywającego Thomasa Grana, Kameruńczyka Josepha Elangę i mojego partnera z ataku, Niklasa Skooga, który rok wcześniej z dużą przewagą zgarnął tytuł króla strzelców. Ten zespół został już przed rozgrywkami skazany na mistrza. W ankiecie przeprowadzonej wśród piłkarzy Allsvenskan aż 37% uznało, że będziemy poza konkurencją. Do dziś trzymam gazetę z innym wynikiem tej sondy – aż 18% moich kolegów i rywali z boiska typowało, że królem strzelców będzie... Igor Sypniewski. Nic dziwnego, że mnie doceniali, bo były bramki, po których chłopaki w moim zespole pękali ze śmiechu, a rywale mieli miny, jakby chcieli połamać mi nogi. Jeszcze w Halmstad położyłem kiedyś na boisku dwóch obrońców, a potem poczekałem na bramkarza i podciąłem nad nim piłkę do siatki dopiero, gdy położył się po raz drugi. To był gol, po którym nawet Jonas bił brawo i po którym... poważnie ze mną porozmawiał. Nie krzyczał, a tylko delikatnie zasugerował, że mogę się bawić grą, uważając jednak z ośmieszaniem rywali. Bo naprawdę może mi ktoś kiedyś na boisku krzywdę zrobić.

Połączenie efektownych transferów i gigantycznych oczekiwań sprawiło, że sprzedano dwa razy więcej karnetów niż w poprzednim sezonie. Oglądać nas co tydzień postanowiło dwanaście tysięcy ludzi. Malmö było bez wątpienia „wielkim, szwedzkim klubem”, dokładnie tak, jak mówił Jonas. Miejscowym Realem Madryt, Galacticos ze Skandynawii. Naprawdę tak nas nazywano.

Początek sezonu zdawał się potwierdzać wysokie oczekiwania moich nowych kibiców. Zaczęliśmy wprawdzie od 0:0 z Hammarby, ale ten mecz pokazał, że mamy potencjał i możliwości. Wszedłem po godzinie gry i spisałem się na tyle dobrze, że w kolejnym meczu, zaledwie trzy dni później, wystąpiłem już w wyjściowej jedenastce! Wszystko to – przypominam – po okresie przygotowawczym, który w moim wykonaniu daleki był od ideału i oczekiwań trenerów. Na moje szczęście, gdy już wychodziłem na boisko, po depresji nie było śladu.

Całe miasto zaczynało żyć nową drużyną, a to, co zaczęło się trzy dni po naszym pierwszym remisie, było już prawdziwym szaleństwem.

Graliśmy z Örebro SK, a ja bawiłem się na boisku. Do asysty z pierwszej połowy dorzuciłem dwa gole po przerwie, a mój zespół wygrał 5:1. Tom Prahl zdjął mnie z boiska w samej końcówce, żebym to właśnie ja otrzymał od ponad 20 tysięcy widzów owację na stojąco. Wyściskał mnie serdecznie i jak najbardziej szczerze, kręcąc ze zdumieniem głową. Przecież wiedział to, co koledzy z drużyny, a o czym pojęcia nie mieli ci wszyscy ludzie na trybunach – że byłem psychicznym wrakiem, fizycznie przygotowanym dość przeciętnie, a jednak potrafiłem zrobić z piłką takie rzeczy, jakich dawno na tym obiekcie nie widziano. Dlatego właśnie tak mnie ceniono i pokochano. Cały stadion skandował moje nazwisko, wszyscy wierzyli, że doprowadzę ich zespół do pierwszego po latach mistrzostwa. Byli o tym święcie przekonani, o czym zapewniali mnie jeszcze długo po meczu, prosząc o autografy. Znajomi Polacy klepali mnie po plecach i tłumaczyli kolejne pochwały od Szwedów. Rośli wraz ze mną. Któż mógł wtedy przypuszczać, że to będą moje jedyne bramki dla przyszłego mistrza kraju?

Trzecia kolejka to znów popis całego zespołu – kolejne 5:1 i moje następne asysty. Graliśmy w Borås, więc na mecz przyszedł Bogdan Maślanka i wtedy na moment odzyskał wiarę, że jednak przenosiny do Malmö były dobrym pomysłem. Wiem, że do dziś wyrzuca sobie tamten transfer, uważając, że nie powstrzymał mnie przed upadkiem w otchłań, ale nie ma racji. Nie mógł opiekować się mną całe życie,

i tak zrobił bardzo dużo. Dziękuję, Panie Bogdanie.

Takimi meczami dziękowałem też niesamowitym kibicom Malmö. Kilka dni przed ligą, czytając szczątkowe doniesienia o tym, co działo się na hiszpańskim zgrupowaniu, byli zaniepokojeni (coś tam jednak z La Mangi do mediów wyciekło...). Zastanawiali się, co się dzieje z Sypniewskim, a ja wszedłem na drugą połowę wysoko wygranego sparingu z Kalmar i nie tylko strzeliłem gola, nie tylko dograłem piłkę kolegom przy kolejnych, ale także pokazałem kilka sztuczek w stylu starego, dobrego Sypka. „Standing ovation” pokazało, jak ważna była dla kibiców moja nowa jasnoniebieska drużyna. Cholera, ja tam naprawdę mogłem zostać piłkarskim Bogiem...

Fani w Malmö pokochali mnie zanim jeszcze założyłem ich koszulkę. Pamiętali z Halmstad, wiedzieli jak wiele mogę dać ich zespołowi. Gdy do Szwecji dotarły z Hiszpanii wiadomości o moich kłopotach psychicznych, napisali do mnie list, podpisany przez kilka tysięcy osób. Przekaz był prosty: „Igor, trzymaj się, Igor, jesteśmy z Tobą”. Do dziś jestem tym wzruszony. Kibice w Grecji potrafią kochać na zabój, są fantastyczni, ale czegoś takiego, jak po otrzymaniu tego listu, nie czułem nigdy. Łzy leciały mi ciurkiem po policzkach... Dla takich ludzi chciałem wygrywać i strzelać gole – bardzo żałuję do dziś, że nie było mi to dane. Mogłem przecież zostać w Szwecji na zawsze... Mój syn uczyłby się grać w piłkę w szkółce Jonasa, w której ja też pokazywałbym ćwiczenia innym dzieciakom... Ciekawe, czy wtedy też praworęczny przecież Kacper kopałby futbolówkę lewą nogą? Jak tata?

Wygraliśmy jeszcze 1:0 z IFK Göteborg, a potem przyszły dwa kolejne remisy i pierwsza porażka w sezonie. W efekcie po siedmiu meczach traciliśmy do lidera – którym był mój Halmstad! – siedem punktów. Miałem pecha, bo gdy trener zaczął szukać nowych, skuteczniejszych ustawień, żeby przełamać złą passę, posadził na ławce właśnie mnie. Miał zresztą argumenty, bo skuteczny we wcześniejszych meczach na pewno nie byłem. Ósmy mecz w ósmej kolejce Allsvenskan był moim ostatnim w Malmö. Zremisowaliśmy 0:0 z Kalmar, a ja wszedłem na boisko na kilka ostatnich minut.

Później przestałem grać, Prahl i jego współpracownicy zwyczajnie

się poddali. Od początku nie mieli dla mnie tyle czasu, co Jonas, nie mieli też takiej swobody jak on w prowadzeniu treningów, bo przecież tu na zajęcia przychodzili już regularnie kibice. Postawili na mnie krzyżyk.

Czułem się źle, ale przynajmniej znalazłem towarzystwo, z którym od czasu do czasu można było się napić. Wrócił alkohol i przytłumił depresję. Życie przestało budzić we mnie emocje. Obojętne było dla mnie nawet to, że postanowiono wypożyczyć mnie do Trelleborga, gdzie próbowałem trenować przez jakiś czas. Jak długo? Pojęcia nie mam.

To był już totalny dół. Z tego okresu nie pamiętam nic. Zero.

Gdy słyszę nazwę Trelleborgs FF, nie czuję nic. Jakby było to obce słowo.

Wiem, że tam grałem..., a raczej byłem.

Gdy usilnie próbuję sobie coś przypomnieć, jedyne co przychodzi mi do głowy to fakt, że dojeżdżałem tam z Malmö samochodem, było bardzo blisko. Drogi nie pamiętam, choć gdy patrzę dziś na mapę widzę, że biegła wzdłuż wybrzeża. Musiało być widać morze.

Niemal pewien jestem, że w samochodzie, gdy tam jeździłem, grała muzyka. Paliłem, inaczej być nie mogło. Wiem to, ale nie pamiętam.

Informacja, że w barwach Trelleborgs FF zagrałem dwa mecze, teraz, w 2014 roku, zaskakuje mnie.

Fakt, że Trelleborgs FF w tamtym sezonie 2004 spadł z hukiem z Allsvenskan, brzmi dla mnie jak nowość. Dopiero gdy długo o tym myślę, przypominam sobie że tak, był to słaby zespół. Obca drużyna. Siebie naprawdę w niej nie widzę. Żadnych szczegółów.

Pierwsze, co lepiej pamiętam, to dopiero powrót do Polski. Wtedy, gdy nikt już mnie w Szwecji nie chciał.

11. W szkole Łobanowskiego

W normalnej sytuacji i dla normalnego piłkarza, który grał w Lidze Mistrzów, powrót do Polski byłby wielką porażką. Ale nie dla mnie, ja odbierałem to wtedy irracjonalnie – cieszyłem się, że znów będę między swoimi, będę mógł spotykać się z kolegami, wśród których zawsze najlepiej się czułem. Nie jestem uczony, źle się czuję między ludźmi z, nazwijmy to, wyższych sfer. Sklep, bar z piwem, koledzy z Kozin – to było moje środowisko. Tam było mi dobrze, naprawdę dobrze. Teraz to zrozumiałem i nie wstydzę się do tego przyznać. Będąc wśród nich, nie musiałem się zastanawiać, czy to co powiem, wyda się komuś śmieszne. Ich język zawsze był moim językiem.

Gdy po świetnym czasie w Halmstad, w Malmö wszystko się popsuło, już nie myślałem, że Szwecja to mój kraj. Znów czułem się obco.

Nie jest więc dziwne, że po epizodzie w Trelleborgu mój kontrakt został rozwiązany i wszyscy chcieli jak najszybciej zapomnieć, że kiedykolwiek istniał. Obie strony wiedziały, że ta umowa była błędem. Szybko wymazały go z pamięci, co mnie przyszło oczywiście zdecydowanie łatwiej niż Szwedom. Szybko zapakowałem się na prom i wróciłem do Polski.

Do Łodzi. Do mojego miasta.

Przez kilka tygodni nic nie robiłem. Nic. Zero. Poza jedną rzeczą oczywiście – poza piwem. To był czas, kiedy bez piwa nie byłem już w stanie funkcjonować. Bywały chwile, kiedy głupio mi było pójść po kolejny zapas browarów, bo ekspedientki z pobliskich sklepów bardzo się tym interesowały.

– Panie Igorze, znowu? – słyszałem to wiele razy. Ale chęć kupienia piwa była silniejsza niż wstyd, a jako deskę ratunku miałem obok siebie Gosię, którą czasami prosiłem, by kupiła mi parę puszek. Robiła kwaśną minę, ale wiedziała, że i tak mnie nie powstrzyma. Poddała się. Albo inaczej: poddała się już wiele lat wcześniej. Więc szła do sklepu i kupowała, a potem wolała nie patrzeć, jak piję.

Gdy wracałem do Polski nie sądziłem, że za kilka miesięcy znów będę grał. W ogóle nie myślałem o przyszłości – byłem zmęczony i zniechęcony. Wszystkie lata spędzone w sporcie, te przyjemne i te znacznie gorsze, powodowały, że coraz bardziej męczył mnie futbol. Był tylko jeden problem – pieniądze, a konkretnie ich brak. Szybko się kończyły, a pomysłu na życie nie było. Gdy nadchodziły krótkie chwile refleksji, w których zastanawiałem się, co ze mną będzie, dochodziłem do jedyne go słusznego wniosku, niezbyt zresztą odkrywczego: w życiu dobrze mi wychodziło tylko kopanie piłki. Nic innego nie umiałem.

Moja edukacja – nazwijmy to w ten sposób, choć to trudne słowo i chyba nieco przesadzone w odniesieniu do mnie – zakończyła się w szkole zasadniczej, w samochodówce. Nauczyłem się tam tyle, że dziś potrafię nawet... zatankować wóz. Ze zmianą koła już gorzej. Ale w moich czasach piłkarze w szkołach mieli zwyczajowo taryfę ulgową i nawet, gdy nabroili, zawsze pojawiał się ktoś, kto ratował sytuację. Dlatego właśnie wiele się w życiu nie nauczyłem. Czy żałuję, że ktoś mnie nie przypilnował? Że zawsze był ktoś, kto chronił, a nie było nikogo, kto uświadomiłby, jak ważna jest nauka? Pewnie, że nie żałuję. I tak bym się nie nauczył, a tylko przybyłoby mi problemów. Tak jak było, było dobrze i na pewno bym tego nie zmienił, nawet gdybym mógł. Miałem grać w piłkę i nie mieć problemów w szkole. Więc grałem, a problemy... Cóż, to zupełnie inna historia.

To że nie miałem wykształcenia jakoś mi nie przeszkadzało, nie brakowało mi tego i wtedy, gdy w 2004 roku wróciłem do Łodzi, a myśli o skończeniu szkoły, czy uzyskaniu zawodu nawet się nie pojawiały. Umiałem tylko kopać piłkę. Musiałem zacząć myśleć o pieniądzach, a więc także o futbolu. Jak długo można prosić rodziców o pomoc? Przecież miałem już trzydzieści lat!

Jest taki człowiek, dzięki któremu wróciłem do ŁKS i który wtedy uratował mi życie (choć prawdopodobnie powinienem użyć słowa „był”. Nazywałem go Przyjacielem, bardzo mi pomógł, a dziś nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Czy nie potrzebuje pomocy?, a może raczej... czy nie przegapiłem jego śmierci i pogrzebu?). To Marek Jabor-ski, były zapaśnik, co zresztą było widać po charakterystycznie nade-

rwanych uszach. Poznałem go przez znajomego z osiedla i jak to bywa, szybko się dowiedziałem, że to dobry kolega Daniela Goszczyńskiego, a Goszczyński był wtedy właścicielem ŁKS...

Wszystko poszło bardzo szybko, dzięki Markowi znów mogłem kopać. Wprawdzie tylko w drugiej lidze, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Wiadomo – trzeba było zarabiać pieniądze, to zarabiałem. Skoro płacili, to co za różnica, za jaki poziom?

Marek nie był moim menedżerem, choć często go tak przedstawiano. Nie miał ciekawej historii, łapał się różnych zajęć, niekoniecznie legalnych. Jakiś czas temu słyszałem, że... został zamordowany w więzieniu w Meksyku, do którego trafił, bo przemycał narkotyki. Nie wiem, czy to prawda, ale kontaktu od dawna z nim nie mam i nie znam nikogo, kto podałyby mi inną wersję, a ta wydaje mi się wiarygodna. To przecież nic nowego, że do takiego przemytu szuka się gościa, który bardziej niż inni potrzebuje paru tysięcy euro. Chłopak myśli, że łatwo zarobi kasę, ale tak naprawdę ma być tylko wystawiony na strzał. W tym czasie duży szmugiel idzie bokiem... Tak mogło być również z Markiem. Słyszałem, że dostał dwadzieścia lat. Szkoda chłopca, bo choć wyglądał groźnie i pewnie niejedno miał na sumieniu, to czułem, że ma dobre serce. Mnie pomagał bezinteresownie i nigdy nie dał odczuć, że powinienem mu płacić. Czasem coś tam mu dałem, ale generalnie nasze kontakty były bardziej przyjacielskie. Był po prostu kibicem, który chciał, żebym zagrał w ŁKS. Pomógł klubowi, który mnie wychował i sobie samemu. I mnie oczywiście.

Umówione przez Marka spotkanie z Goszczyńskim przebiegło błyskawicznie, dogadaliśmy się w kilka minut. Dostałem kontrakt na trzy lata i naprawdę niezłe, zwłaszcza jak na polską drugą ligę, pieniądze. O Goszczyńskim krążyły wtedy legendy, że umowy z piłkarzami podpisuje w knajpach przy wódzie. Nie wiem, czy ktoś tak właśnie zrobił, ale moim zdaniem to bzdura, bo ja swój kontrakt podpisałem w biurze. Co oczywiście nie zmienia faktu, że po Goszczyńskim, nazywanym w drużynie „Dankiem”, widać było, że za kołnierz nie wylewa. W jego fachu być może inaczej się nie dało, bo produkował tanie wino. Każdy, kto na niego patrzył, widział, że w Polsce trudno o lepszy interes... Czasem zniknął na kilka dni, nie pojawiał się w klubie

i nie odbierał telefonów, a wśród pracowników krążyły legendy, jak dobrze się bawi. Barwna postać.

Genialne były zwłaszcza rozmowy na temat terminów wypłat. „Daneek” obiecywał chętnie i wszystko, a do tego był naprawdę przekonujący. Po pierwszej rozmowie przypominającej o terminie wypłaty, byłem przekonany, że rzeczywiście spóźnienie jest przypadkowym błędem sekretarki i „najpóźniej w poniedziałek” wszystko będzie uregulowane. Może i było w poniedziałek, ale na pewno nie najbliższy...

W każdym razie nasza pierwsza rozmowa o kontrakcie była szybka i rzeczowa. Po prostu usiadłem, zerknąłem czy zgadza się ustalona wcześniej suma, podpisałem, wyszedłem i wyjechałem z ŁKS. Oczywiście do kolegów na Koziny, bo przecież powrót do mojego – i ich! – klubu był godny wychylenia kilku piw.

Wiele razy słyszałem opinię, że to właśnie koledzy mnie zniszczyli. Nie chcę się wybielać, swoje za pazurami miałem i mam nadal, ale coś w tym jest. Jak i w powiedzeniu, że ciągnie swój do swego. Nieprzypadkowo miałem właśnie takich kolegów. Przez wiele lat byłem taki sam jak oni. Jestem taki sam jak oni. W szatni chłopaki czasem mieli ze mnie ubaw, gdy coś powiedziałem, zrobiłem jakiś błąd językowy. Kumple spod trzepaka, z naszego murku pod sklepem – to był mój świat, do którego tak naprawdę należałem. Świat, który dla nich zamykał się na Kozinach lub Bałutach, a z którego wyszedłem, choć... on we mnie pozostał. Nigdy nie chciałem zerwać z tymi dzielnicami i ich dziećmi. Albo inaczej: miałem chwilowe przerwy w kontaktach, ale zawsze po to, by nie pić, a nie po to, by mieć inne towarzystwo. Bo innego nigdy nie się nie dorobiłem. Pewnie dlatego zawsze tam wracałem.

Z ŁKS związałem się 25 stycznia, przed rundą wiosenną, w której wiadomo było, że nic nie osiągniemy. Nie mieliśmy już szans na awans do ekstraklasy, nie było też realnego zagrożenia, że spadniemy z ligi. Idealne pół roku, żeby znowu zaprzyjaźnić się z Łodzią, klubem i jego kibicami.

Powrót do ŁKS miał dla mnie sentymentalne znaczenie. Wprawdzie w dzieciństwie, jak już wspomniałem, kibicowałem Widzewowi, ale szybko zacząłem treningi przy al. Unii i pokochałem ŁKS. Ten klub

ma jakąś magię – niby nic wielkiego w swojej historii nie osiągnął, przez lata jego stadion sypał się coraz bardziej, a jednak jest wielu ludzi, w których wywołuje emocje. Ten swojski zapach, jaki zawsze był w hali pod trybuną, te odrapane mury... Dla jednych, tych przyjezdnych, to smród grzyba na ścianach, dla nas – codzienność i kawałek historii. Może dlatego, z powodu tej biedy, atmosfera w ŁKS zawsze była świetna. Nie wiem czy to przypadek, ale w żadnym klubie, w którym grałem, piłkarze nie lubili się tak, jak w ŁKS. Fakt, że były też konflikty, wzajemne prestensje, a nawet bójki, tej opinii nie zmieni. Spory są przecież w każdej grupie, nigdzie nie ma tak, że wszyscy się kochają. Na przykład, nigdy nie mogłem się dogadać z Arturem Kościukiem, co było trochę dziwne, bo przecież znaliśmy się najdłużej. Graliśmy razem jeszcze w trampkarzach, chodziliśmy do jednej szkoły. Kiedyś, właśnie po moim powrocie, na dyskotecę mieliśmy nawet małą przepychankę i daliśmy sobie po twarzach. Nic wielkiego się jednak nie stało, skończyło się na jednej awanturce. Ale dogadać się nie potrafiliśmy, choć często jeździliśmy na treningi jednym samochodem. Mieszkaliśmy blisko siebie, znaliśmy się z roboty i tyle. Przyjaciółmi nie byliśmy.

ŁKS w czasie mojego triumfalnego powrotu na stadion przy al. Unii to była wesoła drużyna z wesołym trenerem. Dragan Dostanić nie miał wielkiego pojęcia o piłce – czasem zastanawialiśmy się, czy on na pewno jest trenerem – ale nam nie przeszkadzał. Było z niego często więcej śmiechu niż ze mnie, bo słabo mówił po polsku, choć... czuł wielką potrzebę, by mówić. I uważał, że mówi doskonale w naszym języku! Treningi prowadził tak dziwnie, że czasem łapałem się za głowę – pracowałem z wieloma trenerami, również bardzo znanymi, ale takich ćwiczeń nie widziałem nigdy.

Dragan bez przerwy chwalił się, że był kiedyś asystentem Walerego Łobanowskiego, a nawet pokazywał niewyraźne zdjęcie z jakiejś gazety, sprzed paru lat, na którym miał stać obok legendarnego ukraińskiego trenera. Łobanowskiego rzeczywiście można było na tej fotce rozpoznać, ale Dragana – tylko przy dobrej woli. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, a już najmniej Dostaniciowi, opowiadającemu bardzo chętnie, że „pochodzi ze szkoły Łobanowskiego i zgodnie

z jego zaleceniami pracuje”. Ciekawe, czy Serb miał w ogóle oryginalne te papiery, które pokazywał i które trafiły do PZPN? Nie wiem, ale może lepiej w to nie wnikać. Zwłaszcza, że o zmarłych – a Dostanić zmarł w 2011 roku – powinno się mówić tylko dobrze.

Dragan wziął robotę po Marku Chojnackim i z „Haczykiem” jakoś się dogadywał, zwłaszcza, że ten drugi, autentyczna legenda nie tylko klubu, ale i ligowej piłki, został przez Dankę przesunięty na pozycję menedżera. Pamiętam, że przy zatrudnieniu Serba była nawet kamera lokalnej telewizji, TVP 3 Łódź, która pokazała, jak cała trójka siedzi na kanapach i spokojnie rozmawia. Tutaj mógłbym się założyć, że gdy ekipa TV wyjechała, na stole pojawił się nie tylko obiad...

Mnie za Dostanicia źle jednak nie było, chyba działała na niego nazwa Panathinaikos. Wyraźnie dawał mi fory i chyba nigdy nie zwrócił uwagi. Wypytywał mnie często o treningi w Panathinaikosie, ale... rozmowa szła nam opornie. Kontakt, głównie z powodów językowych, był mocno utrudniony. Serbski Dragana nie był aż tak podobny do polskiego, jak jemu samemu się wydawało.

Dostanić chciał mieć dobry kontakt z drużyną i to była jego największa zaleta. Wiadomo przecież, że jak trener zadrze z zespołem, to szanse na utrzymanie pracy ma niewielkie. Wiedział z kim i jak pogadać, kogo poklepać po plecach. Pamiętam, jak kiedyś zaprosił mnie, Dwidka Leszczyńskiego i Rafała Niżnika, czyli najważniejszych jego zdaniem graczy, a do tego dość kontaktowych, do knajpy. Coś tam zjedliśmy, wypiliśmy jedno lub dwa piwka, po czym okazało się, że... Dragan zapomniał portfela. Musieliśmy zapłacić rachunek i jakoś nigdy nie wracaliśmy już do tematu.

Bez wątplenia był ciekawą postacią, kto wie czy nie najbarwniejszym trenerem ŁKS od czasu Leszka Jezierskiego. Potrafił odnaleźć się w tej naszej retkińskiej rzeczywistości. Prosty przykład zatorów płacowych, będących naszą codziennością, najlepiej pokaże, jakie miewał pomysły: gdy Goszczyński mu nie płacił, sprytny Serb wpadł na pomysł, jak odzyskać kasę. Danek jeździł wtedy białym BMW, nowym tylko z nazwy. Dostanić wyczekał, aż prezes będzie w, nazwijmy to, dobrym humorze i przyszedł zapytać o pieniądze, a gdy usłyszał od Goszczyńskiego, że kasy nie ma, to szybko zaproponował, że może

zamiast pieniędzy wziąć samochód. I już za chwilę wyjeżdżał beemką z al. Unii, mając w kieszeni papier stwierdzający, że to teraz jego własność. Tym BMW bardzo się zresztą chwalił, uważał, że taka marka wzmacnia jego prestiż, buduje autorytet jako trenera. Zwłaszcza, gdy opowiadał, że to „premia za dobrą pracę”... Auto nie było jednak pierwszej młodości i mam wrażenie, że to Goszczyński zrobił lepszy biznes. Zresztą już po zwolnieniu Dragana z ŁKS prezes głośno zaśmiewał się z tego, w jaki sposób spłacił trenera, a to oznacza, że tanio pozbył się długu. Handel tanimi samochodami z gatunku „prawie nówka” wychodził mu nie gorzej niż tanim winem.

Co stało się z Dostanicem? Po pożegnaniu z ŁKS prowadził bałkańską knajpę w Łodzi. Zdarzyło mi się tam zajrzeć raz, czy dwa. Zatrudniał kucharza, którego ściągnął ze swoich stron i który czasem przysiadł się do gości, by chętnie opowiadać o wojnie w Jugosławii. Gdy na niego patrzyłem, miałem wrażenie, że ten chłop kilku ludzi ma na sumieniu. Na pewno nie chciałbym spotkać go na serbskiej ulicy z kałasznikowem w ręku. Ale kompanem był wyborym.

Draganowi prowadzenie knajpy poszło podobnie jak prowadzenie klubu, choć jedzenie miał doskonałe. Kucharza podkupiła mu inna bałkańska restauracja, którą zresztą prowadził... menedżer piłkarski Dragan Popović, ten sam, który ściągnął Dostanicia do Polski. O Dostanicu chodziły plotki, że popadł w straszne problemy finansowe, z których nawet talent do gotowania (bo sam zaczął przygotowywać posiłki) nie mógł go wyrwać. Słyszałem nawet, że grywał w trzy karty na bazarze, co jest przecież najniższą, moim zdaniem, formą hazardu. Był też taki moment, w którym zwołał w Łodzi konferencję prasową, na której opowiadał, że jedzie podpisać kontrakt z dużym tureckim klubem i chciał pożegnać się z ukochaną Łodzią. Informacja poszła zresztą w lokalnych mediach, choć nikt jej nie zweryfikował. Podobnie jak słów Dragana, że będzie tam zarabiał ponad sto tysięcy dolarów.

Szkoda chłopca – pomyślałem, gdy niedawno dowiedziałem się, że zmarł. Lubiłem go tak samo, jak kibice ŁKS, których zjednywał bezpośrednio i serdecznym zachowaniem podczas przypadkowych spotkań, a także dumą i pewnością, że jest najlepszy i pracuje w naj-

lepszym klubie, co podkreślał w każdym wywiadzie. Kibice to lubią, podobnie zresztą jak dziennikarze.

W rundzie wiosennej sezonu 2004/2005 byłem podstawowym zawodnikiem i zagrałem w większości meczów. Pamiętam pierwsze spotkanie z KSZO Ostrowiec Świętokrzyski. Kibice super mnie przyjęli na stadionie przy al. Unii. Dziwnie się to życie toczy, po tylu latach od ligowego debiutu przyszło mi tu znowu grać. Boisko takie samo, ale wszystko wokół diametralnie różne. Debiutując tu w 1993 roku byłem dziewiętnastolatkiem pełnym marzeń o wielkiej karierze. Grając po raz drugi, niemal półtora roku później, wszedłem na kilka minut w wygranym już meczu z Górnikiem Zabrze. Teraz wracałem jak król do podupadającego królestwa, będąc zblazowanym trzydziestolatkiem. Albo inaczej – witany byłem jak król, choć przecież wiele nie osiągnąłem. Raczej takim synem marnotrawnym byłem...

Pierwszy mecz z moim udziałem wygraliśmy, co było dla mnie równie ważne, jak to, że wytrzymałem na boisku prawie 90 minut. Zmiana w końcówce była tylko po to, żebym mógł otrzymać jeszcze jedne owacje. Fajne to było, ale mnie brakowało gola. Przełamałem się dopiero w Polkowicach, w piątym meczu, ale i tak rundy za specjalnie udaną nie mogłem uznać. Niby się odbudowywałem, wracałem do właściwej formy fizycznej, ale strzeliłem tylko cztery bramki. Myślałem, że łatwiej to wszystko pójdzie. Przecież zawsze wszystko przychodziło mi łatwiej niż innym, więc dlaczego tym razem było inaczej, do jasnej cholery?

Tamtą rundę zapamiętam jednak najbardziej nie z powodu bramek, a meczu, jakiego nie widziałem ani nigdy wcześniej, ani później. Myślisz, że w futbolu widziałeś już wszystko? Nie sądzę. Chyba, że widziałeś mecz ŁKS z Kujawiakiem Włocławek w kwietniu 2005 roku.

To było coś nieprawdopodobnego. Od tamtego czasu minęło już wiele lat, a do tej pory nie mogę zrozumieć, jak coś takiego mogło się wydarzyć. Takiego kręcenia, jakie było wtedy, nie widziałem nigdy w życiu – a przecież grałem w Grecji, więc widziałem bardzo dużo. Sędzia najwyraźniej dał się ponieść emocjom. Po kilku latach przeczytałem w gazecie, że pan sędzia ze swojego nazwiska stracił literki od „u” do „i” i był już tylko Zbigniewem R. Określałem gnoja słowem

czteroliterowym, zaczynającym się na „ch”. Robiłem to zresztą jeszcze na boisku, bo nerwy puściły mi totalnie. Miał jakiś rodzaj podkładki pod moją czerwoną kartkę, tak to potem uzasadniał. Ale nawet tu się pogubił, bo przecież wyrzucił mnie z boiska za dwie żółte!

Gościa nieprawdopodobnie poniosło. Od początku widać było, że coś z nim jest nie tak, chociaż takiego zakończenia żaden z nas się nie spodziewał. Kartkami szastał bardziej, niż rozdający przy pokerze. Pierwszy wyleciał z boiska Paweł Golański, później Robert Sierant, a ja byłem trzeci. Do tego, co chwila, przerywał nam grę – a to widział spalonego, którego nie było, a to gwizdał jakieś dziwne faule. Jak mi pokazał kartkę, to myślałem, że go zabiję. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że – przynajmniej na trzeźwo – raczej panuję nad emocjami, ale wtedy zupełnie puściły mi hamulce. Nawtykałem mu okrutnie i cudem nie rzuciłem się na niego z pięściami, a właściwie nawet nie cudem, a dzięki Dostaniciowi, który mnie złapał i zaciągnął do szatni. Później mu nawet za to dziękowałem, bo gdybym gościa huknął, to dostałbym dyskwalifikację, a było blisko. Krętacz wyjaśniał potem, że poczuł się zagrożony. W sumie miał rację, bo z mojej strony wiele mu groziło. Ale początkowe uzasadnienia były inne....

Wracając jednak do tego dziwnego widowiska: kartki to był kompletny kabaret. Golański wyleciał z boiska, bo najpierw dostał cios w brzuch, a sędzia ukarał go za symulkę. Paweł symulować lubi, ale wtedy widziałem wyraźnie, jak gość mu przyłożył... Parę minut później rywal przewrócił się obok „Gola”, a sędzia już czekał z drugą żółtą i czerwoną kartą. Sierant z kolei dostał czerwień chwilę po tym, jak został brutalnie wycięty od tyłu. Moja pierwsza kartka była za dyskusje (wspominałem, pytałem arbitra, co robi. Żadne słowo z tego pytania, poza może początkowym „co”, do przytoczenia się nie nadaje), a druga za faul, gdy totalnie puściły mi nerwy. Zaraz po tym, jak wyleciałem z boiska, Kujawiak zdobył wreszcie gola. Strasznie słabi oni wtedy byli – sędzia musiał wywalić nas trzech, żeby wreszcie pokonali Bodzia Wyparłę. Tego gola zresztą też nie powinno być, bo chwilę wcześniej przed polem karnym Kujawiaka ich bramkarz starał się Niżnika. Gdy chłopaki protestowali, Kujawiak wyprowadził kontrę i strzelił gola, więc chyba nikogo nie może dziwić, że nasi nie

wytrzymali. Rut..., przepraszam, R., wyrzucił Niżnika z boiska, po czym zakończył mecz. Krzyczał, że jest nas za mało i mecz nie może być kontynuowany. To musiał być wyjątkowy nieudacznik, bo zaraz po zejściu z boiska już było wiadomo, że się pomylił, bo do zdekompletowania drużyny doszłoby dopiero wtedy, gdyby dał jeszcze jedną czerwoną kartkę. W siedmiu mogliśmy grać.

– Szybko się kąpać i jedziemy – zarządził Dostanić, żeby nikt nas nie wyciągał z powrotem na murawę. Sędzia, gdy zorientował się, że popełnił błąd, zaczął opowiadać wspomniane bajki o tym, że poczuł się zagrożony, a Niżnik nawet go uderzył. Miał chłop pecha, bo Niżnik był ostatnim w drużynie, który mógłby uderzyć kogokolwiek, a ja w momencie przerwania meczu miałem do niego za daleko... Jak się dowiedziałem, co sędzia wymyślił, zacząłem żałować, że mu jednak nie przywaliłem. Do Łodzi jechaliśmy krótko, ale parę piwek poleciało. Trzeba było jakoś wyleczyć nerwy, a Dragan nie miał nic przeciwko. To nie był wesoły autobus, właściwy powrotom z udanej walki o awans lub utrzymanie w lidze, ale stężenie promili było właściwe.

PZPN zdecydował wtedy, że mecz powinien być dokończony od momentu przerwania gry, czyli od sześćdziesiątej którejś minuty, przy wyniku 1:0 i z nami grającymi w siódmkę. Na ten cyrk nie pojechałem, bo przecież i tak nie mogłem zagrać – byłem wykluczony z gry. Goszczyński miał pomysł, żeby do Włocławka wysłać zaprzyjaźnionych z klubem członków zespołu „Trubadurzy”, chciał nawet wyłożyć kasę na ich rejestrację, żeby mogli zagrać. Jak to muzycy... Pomysł zrobienia cyrku w cyrku upadł jednak, chyba właśnie przez ten koszt zgłoszeń. Szkoda, bo to dodatkowo pokazałoby, z czym mieliśmy do czynienia. Skończyło się przyklepaniem zwycięstwa Kujawia-ka, ale trudno, żeby było inaczej, skoro włocławianie grali ponad 20 minut z siedmioma przeciwnikami. Grali zresztą na utrzymanie wyniku, żeby nie stracić tego prowadzenia 1:0... Żaloszne.

Wiosna 2005 roku była taka, jak większość rund w wykonaniu ŁKS – przeciętna. Spokojnie sobie graliśmy – raz wygrywaliśmy, raz przegrywaliśmy, czasem trafił się remisik – ale ja czekałem na jeszcze jeden mecz. Jeden bardzo szczególny, bo chociaż miałem już wtedy

trzydziestkę na karku, to miały być moje pierwsze derby Łodzi. Wcześniej zagrałem w lidze na Widzewie tylko raz – w RKS Radomsko. Zremisowaliśmy 2:2, ale gola nie udało mi się zdobyć. Oczywiście w seniorach, bo w rozgrywkach młodzieżowych jak najbardziej. Gdy byłem młody, dobrze nam szło z widzewiakami, bo juniorские drużyny ŁKS zawsze miał dużo lepsze, ale gra w lidze to było zupełnie coś innego. W dodatku mecz odbywał się na stadionie Widzewa, gdzie piłkarze ŁKS nigdy nie są mile widziani, a ja w szczególności. Lżyli mnie wtedy okrutnie. Takiego stężenia bluźnierstw nie słyzałem nigdy wcześniej, a sporo w życiu słyzałem.

Wtedy bardzo chciałem zdobyć bramkę. Wiedziałem, że dla chłopaków z osiedla ten mecz jest bardzo ważny – mówili mi to wiele razy. Można zresztą powiedzieć, że przed derbami motywowali mnie w najlepszy możliwy sposób. Nie, nie w kawiarni, w Kozinach przy kawce się raczej nie rozmawia... Czuję, że gdybym strzelił gola, a do tego gdybyśmy wygrali, to wracałbym na osiedle jak bohater. Ich radość byłaby pewnie jeszcze większa niż wtedy, gdy przyjeżdżałem z Grecji i bawili się na mój koszt.

Za bardzo chciałem. Kto wie, może właśnie dlatego zagrałem w tym meczu słabo. Zawsze miałem na boisku luz, a tu się spałem jak junior. I nic nie wychodziło... Aż tu nagle dostaliśmy rzut wolny w dogodnej odległości. Pomyślałem od razu: teraz! Przecież zawsze los mi sprzyjał, więc i tym razem dostałem okazję, by pokazać, co potrafię!

Podszedłem do piłki – zresztą pamiętam doskonale, w którym to było miejscu; mógłbym pójść i pokazać tę kępę trawy – i... walnąłem takiego balona, że chyba nawet kibice ŁKS gwizdali. Jeśli nie – to powinni. W kategorii „najgorzej wykonany wolny sezonu” miałbym ogromne szanse. Strasznie się podpaliłem. Zależało mi na wyniku drużyny, ale nie tylko. Chciałem zostać bohaterem – nie wiem nawet czy bardziej ŁKS, czy kolegów spod sklepu na Kozinach.

Ten wolny śnił mi się już kilkadziesiąt razy, naprawdę – sam nie mogę się sobie nadziwić, że aż tak się nakręciłem. W dzieciństwie ćwicyłem wolne, ale nigdy nie byłem specjalistą. Nie miałem ani jednego trenera, który chciałby, żebym te wolne egzekwował. Zresztą

w ogóle niewiele bramek strzeliłem spoza pola karnego. Moją wizytówką była raczej precyzja, niż siła. Szybkość i drybling, a nie moc. Wtedy jednak zupełnie o tym nie pomyślałem.

Te derby zakończyły się bezbramkowym remisem, więc gdybym kilka lat wcześniej nauczył się od Leszka Piszki strzelania wolnych, to może byśmy ten mecz wygrali. Oczywiście żartuję, ale jedno muszę przyznać całkiem serio – w tym meczu miałem największą treść w życiu. Większą niż na Old Trafford, gdzie kiwałem Beckhama i Neville'a, czy na Wembley; większą niż wtedy, gdy słyszałem hymn Ligi Mistrzów. Właśnie tam, na Widzewie, 8 czerwca 2005 roku, przeżywałem mecz najbardziej w życiu. By to zrozumieć, trzeba urodzić się w Łodzi, gdzie każdy dzieciak zaraz po przyjściu na świat zostaje kibicem albo ŁKS, albo Widzewa. Staje się biało-czerwono-biały lub czerwono-biało-czerwony. Kolega opowiadał mi kiedyś, jak dziewczyna postanowiła dać mu na urodziny szalik ukochanego klubu... zrobiony na drutach. Kupiła więc wełnę i zaczęła dziergać, a robiła to pierwszy raz w życiu. Wiedziała, że barwy powinny być biało-czerwone, więc zaczęła od czerwonego, żeby ładnie wyglądało, i tak piętnaście pasów, na przemian. Jakież było jej zdziwienie, gdy okazało się, że kilka dni przed niespodzianką musi wszystko spruć, bo czerwona końcówka oznaczała Widzew... Zdążyła jednak na czas i kumpel szalik ma do dziś, choć dziewczynę zupełnie inną. Gdyby nie zorientowała się, że zrobiła błąd, ich związek mógłby potrwać krócej, a szalik na pewno nie skończyłby dobrze. Tak było w Łodzi w latach dziewięćdziesiątych i tych późniejszych. Wojna. Początkowo mocnych, a potem coraz słabszych klubów. Właśnie na ten czas wróciłem do kraju.

Spaliłem się w swoich pierwszych derbach, nie ma co ukrywać. W drodze powrotnej autobusem na nasz stadion, a nie jest to daleko, myślałem tylko o tym, żeby tej nocy koniecznie się gdzieś urwać i odreagować stres. Koledzy wynik 0:0 przyjęli z zadowoleniem, tym bardziej, że Widzew walczył wtedy o miejsce w barażach o ekstraklasę, a strata punktów oddalała ich od tego celu. To rzecz jasna cieszyło kibiców ŁKS... Podobnie jak to, że choć Widzew ostatecznie do baraży się dostał, do ekstraklasy wejść nie zdołał.

ŁKS sezon skończył na dziewiątym miejscu, co trudno nazwać sukcesem. Prezes Goszczyński liczył, że drużyna awansuje do ekstraklasy i miał ku temu podstawy, bo mieliśmy naprawdę niezły zespół. Dość powiedzieć, że na ławce siedział wtedy Vuk Sotirović, który później niezłe sobie radził w ekstraklasie. Już wtedy widać było wszystkie jego cechy, z których w przyszłości stał się znany – niezły piłkarz, ale ze strasznym charakterem. W ŁKS trzymał się z jeszcze jednym Serbem, którego strasznie forował Dostanić. Chłop nie umiał kopnąć prosto piłki, ale Dragan się nim zachwycał, więc albo miał interes w tym, żeby tamten grał, albo nie miał pojęcia o piłce. Oba wytłumaczenia są dla mnie bardzo prawdopodobne.

Przed następnym sezonem ambicje naszego klubu były już jasne – miał być awans, a raczej MUSIAŁ BYĆ AWANS. Dostanić się tak puścił, że gdyby rywale czytali jego wywiady, to każdy oddawałby mecz walkowerem, żeby uniknąć kompromitacji. Nie czytali. Jeszcze nie skończyły się szkolne wakacje, a sympatyczny serbski trener... już był na swoich wakacjach. Zaczęliśmy fatalnie, po czterech kolejkach byliśmy na trzecim miejscu od końca i to tylko dlatego, że Piast Gliwice miał minusowe punkty. Graliśmy fatalnie, nie wygraliśmy ani jednego meczu, więc konieczność zmiany była oczywista. Zmiany także atmosfery, bo stało się jasne, że nowy szkoleniowiec takiego luzu nam nie da. Coś za coś: wreszcie pojawiła się szansa, że będziemy mieli trenera z prawdziwego zdarzenia. Do tej pory graliśmy przecięź właściwie bez pomocy z ławki.

Wybór Goszczyńskiego padł na Wieśka Wojno. To był dobry trener i... dobry obserwator. Bardzo szybko zorientował się, że popijam. Wziął mnie kiedyś do pokoju i zaczął przekonywać, że bym odpuścił, bo dzięki temu będę lepiej grał. Pojechałem starą śpiewką, dziesiątki takich rozmów już w życiu odbyłem. Brzmiało to mniej więcej tak: „Panie trenerze, ale jakie pił? Czasem piwko wieczorem przyjmę, ale przecież wiem, o co gramy, niech mnie pan nie podejrzewa. Chcę pomóc klubowi, być w porządku wobec pana i chłopaków”. Ale Wojno po mojej przemowie nie sprawiał wrażenia przekonanego. Wiedział, że piję, i podejrzewał, że mam problem, poważny problem. Hm, czy w ogóle ktoś nie wiedział?

Na szczęście działały mi wtedy jeszcze hamulce i bardzo się pilnowałem, żeby nie zawalić żadnego treningu. Parę razy zdarzało się, że wpadałem w ostatniej chwili, ale nigdy nie było tak, żebym się nie pojawił. Najtrudniejszym zadaniem było zneutralizowanie zapachu alkoholu i nie zawsze się to udawało. Parę razy Bodzio Wyparło, który miał w szatni miejsce obok mnie mówił, że „zapierdala prądem”. To był dobry sprawdzian: gdy Bodzio coś czuł, musiałem bardziej uważać, żeby się nie znaleźć w pobliżu trenera, a jak już musiałem coś powiedzieć, bo na przykład zapytał, to po prostu robiłem to w taki sposób, by jak najmniej otwierać usta. Dawałem radę.

W ŁKS dużo piłem, taka jest prawda. Nie przypominam sobie, żebym miał chociaż jeden dzień przerwy. Tak, nie pomyliłem się. Ani jednego dnia. Łołem bez przerwy.

Jeździłem wtedy samochodem i to chyba cud, że nikomu nie zrobiłem krzywdy ani nigdy nie złapała mnie policja. Nie będę ściemniał, wielokrotnie czuć było ode mnie alkohol za kierownicą. Dziś, po latach, myślę, że w klubie wszyscy doskonale wiedzieli, że piję. Ale grałem nieźle, więc nikomu to tak naprawdę nie przeszkadzało. Ludzie śmieją się, że na kacu grałem lepiej, niż na trzeźwo, ten żart-nie żart powtarzano już w czasach moich występów w Ceramicie Opoczno. Niektórym tam się nawet ta zależność podobała i sami polewali, choć mówimy przecież o trzeciej, a potem drugiej lidze. W końcu i ja w to uwierzyłem. Najlepsze mecze w życiu rozgrywałem na megakacu.

Wiesiek Wojno poskładał zespół i zaczęliśmy odrabiać straty z kadencji Dragana. W jego debiucie w ŁKS, w meczu z Górnikiem Polkowice, zdobyłem pierwszego gola w sezonie i pierwszy raz wygraliśmy. Wtedy uwierzyliśmy, że możemy awansować do ligi. W ŁKS był stale problem z kasą, ale taka już uroda tego klubu. Choć poślizgi były znaczne, wszyscy cierpliwie czekali na pieniądze, a Dzidek Leszczyński i Bodzio Wyparło co jakiś czas chodzili do prezesa, by wycisnąć jakieś wypłaty, nawet parę groszy. Ponieważ w ŁKS miałem wysoką pensję, myślę nawet, że najwyższą w zespole, specjalnie nie narzekałem, ale niektórzy, jak Arek Mysona, czy Darek Kłus nie mieli pieniędzy, żeby zapłacić za wynajem mieszkań. Niestety, prowizorka

w ŁKS była odkąd pamiętam – tam zawsze trzeba było czekać na wypłatę. Wtedy wydawało nam się, że to będzie się zawsze jakoś toczyć i nikt nie wyobrażał sobie, że nie zostanie spłacony, bo np. klub upadnie. Kilka lat później chłopaki stracili spory hajs, gdy ŁKS wycofał się z pierwszej ligi. Dziś, gdy o tym myślę, to uważam, że to zawsze było bardzo prawdopodobne. Tylko my naiwnie myśleliśmy przez lata, że to niemożliwe, żeby taki klub nie upadł.

Po meczu z Polkowicami, który miał być przełomowym dla nas, zagrałem kolejne z najdziwniejszych spotkań w życiu, oczywiście nie licząc wyjątkowego „starcia” z Kujawiakiem Włocławek. Pojechaliśmy do KSZO Ostrowiec, który był wyżej w tabeli, ale to przecież my byliśmy uważani za faworyta rozgrywek. Prowadziliśmy spokojnie 2:0, nagle mniej więcej dziesięć minut przed końcem, gdy wydawało mi się, że rządzymy, dostaliśmy dwa gole i ledwo co utrzymaliśmy remis. Wtedy pierwszy raz pomyślałem, że jednak nie awansujemy. Byliśmy za słabi, chociaż nazwiska w drużynie mieliśmy niezłe. Bodzio Wyparło, Artur Kościuk, Mamia Dzikija, Darek Kłus, Arek Mysona – to byli w tamtym czasie naprawdę niezłi, jak na drugą ligę zawodnicy, którym na dodatek pomagał z ławki dobry trener. Ale jakoś nie działaliśmy odpowiednio. Oczywiście na boisku, bo poza nim było wesoło, jak niegdyś. Największymi jajcarzami byli wtedy Mysonka i Kłusik, którzy co chwila dorzucali coś w szatni. Lubiliśmy się pośmiać, jak wszyscy, ale razem w miasto rzadko ruszaliśmy. Kilka razy zdarzyło się, że większą grupą poszliśmy do knajpy, która należała do Tomka Wieszczyckiego, ale generalnie po treningach dochodziliśmy się do domów. Lokal był sportowy, pełen telewizorów, a nazywał się „Paradoks” i to rzeczywiście był paradoks, że choć tyle piliśmy, to rzadko wspólnie. Mnie to nawet pasowało, bo wtedy doskonale już wiedziałem, że mam problem z alkoholem i lepiej było nie afiszować się na mieście. Piwko pod sklepem, piwko w domu i do jutra. Plus koniecznie jedno przed snem.

Wiesiek Wojno jakoś nas pozbiarał i do końca jesieni przegraliśmy tylko jeden mecz – z Lechią Gdańsk – choć wcześniej mieliśmy derby z Widzewem i to u nich. Jak to w derbach – gwizdali na mnie okrutnie i nie udało mi się strzelić gola. Prowadziliśmy 2:1, publika cichła,

ale skończyło się na remisie 2:2. Wtedy byliśmy zadowoleni, bo Widzew był murowanym kandydatem do awansu, czyli scenariusz był taki sam, jak wcześniej.

Teraz jednak czułem, że wszystko idzie dobrze. Po jesieni zajmowaliśmy drugie miejsce za Widzewem, a zimę naprawdę bardzo dobrze przepracowałem i czułem, że jestem w gazie. Gdy wiosnę rozpoczęliśmy od rozbicia Świt Nowy Dwór Mazowiecki, a ja zdobyłem trzy gole, byliśmy spokojni. Za ten hat-trick dostałem jakiś czas później kapelusz od ludzi będących blisko klubu. Wymyślili, by uhonorować takimi melonikami każdego, kto strzelił dla ŁKS trzy gole w jednym meczu. Hat-trick, czyli numer z kapeluszem, tak nam to wyjaśniono. To była kolejna fajna akcja, z których zawsze słychać ten klub.

Dziś mogę powiedzieć, że Wojno znakomicie mnie przygotował i czułem, że moja forma jest bliska tej, którą prezentowałem w Halmstad, a przecież tam grałem najlepiej w życiu. Trzy gole zdobyte ze Świtem to było mimo wszystko duże wydarzenie, bo w dorosłym futbolu zaledwie dwukrotnie udało mi się ustrzelić hat-tricka – raz w Grecji w barwach Panathinaikosu i drugi raz właśnie w meczu ŁKS – Świt. W piłce młodzieżowej zdarzały się dużo lepsze wyniki, bo kiedyś w jednym meczu strzeliłem dziewięć bramek, a mój zespół wygrał 25:0, ale w seniorach nigdy nie udało mi się trafić więcej, niż trzy razy. O tym pierwszym hat-tricku nie jestem w stanie zapomnieć, bo na ścianie w domu ojca wisi zdjęcie tablicy świetlnej, na której moje nazwisko napisane jest trzykrotnie. Obok dwa razy nazwisko Krzyśka Warzychy, bo wygraliśmy 5:0. Takie były czasy Niestety, początek wiosny szybko się skończył, a my, oprócz meczu ze Świtem, wygraliśmy raptem jedno spotkanie. Nic więc dziwnego, że w tabeli zaczęliśmy spadać, a awans do ekstraklasy zaczął się oddalać. Atmosfera gęstniała, Goszczyński coraz częściej się na nas wściekał, a my nie mogliśmy nikogo ograć. Wiadomo, że w sytuacji finansowej, w jakiej był ŁKS, awans był niezwykle ważny, bo Goszczyński zaryzykował i zbudował zespół z niezłych graczy, ale pieniądze na nich tak naprawdę miał mieć po awansie. Gdybyśmy wtedy nie weszli, upadek klubu nastąpiłby pewnie znacznie szybciej. Tu wszystko było na kre-

dyt, od lat.

Po przegranych rewanżowych derbach z Widzewem (na naszym stadionie!) Goszczyński stwierdził, że ma dość i zwolnił Wojnę. W jego miejsce przyszedł... Marek Chojnacki. Nie znam takiego drugiego przypadku, by klub w sezonie, w którym wywalczył awans, miał aż trzech trenerów. „Choinka”, czy też „Haczyk”, jest legendą ŁKS, bo przecież rozegrał najwięcej meczów w piłkarskiej ekstraklasie, a wszystkie właśnie w barwach ŁKS. Równe 452, prawdziwy kosmos. Oczywiście znałem go wcześniej i byliśmy na „ty”, ale poprosił mnie, żebym przy chłopakach mówił do niego „panie trenerze”. Nie miałem z tym żadnych problemów, tym bardziej, jeśli autorytet „Choinki” miałby ucierpieć od spoufalania się z napastnikiem.

Chojnacki niczego właściwie nie zmienił, ale... miał dużo szczęścia, a właściwie miał całą furę szczęścia, o czym najlepiej świadczy pierwszy mecz z nim na ławce. Pojechaliśmy do Zagłębia Sosnowiec, które zajmowało wtedy czwarte miejsce i walczyło o awans nie tylko z nami, ale również z Zawiszą Bydgoszcz, Jagiellonią Białostok i Śląskiem Wrocław. Widzew był już daleko z przodu, a my zajmowaliśmy dopiero siódme miejsce. W Sosnowcu graliśmy straszny piach, ale w ostatniej minucie zrobiłem akcję, z której jestem dumny. Przebiegłem z piłką kilkadziesiąt metrów, mijając rywali i wystawiłem piłkę młodemu Rozkwitalskiemu na pustą bramkę. On tylko dołożył nogę, wygraliśmy 1:0. Wróciliśmy do gry! Kilka dni później po moim голу pokonaliśmy Lechię Gdańsk i awansowaliśmy na drugie miejsce w tabeli, którego nie oddaliśmy już do końca sezonu. W końcówce czułem się znakomicie i strzelałem gola za golem, w tym tego najważniejszego, który dał nam miejsce w ekstraklasie. Czułem, że żyję, futbol znów sprawiał mi przyjemność! Bawiłem się piłką i rywalami. W przedostatniej kolejce pokonaliśmy u siebie Radomiaka, a ja wślizgiem, lewą nogą, jadąc po trawie, strzeliłem jedyne gola. Awans stał się faktem.

I wtedy znów wróciła choroba. Siadała mi psychika, znów dopadała mnie depresja!, a wszystko w momencie, w którym byłem bardzo dumny i powinienem świętować, a nie smutkować. Gdyby więc ktoś jeszcze miał wątpliwości, jak poważną chorobą jest depresja, ten

przykład powinien go ostatecznie przekonać. Okoliczności nie mają znaczenia, wszystko wokół może wyglądać niemal idealnie. Ale jak dopadnie cię ta wewnętrzna zgaga, jak wszystko w tobie zaczyna się sypać... Jest źle.

Ze mną też było kiepsko, choć przecież wprowadziłem ŁKS do ekstraklasy, a na ostatnim meczu mój mały Kacperek zobaczył, jak kibice noszą tatę na rękach. Niby pełnia szczęścia, ale tylko pusty obrazek. Tym bardziej, że schodząc wtedy z boiska wiedziałem, że to mój ostatni mecz w ŁKS. Podpisując umowę z Goszczyńskim ustaliliśmy, że jeśli wywalczymy awans, będę mógł odejść.

Na ostatni mecz już nie pojechałem, choć drużyna walczyła przecież o premię i wiem, że chłopaki kręcili nosem na to, że nie wsiadłem do autokaru. Przecież utrudniałem im zarobienie konkretnych pieniędzy! Zamiast pomóc wyjąć z kasy jeszcze kilkanaście tysięcy, ja zdecydowałem inaczej, choć przecież mnie też gotówka była potrzebna. Ale Sypek nigdy racjonalnie nie działał...

Takie moje postępowanie nie miało też wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, bo przecież w tamtym czasie Goszczyński płacił naprawdę przyzwoicie (choć nieterminowo). Żyliśmy w przeświadczeniu, że PZPN pilnuje naszych pieniędzy i w podbramkowej sytuacji, gdyby do takiej doszło, zagrozi brakiem licencji i prędzej, czy później pieniądze zostaną wypłacone. Ze mną w składzie zespół miał większe szanse w starciu z Piastem, więc powinienem do Gliwic pojechać. Jednak zamiast biegać po boisku gdzieś na Śląsku, kłóciłem się z Goszczyńskim, który nagle zapomniał o naszej umowie. Dołowała mnie też myśl, że w ŁKS nie mogę zostać, bo psychicznie nie dałbym rady... zagrać przeciwko Wiśle. Wtedy wydawało mi się, że w tym meczu wszyscy będą przeciwko mnie; że wiedzą wszystko o wszystkim, co zrobiłem i... czego tak naprawdę nie zrobiłem, a tego drugiego było znacznie więcej... To irracjonalne, ale wtedy, w czerwcu 2006, myślałem tylko o tym, a że dostałem wstępną propozycję z trzecioliigowego szwedzkiego Bunkeflo, to mentalnie momentalnie przeniosłem się do Szwecji. Sypek był jeszcze ciałem w Łodzi, ale głowa znajdowała się już w północnej Europie. Skoro Szwecja już kiedyś dała mi nowe życie, to dlaczego nie miałyby zrobić tego jeszcze raz?

Uciekałem tam z Polski pełen nadziei, uciekałem przed swoimi własnymi, osobistymi demonami, wierząc święcie, że one poza granice kraju wstępu nie mają.

Zanim podpisałem umowę z Bunkeflo, musiałem jednak zerwać kontrakt z ŁKS. Goszczyński targował się i powiedział wprost, że muszę zapłacić 20 tysięcy dolarów – wtedy zgodzi się na rozwiązanie umowy. Nie mogłem zrozumieć, jak mógł zapomnieć o naszej umowie sprzed sezonu, ale zgodziłem się zapłacić. Wizja wizyty z ŁKS na stadionie Wisły była dla mnie zbyt przerażająca... Pewnie gdyby Goszczyński zażądał ode mnie nie 20 tysięcy, a 50 tysięcy dolarów, to też bym się zgodził. Wtedy myślałem już tylko o tym, żeby uciec z Polski. Pojechałem do Szwecji, a pieniądze do ŁKS wysłałem przelewem. Stałem się wolnym człowiekiem.

Do ŁKS próbowałem wrócić jeszcze dwa razy, ale nie byłem w stanie wtedy poradzić sobie z samym sobą. Już wcześniej w ŁKS piłem właściwie codziennie, ale to było nic w porównaniu z tym, co robiłem po powrocie ze Szwecji. Czułem się tak mocny, że na rozmowy o kontrakcie poszedłem „na gazie”. W mojej głowie był wtedy straszny bałagan, zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z własnego położenia. To był przecież mój ŁKS, ŁKS, którego byłem gwiazdą, ukochanym synkiem! Jak to możliwe, żeby mnie nie chcieli? Przecież jako dziecko podawałem tam piłki na meczach, pamiętam do dziś, jak kiedyś Jarek Bako kazał mi wchodzić po piłkę pod wóz strażacki, gdy któryś z rywali nie trafił w naszą bramkę. Mimo tego, że pół roku wcześniej musiałem się wykupić, żeby móc wyjechać do Szwecji to traktowałem ten klub, jak rodzinę i miałem nadzieję na wzajemność, a jednak przegiąłem, nie pierwszy raz w życiu.

Podczas kolejnego powrotu do ŁKS, w 2007 roku, byłem już bardziej świadomy swojej sytuacji. Kończyły się resztki pieniędzy, więc musiałem spróbować. Ważną rolę odegrał także Bodzio Wyparło, który bardzo chciał mi pomóc i uparcie namawiał do powrotu. Z jednej strony nie wierzyłem, że jestem w stanie sobie poradzić, ale z drugiej wiedziałem w głębi duszy, że – pijany, czy trzeźwy – w piłkę grać potrafię. Podpisałem więc umowę i pojechałem na zgrupowanie do Szamotuł. Tylko po to, by znów przegrać i to z tym najtrudniej-

szym do pokonania rywalem – z samym sobą.

Postanowiłem nie brać z Łodzi pieniędzy, żeby mnie nie kusiło. Wmawiałem sobie, że to wystarczy, choć przecież doskonale wiedziałem, że to fikcja, która z prawdą nie ma nic wspólnego. Bo jak człowiek chce się napić, to brak pieniędzy jest najmniejszą przeszkodą: raczej małym płotkiem do przeskoczenia niż ścianą, której nie da się pokonać. Gdy zaczynało mnie już nosić, rozejrzałem się po ośrodku i pożyczyłem sto euro od Andrzeja Grajewskiego, byłego współwłaściciela Widzewa, kręcącego się wtedy przy Lechu Poznań, z którym z kolei mieliśmy grać sparing i który przyjechał na mecz. To, że osobiście się wcześniej nie znaliśmy, nie było dla mnie problemem, nie czułem wstydu, prosząc o pożyczkę... Potem wszystko poszło szybko: nieopodal był sklep, ale bałem się, że zostanę nakryty, więc poprosiłem Sebastiana Przybyszewskiego, żeby przyniósł mi do pokoju piwo. Wiedziałem, że nie zagram, bo miałem kontuzję. Resztę wszyscy znają – siedziałem w oknie, w pokoju z widokiem na boisko, popijałem piwko, paliłem fajkę i dyskutowałem z kibicami, uśmiechając się jeszcze od czasu do czasu, wręcz pozując do zdjęć, które następnego dnia były na wszystkich kolumnach gazet sportowych i nie tylko. W tamtym czasie byłem na mocnych antydepresantach, które w połączeniu z alkoholem zrobiły swoje. Nie kontrolovałem, co się dzieje, nie zastanawiałem się, jakie będą konsekwencje. Mrok przed oczami, piwo i papieros gdzieś się z tego mroku wyłaniające. Obciach, jak cholera, do dziś wiele osób kojarzy mnie głównie z tego wydarzenia, bo fotoreporterów na miejscu było naprawdę wielu. Sypniewski w oknie z fajką i puszką – to było zdjęcie... Dużo lepsze niż z jakiegoś tam wakacyjnego kopania piłki.

A'propos fotoreporterów – mniej więcej w tamtym czasie, gdy byłem na dnie, koledzy z Kozin dali mi wizytówkę pewnego gnojka, który proponował im 50 złotych, jeśli zadzwonią, kiedy będę pił pod sklepem. Fotopstryk zapomniał, że w życiu nawet największego żula, są rzeczy ważniejsze, niż parę złotych na flaszkę. Sprzedanie kumpla to na Bałutach i Kozinach grzech największy. Nikt więc do gościa nie zadzwonił, choć pojawiały się pomysły, żeby od razu po niego zadzwonić i dać brutalny wycisk. Przekonałem chłopaków, że nie warto.

Wystarczyło mi, że dowiedziałem się, z kim nie powinienem już nigdy rozmawiać.

Po akcji w Szamotułach wszyscy w klubie zachowali się rewelacyjnie. Nikt, naprawdę nikt w ŁKS, nie miał do mnie pretensji. W oczach chłopaków i działaczy widać było żal, że znowu nie wykorzystałem szansy. Spakowałem się i wróciłem do Łodzi z rzecznikiem prasowym klubu, bo trener Wojciech Borecki wyrzucił mnie ze zgrupowania. Musiał tak postąpić, innej decyzji nie mógł podjąć. Dla dobra klubu. To był czas, kiedy kompletnie nie byłem sobą i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Wciąż czułem lęk, treningów w ogóle nie pamiętam. Depresja to straszna choroba, a ktoś, kto jej nie przeżył, nie jest w stanie zrozumieć. Coś zżera cię od środka i nie jesteś w stanie tego zablokować. Ulgę przynosi alkohol. Szkoda, że tylko na chwilę.

Dziś często bywam na ŁKS, bo mój syn postanowił pójść w ślady taty i rozpoczął treningi w moim klubie. Patrzą, jak idzie Kacprowi i podpowiadam. Widzę, jak chłopak dojrzewa, obserwując równocześnie z bliska upadek ŁKS. Kiedyś ktoś powiedział, że upadłem spektakularnie i głośno. To prawda, pieprzałem o ziemię z hukiem, wyrznąłem o glebę i nie byłem w stanie się pozbierać. Ale ŁKS upada nie mniej spektakularnie ode mnie. Klub, który zakładał polską ligę i dziesiątki lat przeżył w ekstraklasie, kopie się gdzieś na obrzeżach futbolu z amatorami, a jego stadion przypominał zrujnowane wiejskie boisko. Teraz jest w remoncie, stawiają nowe trybuny i może coś z tego będzie, ale przez to nie została na nim nawet galera, czyli trybuna najbardziej zagorzałych kibiców, a przecież wraz z nią giną pewne wspomnienia... Tak sobie czasem myślę, że może dlatego tak mnie w tym ŁKS kochają, tak mnie kibice wspominają? Bo jestem jak ten klub, a może nawet jak cała Łódź: zmarnowałem wszystkie szanse na lepszy los.

Wspomniałem galerę, taką trybunę, jaką ma każdy szanujący się klub. Swojego czasu poszumiałem tam na meczu – nomen, omen – z Lechem Poznań. Zbyt dużo moich nieszczęść związanych było z poznańskim zespołem. Wiecie, że mi często odbijało i robiłem dziwne rzeczy. Tamten mecz, na który wybrałem się niepotrzebnie, bo już

byłem trafiony, też ciągnie się za mną latami. Nagle znalazłem się na boisku, na którym strzelałem gole i znów walczyłem, ale tym razem nie z przeciwnikiem. Rzucałem krzeselkami i, co tu dużo mówić, byłem jednym z prowodyrów zamieszek. Co mogę powiedzieć? To, co zawsze: nie wiem, jak to się stało. Do dziś. Po prostu po gorsze dostaję małego rozumu. Dla niektórych kibiców stałem się wtedy większym bohaterem, niż gdy strzelałem gola na wagę awansu do ekstraklasy, ale nie takiej sławy oczekiwałem. Choć wtedy, zwłaszcza zaraz po tym incydencie, nie odczuwałem specjalnego wstydu, dziś mogę tylko powtórzyć to, co mówiłem wiele razy bliskim: przepraszam. Swoją rodzinę, bliskich, ale też zażenowanych kibiców ŁKS, którym demolowałem stadion. Wtedy, rzucając krzeselkiem, nie myślałem jednak o niczym. Nawet o konsekwencjach, a te przecież musiały być poważne. Policja miała mnie na oku, a ja akurat, bez koszulki, uchwycony na wielu zdjęciach, nie byłem trudny do zidentyfikowania. Nawet dla polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Wiem, że tę wstydliwą dla mnie historię kibice pamiętają doskonale i to nie tylko fani ŁKS. Jakiś czas temu ktoś z kolegów pokazał mi na youtube fragment filmu, na którym cały sektor kibiców Lecha Poznań skanduje miarowo w stronę łodzian: „Nie ma Igora, bez niego macie cykora!”. Nie wiem, czy śmiać się z tego, czy zapłakać... Zawsze to jakaś odmiana od tradycyjnych wyzwisk od fanów innych drużyn. Dzięki chłopaki.

12. Przyjechał nawet Schwarz

Wsiadając latem 2006 roku na prom do Szwecji, miałem wrażenie, że czas nagle zaczął płynąć wstecz. Przecież już to wszystko przeżyłem, widziałem parę lat wcześniej. Kolejny wyjazd do Świnoujścia, następna ucieczka przed tymi samymi, co zawsze, demonami. I jak zawsze w takich przypadkach malutka dawka optymizmu – że teraz wszystko się ułoży.

Kolejny raz stałem więc na promie do Szwecji z nadziejami podobnymi jak w 2003 roku. Wtedy było cholernie zimno, teraz świeciło słońce. Uznałem to za dobry znak. Tego dnia wszystko za taki bym uznał, ciesząc się, że zostawiam za sobą Polskę.

Najważniejsze było to, że w nowym sezonie nie będę musiał jechać z ŁKS na mecz z Wisłą do Krakowa. Nic innego się nie liczyło. Wiem, że mogłem iść do Daniela Goszczyńskiego, czy Marka Chojnackiego i po prostu powiedzieć: „Panowie, zostanę przy alei Unii, ale tablicy z napisem Kraków nie przekroczę”. Kto wie, być może moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, bo przecież po awansie do ekstraklasy wszyscy w ŁKS wpadli w stan euforii. Wszystko było do załatwienia tym bardziej, że czułem, iż swoim wyjazdem robię wszystkim w Łodzi przykrość, a przecież wcale nie opuszczałem mojego ukochanego klubu dla jakiegoś giganta, do którego odchodziłbym z ambicji lub po wielkie pieniądze – nie, chciałem grać w barwach Bunkeflo, trzeciolirowca z przedmieść Malmö. Ani nie miałem tam mieć wyższej pensji, niż w ŁKS, ani nie mogłem liczyć na awans sportowy. Jedyne, co miałem mieć w tym klubie to spokój. Święty spokój. I absolutną pewność, że nie tylko nie zagram z Wisłą, ale także z żadnym innym polskim zespołem.

W Bunkeflo miałem znajomego Polaka, Zbyszka Sawickiego, którego poznałem, gdy byłem zawodnikiem Malmö. Po przeprowadzce z Halmstad początkowo był moim tłumaczem, by z czasem stać się przyjacielem. To on namówił mnie, by jeszcze raz przyjechać do Szwecji. Plan był prosty – zaczynam w Bunkeflo, pokazuję się z dobrej strony i idę grać do lepszego klubu. Zaczynam dużo zarabiać

i zakładamy wspólny interes, którym miała być restauracja. To wszystko wyglądało na możliwe do zrealizowania, bo pozycję w Szwecji wciąż miałem mocną, a kibice i dziennikarze pamiętali moje występy w Halmstad. Takich goli i takich akcji się nie zapomina.

– Pograsz w trzeciej lidze, nastrzelasz goli i zaraz ktoś da ci kontrakt – Zbyszek wielokrotnie powtarzał te słowa przez telefon. Właściwie nie musiał mnie namawiać, bo Szwecja wciąż jawiła mi się jako ziemia obiecana: spokojny kraj, w którym trudno kupić alkohol. Idealne miejsce dla Sypka.

Gdyby ktoś wtedy powiedział mi, że Bunkeflo będzie ostatnim moim klubem w życiu, zaśmiałbym mu się w twarz. Znałem swoje możliwości i wiedziałem, że w Szwecji spokojnie dałbym radę w każdym z najlepszych klubów. Bunkeflo miało być więc tylko rodzajem okna wystawowego w małym przydrożnym sklepiku przy ruchliwej drodze. Każdy z przechodzących mógłby spojrzeć na mnie i dojść do wniosku, że warto mi zaufać raz jeszcze. Byłem przecież do wzięcia za darmo, a samo nazwisko „Sypniewski” w przedmeczowej zapowiedzi powinno sprawić, że na mecz przyjdzie przynajmniej kilkuset ciekawskich więcej. Gdy dodamy jeszcze zyski punktowe wynikające z moich akcji, zobaczymy, że podpisanie ze mną umowy wyglądało na idealny biznes. Jedynym ryzykiem było to, że nagle odpłynę, ale i tak perspektywy były znakomite.

Zbyszek moje zaufanie zyskał zwłaszcza w jednej sytuacji, w której bardzo mi pomógł. Gdy jeszcze grałem w Malmö, pojechałem do sklepu, by kupić niedzielne wydanie gazety, w której chciałem sprawdzić wyniki sobotnich meczów. Nie było nas może pół godziny, ale po powrocie do domu zastaliśmy zamknięte drzwi. Na schodach spotkaliśmy sąsiadów, którzy z grobowymi minami powiedzieli, byśmy jak najszybciej jechali do szpitala, bo coś złego stało się Kacperkowi. Gdyby nie Zbyszek nie umiałbym chyba wtedy opanować nerwów. Błyskawicznie znaleźliśmy się w szpitalu, gdzie na korytarzu spotkałem przerażoną Gośkę. Okazało się, że gotowała w domu obiad, na chwilę wyszła z kuchni, a mały ściągnął na siebie garnek z wrzątkiem. Dzięki Zbyszkowi mogliśmy swobodnie porozumieć się z lekarzami,

za co wtedy byłem mu niezwykle wdzięczny. Kacperek cierpiał strasznie, ale lekarze zajęli się nim wzorowo. Nie wiem, co byśmy wtedy zrobili, gdyby Zbyszka akurat nie było pod ręką... Do dziś oboje jesteśmy mu wdzięczni i do dziś żałuję, że później nasze drogi się rozeszły, tym bardziej, że przez pewien czas, jeszcze grając w Malmö, byłem trenerem jego syna. Chłopak był bardzo pracowity, chciał się uczyć gry w piłkę, ale niestety nie miał dużego talentu.

W Bunkeflo miałem nieco gorszy kontrakt, niż w ŁKS, choć od początku byłem zdecydowanie najlepszym zawodnikiem, a w prasie szybko zaczęto pisać o „powrocie Sypniewskiego”. Na nasze mecze zaczęli przyjeżdżać menedżerowie, więc mogłem być pewien, że najpóźniej za pół roku dostanę propozycję przenosin do klubu z Allsvenskan. Na trybunach pojawiał się także dyrektor sportowy Malmö, Hasse Borg, który ściągał mnie dwa lata wcześniej z Halmstad i doskonale znał moje możliwości. Wtedy wyceniano mnie na 10 milionów koron, czyli ponad milion euro, a on uważał to za okazję.

Mimo tego, że w zespole jasnyniebieskich zawiodłem na całej linii, mieliśmy z Hasse dobry kontakt i czułem, że mnie lubi. Sam był kiedyś piłkarzem, grał nawet na mistrzostwach świata, więc znał się na futbolu doskonale, a dobry piłkarz zawsze pozna dobrego piłkarza. Przyznam szczerze, że gdy spotkałem go pierwszy raz na malutkim stadionie Bunkeflo od razu pomyślałem, że może uda się jeszcze wrócić do Malmö FF. W tym czasie klub ten rządził już w Szwecji niepodzielnie, ale dobry, darmowy piłkarz na pewno by się im przydał.

Na mój pierwszy mecz przyjechał także Stefan Schwarz, były doskonały szwedzki piłkarz, a później menedżer, który przedstawiał mi szansę na podpisanie umów z duńskimi potentatami – Brøndby i FC Kopenhaga. Słyszałem też o ofercie z norweskiego Ålesund, który wtedy miał dużo pieniędzy i chciał namieszać w swojej lidze. Wszystko toczyło się więc nie tyle dobrym, co wręcz idealnym torem i to z prędkością dobrego, skandynawskiego pospiesznego. Do momentu, w którym postanowiłem to jakoś uczcić. I wtedy pojawił się on – alkohol. Znów spieprzyłem wszystko przez wódę.

Bunkeflo miało ambicje awansu do drugiej ligi, więc szybko poczułem się jak gwiazda, chociaż mój debiut opóźnił się z powodu...

absurdalnych żądań ŁKS, o których wspominałem wcześniej. Dopiero, gdy wreszcie sam się z tego klubu wykupiłem, wysyłając przekaz pocztowy ze Szwecji, klub z alei Unii pozwolił mi na grę w Bunkeflo. I wtedy się zaczęło.

Pierwszy mecz – gol. Drugi, czy trzeci mecz – cztery asysty. W sumie w siedmiu meczach pięć goli i z dziesięć asyst. Pochwały szły z każdej strony, więc hamulce, podobnie jak właściwie w każdym klubie, gdzie spisywałem się dobrze – może poza Halmstad – puściły w miarę szybko. Tym bardziej, że mieszkałem sam, bo na początku dostałem od klubu jedynie kawalerkę i nie było możliwości, byśmy się tam pomieścili z Goską i Kacprem. Oni wrócili więc do Polski, a w Szwecji mieli pojawić się ponownie, jak znajdę większe mieszkanie. Niestety, nie zdążyli... Gdy siedzieli w Łodzi, zastanawiając się, jakie mieszkanie i w jakim mieście wynajmie głowa ich rodziny (tak, tak – ja...), w trybie nagłym zmieniłem miejsce pobytu. Moim nowym mieszkaniem na dziesięć dni stała się... cela szwedzkiego aresztu. Dość luksusowa wprawdzie, ale jednak cela. Jeszcze mniejsza od kawalerki.

Na komfort narzekać nie mogłem. Przez dziesięć dni nie miałem się wprawdzie do kogo odezwać, ale warunki zapewniono mi jak w niezłej klasy pensjonacie. Leżąc na wyrze zastanawiałem się, czemu po raz kolejny to wszystko schrzaniłem. Psychicznie byłem zdolowany, ale tylko i wyłącznie z własnego powodu, bo jedzenie było na świetnym poziomie, a w jednoosobowej celi miałem nawet telewizor z dziesięcioma programami. Do Szwecji przyjechała mama i dała radę uzyskać widzenie, zostawiła mi też trochę pieniędzy w gotówce, mogłem więc regularnie kupować sobie słodycze od gościa, który codziennie przyjeżdżał specjalnym wózkiem. Także – życie jak w Mardrycie. Tyle że codziennie w tych samych czterech ścianach.

Jak tam trafiłem? Można powiedzieć, że... jak zwykle. Kilometr od mojego domu, w rynku, mieściła się taka przytulna knajpka, gdzie można było usiąść niezauważonym. Jeździłem tam systematycznie, zamawiając piwko, które od czasu do czasu wzmacniałem pięćdziesiątką. Szefem był Arab, który kojarzył mnie z gry w Halmstad oraz Malmö i gdy tylko miał chwilę, chętnie ze mną rozmawiał. Dobrze się

tam czułem, jak w każdej arabskiej restauracji. Gwar w nich panujący sprawiał, że niknęły gdzieś języki i polskiego nie dawało się wychwytać. Arabski mi pasował, serio. Ja naprawdę myślałem wtedy takimi kategoriami...

Bóg mi świadkiem – piłem tam przede wszystkim z nudów, po prostu dla zabicia czasu. Gdyby Gośka z Kacprem byli wtedy ze mną, na sto procent nie doszłoby do tej sytuacji. Na dwieście procent! Ba, pewnie nic by się nie stało, gdyby chciało mi się ten kilometr do domu pokonywać pieszo, a nie samochodem. Myślałem sobie wtedy jednak – blisko mam, nic się nie stanie. I tego dnia, tego pieprzonego dnia, ruszyłem do domu samochodem, ale zagapiłem się i na zakręcie wpadłem na krawężnik. Pech chciał, że jechała za mną akurat karetka. Szybko mnie wyprzedzili i zajechali drogę, po czym wezwali policję. Usiłowałem się bronić, prosiłem, żeby pozwolili mi pójść do domu, ale to jest Szwecja, tu takie rzeczy nikomu nie ujdą płazem. Policjanci zabrali mnie do szpitala, gdzie pobrano mi krew do analizy. Wyszedł promil z hakiem i prosto ze szpitala pojechałem do aresztu. Byłem w szoku, tym bardziej po tym, co przeżyłem kiedyś w Grecji. Tam dopiero prowadziłem pijany!, a przecież ten sam policjant, któremu rozbiłem prywatny samochód uznał potem, że alkomat wskazujący ponad trzy promile był popsuty... Cóż, Szwecja to nie Grecja. Niestety dla mnie.

Oczywiście w Polsce moje zatrzymanie, o czym dowiedziałem się później, odbiło się szerokim echem, a media dopisały do niego niezłą legendę. Ktoś napisał, że nie byłem w stanie dmuchnąć w alkomat – bzdura – a ktoś inny, że wynik badania wyniósł „dużo ponad jeden promil alkoholu”. Nie było „dużo ponad”, ale „ledwie ponad”, dokładnie 1,12. Oczywiście nie ma to większego znaczenia dla całej sprawy, ale... tak mnie często przedstawiano, przejawskrawiając wiele rzeczy, żeby było ciekawiej, a ponieważ najczęściej nawet o tym nie wiedziałem, albo nie przywiązywałem żadnej wagi do tego, co kto pisze, w Polsce czytano o mnie przedziwne historie. Ta z Bunkeflo, a konkretnie jej detale, też nie były całkiem zgodne z rzeczywistością.

Gazetami się jednak nie przejmowałem, myślałem raczej o tym, że wsiadając za kółko po spożyciu jednego piwa i trzech lub czterech

pięćdziesiątek przekreśliłem szansę na kolejny powrót do poważnej piłki. Bardzo bolało też to, że za kilka dni mieliśmy zagrać decydujący mecz o awans do Superettan, czyli szwedzkiej drugiej ligi. Koledzy musieli radzić sobie beze mnie.

Ostatecznie Bunkeflo awans wywalczyło po barażach, a ja... Ja zaliczyłem kolejny spadek, bez dodatkowych meczów. W Szwecji nie miałem czego szukać. Gazety znów o mnie pisały i ponownie nie o golach, a o moim pijaństwie i wcześniejszych problemach w Malmö. Moja ziemia obiecana okazała się ziemią spaloną.

Siedziałem w celi dziesięć dni i nie było minuty, żebym nie myślał o swojej głupocie. Do końca sezonu pozostało kilka dni, wywalczylibyśmy awans i przyjechałbym na wakacje do Polski. Wcześniej pewnie dostałbym propozycję przenosin do któregoś z klubów Allsvenskan, a nawet jeśli nie, to podpisałbym nową, na pewno lepszą umowę z Bunkeflo. Jak na trzeci poziom rozgrywkowy, to klub był znakomicie zorganizowany i nic by się nie stało, jakbym występował tam w kolejnym sezonie. Choć było to mało realne, na pewno bym gdzieś odszedł.

Zamiast na boiska drugiej ligi szwedzkiej, trafiłem na Łagiewnicką. Wróciłem cztery dni po matce, która po raz pierwszy odwiedzała syna pozbawionego wolności. Musiała wyjechać wcześniej, ale wiedziała, że pomoże mi Zbyszek Sawicki i że też szybko przyjadę do Polski. Była załamana, ale zadowolona, że uda się mnie wyciągnąć z aresztu i formalnie sprawa skończy się tylko na odebraniu prawa jazdy.

Po wyjściu z aresztu pojechałem na lotnisko i przez Berlin, dotarłem do Łodzi. Na Bałuty, do domu mojej mamuśki, tam, skąd przed wielu laty wyszedłem w świat. Mama po raz kolejny przygarnęła syna marnotrawnego, który za wszelką cenę postanowił spieprzyć sobie życie. I tym razem nie spadł już na cztery łapy...

Milan kusi jubilata?

Igor SYPNIEWSKI

szczęśliwym w imponującym...
 swarzymy po sześciu kole-
 figowych. W każdym meczu
 podziłem na boisku w pod-
 rowym składzie. Ba, tylko raz
 tałem zmieniony, i to dopiero
 40 minucie.
 – Skromność, rozumiemy,
 e pozwolita ci dodać, że
 rzez... Krzysztof Warzyche-
 4 swoją dru-
 Panathina

w podstawowej jedenastce,
 „Gucio” na ławce rezerwo-
 wych. Niepójcie. Czyżby
 sztafeta pokoleń?

– Mogę z całą odpowiedzial-
 nością stwierdzić, że Krzysio dłu-
 go był i nadal pozostaje jednym z
 najlepszych zawodników „Zielo-
 nych Koniczynek”, czego dowo-
 dzi na każdym treningu. Jednak
 tu i ówdzie przebakuje się o jego
 wieku, konieczności wprowadza-
 niu młodszych. Pew-
 nie trener i dia-



kontra Irakliowi,
 gdyby Sypniewski i W...
 strzelali po jednym
 a trzeciego dokładał
 ny...

– Bez wątplenia.
 – Znaczący przedmiot
 zależnie od snajperów
 niają również ich... a
 tów.

– Mogę się pochwalić
 ciekawie, że trzykro-
 padaty bramki, że trzykro-
 konywałem bramkarzy w
 zacji o Puchar Grecji, że
 lem trafienie w pierwszym
 drugiej rundy Pucharu
 przeciwko Grazer AK (roz-
 liśmy przed rewanżem –
 G.S.). Słowem dobrze je-
 winno być jeszcze lepiej.
 – Jaką pozycję zaj-
 na boisku?
 – Panathinaikos gra w
 enieniu: 1+4+4

«Αυτή είναι η διαίτησά. Το 'χουμε πάρει απόφαση»

Εφυγαν με ένα παράπονο

Από τον Γι. Λορέν

«Οι άνθρωποι συνιστούν για τα
 όλα είναι στην Τούνηα ταξιδεύ-
 ον συντηρητικό το κέντρο του
 Παναθηναϊκού για το οποίο
 η ομάδα της Γι. Λορέν του Γουλιέλμου Λυ-
 κού και η Μάντσεστερ Γιουνάιτε-
 δ είναι οι καλύτεροι για το σπορ, και
 η καλύτερη ομάδα στην Ευρώπη»
 η ομάδα του Γι. Λορέν
 οι άνθρωποι συνιστούν για τα
 όλα είναι στην Τούνηα ταξιδεύ-
 ον συντηρητικό το κέντρο του
 Παναθηναϊκού για το οποίο
 η ομάδα της Γι. Λορέν του Γουλιέλμου Λυ-
 κού και η Μάντσεστερ Γιουνάιτε-
 δ είναι οι καλύτεροι για το σπορ, και
 η καλύτερη ομάδα στην Ευρώπη»
 η ομάδα του Γι. Λορέν
 οι άνθρωποι συνιστούν για τα
 όλα είναι στην Τούνηα ταξιδεύ-
 ον συντηρητικό το κέντρο του
 Παναθηναϊκού για το οποίο
 η ομάδα της Γι. Λορέν του Γουλιέλμου Λυ-
 κού και η Μάντσεστερ Γιουνάιτε-
 δ είναι οι καλύτεροι για το σπορ, και
 η καλύτερη ομάδα στην Ευρώπη»
 η ομάδα του Γι. Λορέν

Κάποιος άνθρωπος με τη συμπε-
 ρφορά τους προσβάλλουν την ε-
 πίση που εργάζονται. Τέτοια περι-
 πτώση σίγουρα είναι και ο Σ. Λο-
 ρέν που πήγε «φρέσκο» στον ΠΑΟΚ. Ο
 «ΕΦΟΣΤΟΡ» ο βέλγος, χωρίς λόγο, τον
 των δύο προπονητών η συντήρη-
 ση...



Το γούρι
 (3-2) που ε-
 σάει και στη
 ράδα, στο κί-
 στις διατάξεις
 «Όσοι αρνεί-
 νται άλλο φε-
 γάλες απου-
 γρησαν. Ο Νι-
 μφει να πα-
 δάσει, με τη
 την τελευταία
 εν «κρυφί»-
 στο χώρο του
 κρούσει, και
 στη δεξιά κί-
 λει τον κρο-
 Κορέ και να ε-
 κλειστές χει-
 Στην επανά-
 Ο Λουσιάνο
 πάλια» με τη βί-
 ρη Βαλντερί, η
 σαν εκτός προ-
 θεση του Μπα-
 Ο Μπαρτσε-
 του να συνεχί-
 στις ανεπι-
 στις του κρο-
 πεδο και η ε-
 σία δεν απά-
 σι το ποδο-
 σφαιριστή



ατατηρητής του Βάζι «9» και δεν παραπέμπε-
 «κλέφτικα» ο Νί-
 ρόζοι οι «ισπανικοί» του ποδοσφαιριστή Η Βασί-
 σος τον αγώνα ΠΑΟΚ- ΠΑΟ δεν ήταν ένας τυχαίος γε-
 γονός. Ο Βάζι και ο Νίμφης είναι οι καλύτεροι ποδο-
 σφαιριστές στην Ευρώπη»
 πήρε στα στήθη το α-
 Παναθηναϊκού Γ. Λορέν

13. W pokoju z Wichniarkiem

Pięćdziesiąt osiem meczów – tyle zabrakło mi do miejsca w Klubie Wybitnego Reprezentanta. Niewiele, prawda?

Jestem przekonany, że gdyby nie moje problemy, gdyby nie moje słabości, to byłbym członkiem tego klubu. Podczas meczów reprezentacji nie przysypiałbym, leżąc przed telewizorem, ale siedziałbym w garniturze na trybunie VIP i z kieliszkiem wina w ręku kibicował naszym. Kibicowałbym chłopakom, marzącym, by osiągnąć to, co osiągnąłem ja. Tyle że zamiast wina wolałem piwo i to w ilościach hurtowych, spożywane zresztą w znacznie mniej ekskluzywnych – tak, tak, już znam znaczenie tego słowa! – okolicznościach. I właśnie dlatego mam dzisiaj na swoim koncie dwa kuriozalne występy w reprezentacji. Słownie: dwa.

Chcąc być precyzyjnym: w narodowych barwach wystąpiłem trzykrotnie, ale raz, jak się niedawno dowiedziałem, nieoficjalnie. Zresztą może to i dobrze, bo z poważnym graniem tamten mecz, nieuznany przez międzynarodowe organizacje, miał tyle wspólnego, co nasze – reprezentantów znaczy – do niego przygotowanie. Czyli niewiele, bardzo, ale to bardzo mało.

Rzecz działa się w Tajlandii, zabawy było sporo, bo towarzystwo imprezowo dobrało się doskonale, a graliśmy z jakimiś ogórkami. Po tem zresztą okazaliśmy się dokładnie takimi samymi cieniasami, jak ci, którzy kopali piłkę w innych koszulkach.

Gdy pierwszy raz w życiu dostałem powołanie do reprezentacji Polski byłem graczem Panathinaikosu. Zawiadomienie przyszło do klubu, a trener poinformował mnie, że wystąpię w kadrze, która jechała na dość egzotyczny wyjazd do Tajlandii. Nie powiem, byłem podniecony tym, że zadebiutuję w najważniejszej polskiej drużynie. Mój entuzjazm zmalął tylko trochę, gdy zobaczyłem, w jakim towarzystwie i na jaką okoliczność będziemy tam grali. Generalnie kolejni powołani przez Janusza Wójcika piłkarze wypisywali się z wyjazdu, aż w końcu zostali tylko ci, dla których ten wyjazd był życiową szansą, by dopisać 1A przy nazwisku, albo ci, którzy nie mieli innego wyjścia. Dość po-

wiedzieć, że w tej kadrze były nazwiska, których nigdy nawet nie słyszałem.

Jednak leciałem tam bardzo chętnie, pełen wiary, że pokażę trenerowi na co naprawdę mnie stać i udowodnię, że płynące z Grecji wiadomości o mojej wysokiej formie nie są plotkami. Miałem za sobą niezły sezon z bramką w Lidze Mistrzów, więc debiut w reprezentacji wydał mi się całkiem logiczną jego kontynuacją.

W Tajlandii wzięliśmy udział w turnieju o Puchar Króla i rozegraliśmy dwa mecze, dzielnie walcząc najpierw z Brazylią, a później z Nową Zelandią. To właśnie mecz z Brazylią miał być moim debiutem w biało-czerwonych barwach..., tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Wszedłem na boisko na ostatnie dwadzieścia kilka minut, przegrywaliśmy 0:2 z... nie wiadomo kim. Reprezentantów Brazylii średnio interesujący się piłką nożną człowiek raczej kojarzył, ale z nami grała drużyna złożona z gości zupełnie nam nieznanym. Uznaliśmy więc, że po prostu powołano tam, jak u nas, skład krajowy, którego znać nie mieliśmy prawa, a potem przekonaliśmy się, że Brazylija to rzeczywiście prawdziwa kopalnia talentów. Bo przecież jedenastu anonimowych gości jakoś sobie z nami poradziło. Gorzej, że parę miesięcy później okazało się, że to nawet nie był... zespół uznawany za reprezentację, a po prostu zbieranina kilkunastu Brazylijczyków, do których nie przyznawała się ich własna federacja! Gdy sprawa wyszła na jaw, najbardziej zmartwił się mój ojciec, którego syn stracił nagle połowę występów w reprezentacji, choć patrząc na to, co pisała po tym wyjeździe prestiżowa „Encyklopedia Piłkarska Fuji – Rocznik 2000”, powinien się cieszyć, że skasowano z kronik tylko jeden mecz. Zresztą najlepiej przeczytać ten tekst w oryginale. Nieźle się uśmiełem, gdy mi go teraz pokazano, przypominając, z kim wtedy przebywałem na boisku. Paru tych chłopaków zupełnie nie kojarzę i to do tego stopnia, że gdyby dziś podeszli do mnie na ulicy i powiedzieli „Się masz Igor, graliśmy razem” – nie wiedziałbym w jakim zespole. Załóżmy, że przedstawiłby się, pierwszy z brzegu, Krzysztof Piskuła. Pojęcia nie mam, kim był, a po składzie reprezentacji widzę, że graliśmy razem. Zastanawiałbym się pewnie, czy to nie jakiś rezerwowym z czasów juniorskich. Albo Grzegorz Tomala. Chociaż

nie – jego akurat z tego wyjazdu pamiętam, bo był nie do przepicia i bezapelacyjnie królował na imprezach. Myślę, że pozostali piłkarze kojarzyliby moje nazwisko – choćby dlatego, że spoza polskiej ligi byłem na tym zgrupowaniu tylko ja i Michał Żewłakow, a właściwie odwrotnie: Michał i ja. On jest przecież małą legendą kadry i gościem, który dużo wycisnął ze swojej kariery, a ja... Cóż, sami wiecie, dowiedzieliście się o mnie już bardzo dużo.

Wracając jednak do tego meczu z Brazylią: warto przeczytać, co napisało o nim najpoważniejsze wydawnictwo zajmujące się polską piłką.

„Selekcjoner Janusz Wójcik też zapewniał, że «zagrał oficjalnie z Brazylią». Wszystkim zależało na tym, aby – mimo porażki – uznać potyczkę za oficjalną, zwłaszcza tę z Brazylią, nobilitującą każdego jej rywala. Powstały jednak wątpliwości co do charakteru spotkań” – pisała nieznana mi, ale na pewno uparta Bożena Szmel, która przeprowadziła ewidentnie skomplikowane prywatne śledztwo, demaskując nasz wyjazd:

„W federacji brazylijskiej sekretarz generalny Mario Antonio Teixeira wyśmiał zawarty w naszym pytaniu pomysł oficjalnego meczu Brazylii z Polską w Bangkoku, a sekretarz prasowy związku Roberto Salgado odmówił pisemnych deklaracji, bo «równie dobrze mógłbym zapewniać, że nie byłem w kosmosie»... Nikt nie potrafił wskazać, gdzie są stosowne protokoły dwóch meczów biało-czerwonych? Pozostała więc FIFA, gdzie naszym problemem przez kilka tygodni zajmowała się Katherine Mottl. Jeszcze 5 sierpnia 1999 informowała, że «oficjalne protokoły nie dotarły do FIFA, a więc nie są uwzględnione w rankingu, ani w czerwcu, ani w lipcu» Dopiero 25 sierpnia przekazała na piśmie informację, że «mecz Polska – Nowa Zelandia został uznany za oficjalny i uwzględniony w rankingu FIFA w sierpniu 1999 (...)». Jest jednak w oficjalnym piśmie FIFA informacja, że «inne mecze turnieju w Bangkoku nie są traktowane jako oficjalne (full international), ponieważ Brazylia nie wystawiła narodowego zespołu A?»”.

Wszystko jasne? W moim życiu nic oczywiste być nie mogło, nawet mecze w kadrze i ich liczba. Dziękuję więc „Encyklopedii”, że dała mi choć jedno „A” – tego meczu z Brazylią naprawdę mi nie żal. I jeszcze

chciałbym uzupełnić – nawet tak dokładne i prestiżowe wydawnictwo regularnie, tom po tomie, podawało błędną datę mojego urodzenia, tę październikową. Takie dane pewnie dostawali, trudno żeby do każdego dzwoniли i potwierdzali. Mój dowód osobisty, jak już wspominałem, też by im nie pomógł.

Wtedy w Bangkoku rozpaczy po meczu jednak nie było. Nikt nie przejmował się porażką, a to, że właśnie zagraliśmy jakiś sparing „turnus polski na turnus brazylijski” nikomu nie przyszło do głowy. „Wójt” przybijał z nami piątki, kierownictwo ekipy też na nic nie narzekało. Wiadomo, nikt tam – może oprócz paru piłkarzy – nie jechał grać w piłkę. Większość chciała się bawić i załatwiać przeróżne interesy, mniej lub więcej powiązane z futbolem. My zresztą też jechaliśmy robić interesy, bo szefowie reprezentacji, widząc, że może być kłopot ze skompletowaniem składu – wyjazd od początku nie był zbyt poważny – dopłacali każdemu piłkarzowi dwa tysiące dolarów ekstra do kadrowego. Tomka Wałdocha skusili na tyle, że doleciał bezpośrednio na miejsce prosto z wczasów na Bali.

Wyjazd zaczął się kuriozalnie, bo już na lotnisku Okęcie... zginął nam piłkarz. Konkretnie Andrzej Kubica, napastnik. Kojarzę go jak przez mgłę, grał wtedy w jakimś izraelskim klubie. W każdym razie w autobusie jadącym na lotnisko był, na odprawie był, na kontroli celnej był, a w samolocie... już go nie było. Rozumiałbym, gdyby zdarzyło się to w drodze powrotnej – o tak, wtedy niejednym mógłby się zgubić – ale w Warszawie? Samolot już miał startować, gdy nagle któryś z chłopaków powiedział, że nie ma Kubicy. Trener Wójcik zmusił pilota, by wypuścił go jeszcze na chwilę na teren lotniska i zaczęło się nerwowe bieganie. Kubicy jednak nie znaleziono, więc w końcu poleciliśmy bez niego. Już na miejscu dowiedzieliśmy się, że dostał zaproszenie na testy do jakiegoś francuskiego klubu i w ostatniej chwili zdecydował się polecieć tam, a nie z nami, ale nie miał odwagi nikomu tego powiedzieć. Śmieszne trochę.

Między meczem z „Brazylią”, a drugim spotkaniem z Nową Zelandią były trzy dni przerwy, w czasie których trenera dość rzadko widywaliśmy. Niby jakieś treningi były, ale krótkie i najczęściej obok hotelu. Bardziej z tamtego wyjazdu zapamiętałem Edwarda Klejndinsta,

bardzo porządnego faceta, który jako asystent Wójcika próbował jakoś się nami zająć. Selekcjoner... zapewne zajmował się selekcją. Nic dziwnego, my futbolem też zajmowaliśmy się sporadycznie.

Któregoś dnia tradycyjnie urwaliśmy się wieczorem na miasto, żeby gdzieś się zabawić i trafiliśmy na ulicę, która wyglądała jak raj. Klub na klubie, najlepsze alkohole, półnagie dziewczyny zapraszające do siebie, a wszystko za śmieszne pieniądze. Nerwowo zrobiło się dopiero, gdy okazało się, że duża część tych dziewczyn to... mężczyźni. W Atenach trafiłem kiedyś na ulicę transwestytów, ale tam od razu było widać, z kim mamy do czynienia. W Bangkoku operacje plastyczne stoją chyba na wyższym poziomie, bo długo nikt z nas się niczego nie domyślał. I dopiero jak jeden z nas – nazwiska nigdy nie zdradzę – postanowił zawrzeć z panienką bliższą znajomość, to zrobiło się gorąco. Jego „partnerka” miała nie tylko jabłko Adama, ale i pełne spodnie. Delikwent głośno się awanturował, ale – chcąc uniknąć skandalu – udało nam się go ułagodzić, po czym błyskawicznie się stamtąd wycofaliśmy. Dalszą część nocy spędziliśmy w hotelu, przed którym znajdowała się piękna fontanna. Byli w naszej ekipie i tacy, którzy dokładnie sprawdzili jej głębokość. Cóż, tak nagle wyrastała przed oczami...

Po meczu z „Brazylią” nikt z nas nie bał się starcia z Nową Zelandią. Znow przesiedziałem większość spotkania na ławce rezerwowych i – jak Boga kocham – chyba nigdy w życiu nie widziałem nudniejszego meczu. Ziewaliśmy na ławce jakbyśmy się jeszcze nie przyzwyczaili do zmiany czasu. Do tego upał, wysoka wilgotność... Z przerażeniem patrzyłem na trenera Wójcika, z którego pot lał się szerokim strumieniem. Nie miał łatwo, oj nie miał.

W tym meczu też wszedłem na boisko, ale, podobnie jak w pierwszym, gola strzelić nie umiałem. Pamiętam, jak bardzo byliśmy zdziwieni, gdy okazało się, że sędzia chce, żebyśmy strzelali po meczu karne. Nie byłem wyznaczony, więc obserwowałem wszystko z daleka. Cały ten cyrk, w którym przyszło mi wziąć udział.

Żeby nie było, że przesadzam, oto skład kadry na moje pierwsze w życiu oficjalne spotkanie w narodowych barwach. Niektóre nazwiska też by was zaskoczyły, nawet dzisiaj, prawda?

Tomala – Terlecki, Stolarczyk, Żewłakow (75 Szwed) – Piskuła (58 Jakubowski), Gęsior, Michalski, Żurawski, Chańko – Nosal (70 Sypniewski), Wichniarek.

Z Arturem zagrałem wtedy pierwszy raz w ataku, choć później dzieliliśmy pokój podczas mojego kolejnego meczu w reprezentacji. Wtedy w Tajlandii mieszkalem z Rafałem Szwedem, bardzo równym chłopakiem. Na ławce podczas pierwszej połowy też siedzieliśmy obok siebie, marząc, aby nie zasnąć. Dobrze się rozumieliśmy.

Drugi (trzeci?) raz w reprezentacji zagrałem dwa lata później, gdy miałem za sobą kapitalną rundę w Radomsku i właśnie szykowałem się do podboju Włoch (bo przecież miałem zostać graczem Udinese). Generalnie czułem się jakbym po raz kolejny w życiu złapał Pana Boga za nogi – dziennikarze po dobrej rundzie twierdzili, że jestem pewniakiem do wyjazdu na mundial, a menedżer raz po raz informował mnie o kolejnych ofertach z zagranicznych klubów. I choć ostatecznie nie trafiłem do Włoch, a do Wisły Kraków, to przecież nie miałem powodów do narzekania. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że popełniam jeden z największych błędów w życiu, a to poważna deklaracja. Bo przecież popełniłem ich całą masę.

Trener Jerzy Engel powołał mnie na towarzyski mecz z Kamerunem i odniosłem wrażenie, że chce na mnie stawiać, a chłopaki w kadrze szybko mnie zaakceptowali. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że mam wreszcie szansę, by zaistnieć w świadomości polskich kibiców. Przez lata przecież nie miałem okazji im się pokazać – najpierw grałem w trzeciej i drugiej lidze, a później wyjechałem do Grecji. W kraju występowałem zaledwie kilka miesięcy i to w Radomsku, o którym nie można powiedzieć, że jest stolicą futbolowej Polski. Powołanie do reprezentacji było więc szansą na to, bym wreszcie i w Polsce zrobił karierę, a przynajmniej dał się poznać. O tym, że wiele o mnie nie wiadomo, niech świadczy fakt, że dziennikarz telewizyjny, który robił ze mną wywiad po meczu z Kamerunem zapytał, czy... jestem zadowolony z debiutu. Nie chciałem go poprawiać, bo i po co? Chwalić się, że niby zagrałem 20 minut przeciwko Nowej Zelandii w Tajlandii? Przecież to brzmi absurdalnie.

Podczas zgrupowania w Poznaniu mieszkalem z Wichniarkiem,

który wtedy błyszczał w niemieckiej Bundeslidze. Trener już wcześniej zapowiedział, że utworzy dwie pary napastników, które grają po jednej połowie – do przerwy wystąpili Olisadebe i Kryszalowicz, a w drugiej połowie ja z Arturem.

Gole w Poznaniu wprawdzie nie padły, ale mogłem być zadowolony z występu. Udało mi się urwać kilka razy na skrzydle, a jedna akcja pokazała, że mogę się przydać drużynie. Na metrze wkręciłem trzech przeciwników, uciekłem po prawym skrzydle i idealnie wystawiłem piłkę na środek pola karnego Piotrowi Świerczewskiemu. Niestety, w ostatniej chwili „Świrowi” piłkę zdjął z nogi cofający się po nią Wichniarek i gola nie było. Szkoda, bo zapisałbym na swoim koncie kapitalną asystę, Świerczewski takiej okazji by nie zmarnował. Nie udało się, ale byłem pewien, że wykorzystałem szansę.

Engel potwierdził to powołaniem na mecz z Wyspami Owczymi, który w lutym odbył się na Cyprze. Wtedy byłem już zawodnikiem Wisły Kraków, ale niestety na początku przygotowań złapałem kontuzję, więc polecieć nie mogłem. Nigdy więcej powołania już nie dostałem. Mogłem dostać, ale wtedy – grając w Szwecji – nie chciałem.

Na pytanie, dlaczego w ogóle nie zaistniałem w reprezentacji Polski, nie umiem odpowiedzieć. W 2002 roku przysłużył się temu na pewno transfer do Wisły, bo w Radomsku byłbym podstawowym piłkarzem i pewnie znalazłbym się w składzie na mundial. Wtedy tych meczów miałbym więcej i pokazałbym się w ważnej imprezie. Nigdy nie bałem się wielkich drużyn i wielkich piłkarzy, przeciwko którym grałem. Wielokrotnie słyszałem też, że mam talent umożliwiający naprawdę wielką karierę. Tak, to prawda, ale... sam ją zmarnowałem. Zgadza się z tym, jestem wręcz pewny, że gdyby nie moje osiedlowe towarzystwo, w którym czułem się najlepiej i moje wszystkie grzechy młodości, to grałbym w wymarzonej Barcelonie. Być może z Leo Messim, którego... uważam za świetnego piłkarza, ale nie tak wielkiego jak cały świat. Sądzę, że będąc w formie poszedłbym z nim na podwórko i dałbym mu radę. Tak wiem, że brzmi to zabawnie, ale to jest moje kryterium oceny i moje zdanie. Przecież miało być szczerze, prawda? Jeśli uważałem się za słabszego, za głupszego, też o tym mówiłem. Podobnie jak o wszystkim, co zrobiłem złego. Dlaczego

więc teraz miałbym kłamać?

Skoro Messi to i Cristiano Ronaldo... Dobry piłkarz, ale też bez szału. Podobał mi się zawsze Zinedine Zidane, a w Polsce wzorowałem się na Zbigniewie Bońku, Włodzimierzu Smolarku i Stasiu Terleckim. To byli moi idole, na podwórku często krzychałem: „Boniek, Boniek, Boniek, goooooool, Zibiiiiii, gol!”. Piłkarz kompletny, takim chciałem być.

Najbardziej ceniłem jednak Ronaldo, tego prawdziwego. Brazylijczyka, który miał podobny styl gry do mojego, bo umiał zakreślić rywalami jak baranami na łące na metrze kwadratowym trawy. Po akcji z ligi szwedzkiej, gdy w polu karnym położyłem jednym zwodem trzech przeciwników, a później ośmieszyłem podcinką bramkarza, Jonas Thern porównał mnie właśnie do niego. Wiedział, co mówi, spotkał go przecież na boisku. Myślę, że gdybym wcześniej zaczął pracę z Thernem, też mógłbym być tak dobry jak Ronaldo. Ronaldo z Brazylii.

Finał mojej reprezentacyjnej przygody miał miejsce w... 2003 roku, choć przecież nie dostałem wtedy powołania, a jedynie „znajdowałem się w kręgu zainteresowań selekcjonera”, jak to się ładnie określa. Należałoby jednak napisać, że nie chodziło o jednego trenera reprezentacji, a dwóch, nawet trzech. Taka sytuacja.

By zrozumieć, co stało się podczas najlepszego w mojej karierze roku 2003 (paradoksalnie tego samego, w którym próbowałem popełnić samobójstwo), należy wrócić do Szwecji i do moich uników przed wszystkim co polskie – zwłaszcza przed mediami i kadrą. Uników wymuszonych przez stan zdrowia i nie do końca przemyślanych, ale wtedy uznawanych – przeze mnie samego oczywiście – za jak najbardziej właściwe.

Po wyjeździe z Krakowa przez ponad półtora roku nie było mnie ani w polskich gazetach, ani w telewizji i chciałem, aby tak zostało. Na początku mojej przygody z Malmö uznałem jednak, że można to zmienić – złamałem się, udzieliłem wywiadu „Piłce Nożnej”. Dziś mogę powiedzieć, że nie była to słuszna decyzja, ale zawsze miałem kłopot z odmawianiem – piątaśka na flaszkę, autografu, wspólnego zdjęcia, czy, jak w tym przypadku, wywiadu. O kontakt ze mną

bywało trudno, ale gdy już zacząłem rozmawiać, stanowcze „nie” zmieniało się w „OK” w ciągu 10 sekund. Taki byłem i jestem do dziś.

W tamtym wywiadzie nie mówiłem prawdy, choć nie to jest w tej całej historii najważniejsze.

Dziennikarzom tłumaczyłem, że w moim życiu nie ma stresu, wszystko świetnie się układa i tak dalej cukierkowo, aż do wymiotów z przesłodzenia. Wychodziło na to, że jest pięknie, a tymczasem, mówiąc o prywatnej sferze życia, prawdę powiedziałem tylko w jednym zdaniu – że żyję dla mojego dwuletniego wtedy synka Kacpra i dla Gosi, którą w wywiadzie nazwałem „przyszłą żoną”. Ślubu ostatecznie nigdy nie wzięliśmy, ale wtedy byłem pewien, że tak się stanie. To, że dzięki Gosi i Kacprowi wydobyłem się z depresji i przetrwałem najtrudniejszy moment mojej choroby, też jest szczerą prawdą. Gdybym ich nie miał, nie wiem, co by było. Nie byłoby bowiem mnie teraz i nie pisałbym tej książki. Przegrałbym z poważnym zestawem tabletek, na który postawiłem wszystko, co miałem – życie.

Akurat zbliżał się mecz Polski ze Szwecją i dziennikarz zapytał, komu będę kibicował. Odparłem, że to moja prywatna sprawa i na tak postawione pytanie nie odpowiem. Dziś myślę, że chyba rzeczywiście kibicowałem wtedy Szwecji. Polska, po historii z Wisłą Kraków, wciąż jawiła się w mojej głowie fatalnie. Szwecja, choć przecież w Halmstad moje życie mogło się skończyć, dała mi natomiast bardzo wiele. Gdy więc ktoś kiedyś mnie zapytał, czy byłbym skłonny zagrać w reprezentacji Trzech Koron, bez namysłu odpowiedziałem, że tak. To była prawda – nie wahałbym się ani minuty.

Na szwedzkiej drodze mojego życia spotkałem wiele osób, które okazały mi bardzo dużo serca. Dały drugie życie, dlatego chciałem bronić ich barw. Wiem, że narażam się teraz połowie kibicowskiej Polski, że zostanę uznany przez niektórych za człowieka bez honoru i odrobiny choćby patriotyzmu, ale... mówię prawdę. Wiem, że także ci, którzy mnie nie przekreślą lub nie znienawidzą, będą mieć kłopot, aby to zrozumieć. Trzeba przeżyć to, co ja, by wiedzieć, o czym dokładnie mówię.

Do reprezentacji Polski nie tyle nie chciałem, co bałem się zostać powołany, dlatego do PZPN dotarło opisywane już krótkie pismo

z Halmstad, w którym prosiłem, by mnie nie uwzględniać przy planowaniu składu kadry. Wysłaliśmy je na wszelki wypadek, choć doskonale wiedziałem, że Paweł Janas nie ceni moich umiejętności tak, jak szwedzcy kibice. Liga Allsvenskan była pod moim wrażeniem, z uznaniem wypowiadali się także o mnie trenerzy reprezentacji Trzech Koron – Tommy Söderberg i Lars Lagerbäck. Prowadzili zespół we dwóch, ale znajomi pokazywali mi, jak chwalać mnie w mediach niezależnie od siebie.

W Szwecji na obywatelstwo czeka się osiem lat, ale czasem sportowcy znajdują się na szybszej ścieżce i nawet bardzo restrykcyjni Skandynawowie robią wyjątki dla tych, którzy w zamian za paszport mogą dać im wiele radości. Miałem być właśnie takim wyjątkiem, tak przynajmniej obiecywał mi Bogdan Maślanka, gdy cała historia zaczęła w jego opowieściach nabierać realnych kształtów. Sprawa upadła podobno dlatego, że miałem za sobą dwa wspomniane mecze w reprezentacji Polski...

Oba mecze, w których zagrałem miały status towarzyskich, więc dziś nie zamykałyby ostatecznie drogi do zmiany barw narodowych. Teraz klamka zapada dopiero wtedy, gdy piłkarz wystąpi w meczu o punkty. Wtedy przepisy jednak nie były tak łagodne i na nic zdały się, toczone podobno kilka razy, zakulisowe rozmowy ze szwedzkim szefem UEFA, Lennartem Johanssonem. Żalowali chyba wszyscy, a najbardziej ja. Próbowałem sobie wyobrazić, jak gram w ataku ze Zlatanem Ibrahimoviciem (taaaak, ten to grać umie! Magik!), jak odwdzięczam się Szwedom za otrzymaną od nich szansę i za serce, jakie wielu z nich mi okazało. Wyobrażałem sobie siebie, jak zaczynam zupełnie nowe życie...

Niestety, temat upadł. Wiele osób w Halmstad powtarzało mi, że byłbym dla ich kadry ważniejszym piłkarzem niż sam Fredrik Ljungberg. Tu należy dodać, że akurat w tym mieście porównania do wychowanej w nim gwiazdy angielskiej Premiership, miały swój ciężar gatunkowy.

Z presją po zmianie barw bym sobie poradził, jestem pewien. W żółtym też byłoby mi do twarzy – sprawdziłem to przecież wcześniej występując w szwedzkich kolorach w Radomsku. Wiem

również, że gryzłbym trawę i umierał za Szwecję, gdyby stała się moją drugą ojczyzną, gdyby wtedy przygarnęła mnie także formalnie. Szkoda, że tak się nie stało.

Dziś cieszę się z dwóch występów w reprezentacji Polski. Żałuję, że nie było ich więcej, że nie strzeliłem gola dla biało-czerwonych, że nie pomogłem im na mundialu. Znow muszę przeprosić – tym razem wszystkich kibiców, którzy na mnie liczyli. Teraz już wiedzą, że nie wszystko zależało ode mnie, a moje problemy znacząco wykraczały poza futbol.

14. Osiem lat po Seamanie. Skazany

Wiele dni było w moim życiu trudnych. Wiele razy się bałem, czasem wręcz przeraźliwie. Ale dzień 15 listopada 2007 roku szczególnie zapadł mi w pamięć. Będę pamiętał go już zawsze, do samej śmierci. Tego dnia po raz pierwszy w życiu przekroczyłem mury więzienia – by zostać tam na dłużej.

Osiem lat wcześniej strzeliłem gola Arsenalowi w Lidze Mistrzów i posadziłem na tyłku Davida Seamana, Teraz sam siedziałem i to na amen. Sześć lat wcześniej w reprezentacji Polski kręciłem kameruńską obroną. Teraz mnie zakrecono i zapuszkowano. Niewiele ponad rok wcześniej wprowadzałem ŁKS do ekstraklasy, a dziś stałem przed ogromnymi drzwiami, które miały zamknąć się za mną na półtora roku. Ja, Igor Sypniewski, świetny piłkarz i król życia, miałem na półtora roku stać się Igorem Sypniewskim, synem Stefana. Osadzonym w zakładzie karnym przy ulicy, która swoją nazwą idealnie pasuje do moich wahań nastrojów. Ulica Smutna w Łodzi. Jest na niej więzienie i cmentarz.

Jedyne, co wtedy czułem, to strach. Paniczny strach. Jak to będzie? Czy dadzą mi żyć za murami? Jak będę traktowany? Czy ktoś mnie rozpozna? Jak wytrzymam bez alkoholu? – mętlik w głowie osiągał niewyobrażalne rozmiary. Wszedłem do celi, w której siedziało trzech innych osadzonych. Musiałem pokazać papier i powiedzieć, za co trafiłem za kratki. Za groźby karalne i psychiczne znęcanie się nad rodziną – tak było napisane. Do tego jeszcze znieważenie policjanta. Tak naprawdę zaś – czekała mnie odsiadka za małą rozum po gorzale i oszustwa tak zwanego wymiaru sprawiedliwości w rozmowie z moją rodziną. Na trzeźwo nawet muchy bym przecież nie skrzywdził. I nigdy bym się nie znalazł w takim miejscu, gdybym nie pił.

Ten rok był moim ostatecznym upadkiem, więc jego zakończenie nie powinno dziwić. Przez wiele miesięcy nie kontrolowałem swojego zachowania. Piłem bardzo dużo, a do tego bardzo szybko postępowała depresja. Silne leki psychotropowe przez wiele miesięcy zapijałem alkoholem. Nic dziwnego, że mój mózg nie ogarniał tego, co się dzieje.

Czas spędzałem z kumplami stojąc pod sklepem, spałem często na me-
linach. Jeśli wracałem do domu, dobijał mnie widok mamy, i jej cier-
pienie, gdy patrzyła na staczającego się na dno syna. I starzejącego się
każdego miesiąca o co najmniej rok. Jeszcze niedawno mogła być
ze mnie dumna, teraz było jej wstyd. Mamo, przepraszam Cię
za wszystko. Rodzice próbowali wielu sposobów, by mnie uratować,
walczyli do ostatniej chwili. Po awanturze na stadionie ŁKS, gdy ra-
zem z innymi chciałem bić się z kibicami Lecha, na chwilę prze-
trzeźwiałem. W rodziców wstąpiła nadzieja, że może wreszcie po-
walczę o siebie wraz z nimi. Pukali wtedy do wszystkich drzwi
prosząc o terapię dla mnie, byli nawet w urzędzie miasta, gdzie ofero-
wano pomoc dla rodzin. Ale nikt się mną nie zajął. I Wami, młodzi
piłkarze, może czytający tę książkę, też nikt się nie zajmie, gdy prze-
gracie swoją wielką szansę. Odkrywam się przed Wami także po to,
byście nie powtórzyli nawet dziesiątej części wszystkich moich
błędów. Ku przestrodze. Widzicie w telewizji, jak pięknie wygląda
świat wokół gwiazd, które nie zeszły z właściwej drogi. Tu macie tę
drugą stronę.

Wtedy, po aferze na ŁKS, powiedziałem matce, by wychodząc
z domu zamykała mnie na taki zamek, którego nie byłbym w stanie
otworzyć od środka. Bałem się, że pójdę i zapiję. Jeśli z kimkolwiek
w ogóle się spotykałem, to tylko w mieszkaniu mamy i właśnie
tu któregoś dnia pojawił się Jerzy Kulej, by wesprzeć mnie w absty-
nencji. Przyjechał z dziennikarzami „Super Expressu” i opowiadał, jak
pokonał swoją chorobę alkoholową. W ręku miał butelkę dobrej whi-
sky, którą mieliśmy zakopać i odkopać za 10 lat, jeśli obaj wytrwamy
i nie sięgniemy po wódę... Miłe to było, chciałem wytrwać. Długo
wierzyłem, że jak nie będę miał możliwości zdobycia alkoholu, to go
nie wypiję. Naiwne.

Przyszedł jednak dzień, w którym nie byłem w stanie wytrzymać.
Nosiło mnie po całym mieszkaniu, trząsałem się jak osika. Wiedziałem,
że jeśli szybko w moim organizmie nie pojawią się procenty, to zwa-
riuję. Zadzwoiłem do jednego z kumpli i poprosiłem, żeby mi
pomógł...

Dziś obaj jesteście trzeźwi i wspieramy się w walce z tą potworną

chorobą, ale wtedy obaj piliśmy. Nikt nie zrozumie potrzeby picia alkoholu tak dobrze, jak inny chory człowiek. Znajomy przyszedł pod mój blok z flaszką wypełnioną spirytusem zmieszany z wodą i przywiązał ją do sznurka, który spuściłem z okna. Kilka minut później poczułem ulgę, procenty zaczynały rozchodzić się po ciele. Opanowało mnie doskonale znane złudne poczucie szczęścia, moment, w którym przestajesz czuć wewnętrzny ból i poprawia ci się humor.

Na chwilę.

Rodzice namawiali mnie na leczenie zamknięte. Prosili, błagali, ale nie było na mnie mocnych. Nie wyobrażałem sobie pobytu w szpitalu psychiatrycznym, zamknięcia pod kluczem. Bez kontaktu ze światem zewnętrznym, a przede wszystkim bez alkoholu.

Brak kontroli nad zachowaniem sprawiał, że dość często miałem kontakty z policją. Był taki czas, że czułem, jakby mnie śledzili, mieli polecenie jeżdżenia za mną. Stoję i piję pod sklepem z kumplami – policja. Na murku w parku – policja. Jakaś przepychanka na ulicy – policja. Krótka rozmowa, niezbyt miła, a potem postępowanie jak z żulerią: ręce do tyłu i transport w kajdankach – albo na izbę wytrzeźwień, albo na komendę. Odpalało mi we łbie coraz groźniej. Gdyby w tamtym momencie któryś z łódzkich fotoreporterów miał taki pomysł, jak kilka lat wcześniej, by uchwycić moment jak się awanturowuję, nie musiałby obiecywać informatorom 50 złotych – sam by szybko się doczekał. Spokój osiedla zakłócałem razem ze swoją ekipą na różne sposoby. Kiedyś, oczywiście po pijaku, potłukłem butelkę i szkłem pociąłem sobie ręce tak, że do dziś mam ślady na przedramionach. Zalany – i alkoholem, i krwią – trafiłem do szpitala Wojskowej Akademii Medycznej, ale ani myślałem dać sobie pomoc. Jak mogłem utrudniałem pracę lekarzom. Szarpałem się z nimi, doszło niemal do bijatyki. Gdy nie mieli już siły, po opatrzeniu ran wezwali policję, by ta przewiozła mnie do innego szpitala, psychiatrycznego, na ulicę Aleksandrowską. Tam przypięto mnie do wózka skórzanymi pasami, krępując ręce i nogi, bo sam iść nie chciałem i tak zastali mnie wezwani na miejsce rodzice. Zszokowani, aż przystanęli, a ja próbowałem się wyrwać, uwolnić.... Uspokoił mnie dopiero zastrzyk. Ponieważ jednak prawo stanowi, że nie można nikogo zatrzy-

mać na leczenie bez jego zgody, rano wróciłem do domu. I znów na chwilę się uspokoiłem, ale nie na długo.

Moja psychika legła w gruzach i nikt, ze mną na czele, nie mógł sobie z tym poradzić. Cóż chcieć – lata picia, zażywania leków antydepresyjnych, czy wreszcie przepijanie anticolu musiały odbić się na zdrowiu i to nie tylko fizycznym.

Gdy byłem pijany, często chodziłem pod dom Gośki. Tęskniłem za nią i za Kacprem, a wtedy, po gorzale, puszczały mi hamulce. Widzieliście kiedyś pijanego, który uważa, że nie jest trzeźwy? Każdemu wydaje się, że jego umysł pracuje idealnie; że nikt nie zauważy, że coś wypił, a zresztą – jaki pijany? Jedno piwko, góra dwa... Najwyżej trzy, potem rachunki się upraszcza.

Gośki oszukać nie byłem w stanie i gdy tylko byłem pod wpływem, nie wpuszczała mnie do domu. Nie mogłem się z tym pogodzić, awanturowałem się na klatce schodowej. Przychodziłem coraz częściej, a jej rodzina i sąsiedzi wzywali policję. Moja kartoteka zaczynała się robić pokaźna, bo przecież do interwencji u Gośki dochodził cały zestaw tych, spod sklepu... Po awanturach na klatce schodowej wracałem pijany do matki i nadal byłem wściekły – że matka próbuje mnie pouczać, że Gośka nie chce mnie znać. Więc znów się awanturowałem. Koło się zamykało... W końcu któregoś razu policja zabrała mnie z domu, a rano do mamy zadzwonił policjant, by zgłosiła się do prokuratury. Miarka przebrała się, gdy pod sklepem rzuciłem w jakąś kobietę butelką. Sprawcę łatwo dało się zidentyfikować, był świetnie znany policji.

Ciąg dalszy znam już z opowiadań rodziców. Prokurator przekonał ich, że jedyną szansą, aby mi pomóc, jest wyrok skazujący i wsadzenie mnie do więzienia z nakazem przymusowego leczenia z alkoholizmu. Rodzice przystali na to, bo uwierzyli, że w ten sposób mogą mi pomóc.

Nie mogę pojąć, co musi czuć matka, która zeznaje przeciwko swojemu dziecku w dobrej wierze. Muszą nią targać koszarne emocje i ja, niestety, je wymusiłem. Często mi z tego powodu wstyd, choć wiem, że mama i tata kochają mnie nad życie i wszystkie występki już dawno mi wybaczyli. Jestem taki sam jak oni, też nie potrafię

długo trzymać zadry w sercu. Wiele osób w życiu zrobiło mi krzywdę, a mimo to nigdy nikogo nie próbowałem zniszczyć. I wybaczałem, wszystkim.

Tym razem obciążały mnie więc nie tylko zeznania sąsiadów i ojca Goški, ale także własnej matki... Zaczął się młyn, zeznawały tłumy ludzi, a wielu z nich nawet nie znałem. Wyciągnięto z kartoteki wszystkie stare sprawy. Gdy mama zorientowała się, co się dzieje, chciała wycofać zeznania, ale było już za późno. Tym, którzy mnie znali też nie pozwolono zmienić swoich wersji, a wiem od rodziców, że gdy ich o to prosiła, odpowiadali, że policja grozi im karą za składanie fałszywych zeznań. Wszystko szło w złym kierunku i na dobrą sprawę – gdybym logicznie myślał – powinienem spodziewać się tego, że dostanę karę więzienia i tym razem się nie wywinę. Zwłaszcza, że prośby o areszt domowy, kierowane przez rodziców i mnie samego, nie przynosiły skutku, znajomi, którzy podobno mieli dojścia, też odbijali się od ściany.

Podczas rozprawy byłem na silnych lekach i niewiele pamiętam, a właściwie nie pamiętam nic. Na portalu youtube można znaleźć film z mojego procesu. Myślę, że wszyscy widzą na nim to, co ja: że nie jestem świadomy, co się wokół dzieje. Mówię kompletnie bez sensu, uśmiecham się, momentami jestem rozbawiony. Nawet się nie bronię. Jeśli kogoś poza mną ta cała historia wtedy bawiła, lub bawi dziś, gdy ogląda wspomniany zapis tej farsy, jest mi cholernie przykro. Bo to jak wyśmiewanie niepełnosprawnego chłopaka bez nogi, że nie potrafi kopnąć piłki.

Za każdym razem, gdy myślę o tym filmie, bo oglądać go nie lubię, mam wrażenie, że ktoś chciał celowo mnie ośmieszyć, wręcz zrobić pokazówkę. Przypominam, że zostałem skazany za groźby karalne i psychiczne znęcanie się nad rodziną, a w sądzie wyglądałem co najmniej, jak psychopatyczny morderca z amerykańskich filmów – na rękach i nogach miałem założone kajdanki, połączone ze sobą ciężkim łańcuchem. Trudno się szło, a policjanci przeprowadzili mnie przez długi korytarz pełen fotoreporterów i kamer telewizyjnych. Każdy mógł zrobić zdjęcia, naszemu wymiarowi tak zwanej sprawiedliwości wręcz na tym zależało, żeby Sypniewski znalazł się we wszystkich me-

diach. Prawdziwym bandytom zapewnia się dyskrecję i ochronę, aferzystów, którzy swoimi oszustwami zrujnowali tysiące żyć, traktuje w sądach niczym biznesmenów na ważnych rozmowach. Mnie, nieświadomego tego, co się dzieje, posłano na rzeź przepędzając wcześniej stosownym szpalerem pełnym błyskających fleszy. Zadbano o każdy szczegół, także o to, bym nie prezentował się zbyt sympatycznie. Ba, nawet zbyt czysto...

Nikt nie pozwolił mi się przygotować do rozprawy tak, żebym chociaż jakoś wyglądał. Wystąpiłem w więziennej, za dużej o kilka numerów, zielonej kurtce. Nieogolony, patrzący błędnym wzrokiem w dal lub niemal zasypiający – wyglądałem tak, że chyba sam bym siebie skazał. Obraz czystego, ubranego w garnitur, bez kajdanek na nogach i rękach, nienaćpanego lekami piłkarza nie sprzedaliby się tak dobrze w mediach, a ten wizerunek był doskonały. Nie przypominam sobie, by kogokolwiek pokazano w taki sposób, jak wtedy mnie, choć widuję często w telewizyjnych wiadomościach różnego rodzaju bandytów.

Przebieg procesu? Też znam go z opowiadań i wspomnianego filmiku. Siedziałem podparty niechlujnie na ręku, oparty o stół, jak dziecko patrzące na chmury. Za wiele do mnie nie docierało. Kamery nagrały każdy detal, każdy uśmiezek, który nie wiedzieć czemu, często pojawiał się na mojej twarzy... Ważne procesy w naszym kraju są utajniane, a ze mnie zrobiono wtedy pierwszoplanowego aktora. Aż dziwne, że każda z telewizji obecnych na sali nie przypięła mi mikrofonu – byłem tak nafaszerowany lekami, że na pewno ochoczo bym się na to zgodził, a może to wcale nie było dziwne? Przecież i tak wszystko było słyhać.

– Proszę bardzo, co pan chciałby powiedzieć na temat tymczasowego aresztowania?

– No wie pan, no co mam powiedzieć...

– Proszę pana, do sądu pan się zwraca!

– Aha, no dobra... No to tak... Jak to się mówi... Ja tak, wie pan, taki prosty człowiek jestem... Chciałbym wyjść na wolność, ale jak widzę, że nie sprzyja mi tu pani prokurator... Widzę, że jest troszeczkę taka, ja bym powiedział, nie...Nieekskluzywna...

Ta rozmowa nie jest wymyślona, to oryginalny zapis, co do słowa. Po takim dialogu na sali wyrok mógł być tylko jeden. Mam wrażenie, że ustalony długo przed procesem. Proszę bardzo, zobaczcie, w Polsce nikt nie może czuć się bezkarny, a już na pewno nie jakiś piłkarz.

Dostałem półtora roku ze skierowaniem na przymusowe leczenie. W pierwszej chwili moi bliscy odetchnęli, byli nawet zadowoleni, bo zdawało im się, że osiągnęli to, co chcieli – sąd nakazał przecież leczenie. Mnie po wyroku było wszystko jedno... Dopiero później, już w areszcie, gdy przestały działać leki, zrozumiałem, co się stało.

Półtora roku za kratkami. Kur..., jak ja to wytrzymam?

W sumie siedziałem w aż czterech więzieniach – najpierw na Smutnej w Łodzi, później chwilę w Piotrkowie Trybunalskim, następnie w Radomiu i na koniec znów w Łodzi, tyle że na Kraszewskiego. Najgorzej było na początku.

Na Smutnej poznałem hierarchię więzienną. Na początku grypsowałem i na krótko trafiłem do elity. Sam tak chciałem, bo z osiedla zapamiętałem, że trzeba trzymać z grypsującymi, a nie z tak zwanymi frajerami, którzy modlili się tylko, by spokojnie odsiedzieć wyrok i wyjść za dobre sprawowanie. Im nie podawało się nawet ręki, jeśli się grypsowało.

Grypsując musiałem jednak nauczyć się więziennego języka, z którego starsi systematycznie mnie odpytywali. Na spacerunku robiliśmy kółko w rogu, a ci dłużej siedzący, bez wiedzy strażników, uczyli wtedy młodszych. Za cholere nie mogłem się tych wierszy nauczyć. Pamiętałem, żeby powiedzieć, że „kręci się na ostro”, jak siadałem na kiblu, żeby inni wtedy nie jedli, ale ogólnie tego języka nie łąpałem. Zacząłem się wkurzać, co zakończyło się poważnym mordobiciem ze skokobrykami, czyli młodymi więźniami pod celą. Gówniarze mieli pretensje, że „nie podbijam” (nie używam tych ich słów), więc wstałem z „koja” (łóżka), gdy mnie jeden taki dwudziestolatek wyzywał i zaczęła się „młócka” (bójka). Poważnie wtedy dostałem, ale uszedłem z życiem – tylko zresztą dlatego, że w ostatniej chwili zasłoniłem głowę przed taboretom.

Zrobiła się z tego afera, starszyczna zadzwoniła po strażników i musiałem szybko pakować „mandzur” (swoje rzeczy). Zostałem przenie-

siony do innej celi, właśnie na frajnię, gdzie żadne zasady nie obowiązują. Zachowując terminologię sportową, to jest taka więzienna druga liga... W sumie żyje się tam łatwiej, bo każdy jest przerażony tym, co zobaczył i co może go spotkać, a grypsującym nie przypadłem najwyraźniej do gustu.

Na Smutnej siedziało się najgorzej, a byłem tam najdłużej. Dość szybko rozeszło się po celach, że jest tutaj Igor Sypniewski. Wielu ludzi w więzieniu wiedziało, że jestem piłkarzem, że grałem w Lidze Mistrzów i był czas, że zachwycąłem swoimi umiejętnościami. Znali mnie z telewizji, a teraz... Teraz wraz ze mną decydowali, co w telewizji oglądamy. Na początku w celi siedziało nas czterech – ja, dwóch osadzonych za kradzieże i jeden „za głowę”, czyli za zabójstwo. Różni ludzie trafiają do pierdła – są tacy, co znaleźli się tam za drobiazgi, właściwie z przypadku, ale są i poważni przestępcy. Idąc do więzienia bałem się tych ostatnich. I chyba dlatego próbowałem z nimi dobrze żyć.

Co się robi w więzieniu? Przede wszystkim nudzi i gapi w „szkiełko”, czyli telewizor. Dużo graliśmy w karty – w tysiąca, czy pokera – i w kości. Oczywiście w celi nikt nie ma przy sobie pieniędzy, więc gra się na punkty albo papierosy. Traktowałem to jako zabicie czasu, bo trudno, żeby hazardzista, który grał żetonami za kilkadziesiąt euro pociągała gra na fajki, choć warto było zawsze kilka wygrać.

Czasem chłopcy w celi pytali mnie o różne piłkarskie historie, więc musiałem im opowiadać. Wbrew jednak plotkom, które krążą w piłkarskim świecie, nie miałem pod celą problemów z kibicami Widzewa, zachowywali się normalnie, też doceniali, jak kiedyś grałem, a od kibiców ŁKS, jeszcze na Smutnej, dostałem nawet gryps, w którym napisali: „Sypek, trzymaj się, jesteśmy z tobą”.

Od rodziców dostawałem paczki z jedzeniem i papierosami, a z kolei kilku moich przyjaciół wpłacało pieniądze na konto więzienia, żebym mógł robić zakupy w kantynie. Teoretycznie najbardziej dramatycznym momentem mojego pobytu za kratami powinno być oglądanie piłki nożnej, przecież siedziałem w czasie mistrzostw Europy 2008. Oglądaliśmy też transmisje z meczów reprezentacji Polski,

w której kiedyś zagrałem! Teraz zupełnie mnie to nie interesowało. Chłopaki kibicowali, wrzeszczeli, tłukli z wściekłości pięściami w drzwi i ściany, a ja nic. Zero emocji. Zero.

Na Smutnej zwiedziłem kilka cel, bo cały czas czekałem na przeniesienie – przypominam, że zostałem skazany na półtora roku więzienia i przymusowe leczenie z alkoholizmu. Tymczasem w Łodzi nie ma oddziału, gdzie prowadzona jest taka terapia. Miałem zostać przeniesiony do Radomia, ale ciągle to się przesunęło w czasie. Rodzice próbowali to przyspieszyć, żeby ktoś wreszcie zaczął mnie leczyć, ale nic nie mogli wskórać. Pomógł dopiero dziennikarz z „Faktu”, Dariusz Łuszczyna, który miał jakieś znajomości i udało mu się załatwić przeniesienie mnie do Radomia. On też o mnie kilka tekstów napisał i choć trochę czasem ubarwiał, darzyliśmy się sympatią.

Cieszyłem się, bo w Radomiu panują znacznie lepsze warunki, a przede wszystkim znacznie mniejszy rygor. W ciągu dnia cele są na pewien czas otwierane i wtedy więźniowie mogą chodzić po całym terenie. W porównaniu z siedzeniem w ciasnej celi na Smutnej, było naprawdę dobrze, tym bardziej, że w świetlicy stał stół pingpongowy. Znów mogłem sobie poodbijać: jak kiedyś z ojcem na ławie w salonie i jak... z Erikiem Myklandem w luksusowym ośrodku w Atenach. Teraz rywali miałem jednak innych, otoczenie też znacznie mniej przyjazne.

Znów trafiłem do grupy Anonimowych Alkoholików, do tego dochodziła terapia farmakologiczna. Któregoś dnia, zupełnie nie wiem z jakiego powodu, dostałem amoku. Siedziałem już wtedy w pojedynczej celi – na przejściówce było nas pięciu, ale w miarę szybko zostaliśmy rozlokowani w „jedynkach” – i moja psychika zaczęła wariować. Wpadłem w szal i zanim strażnicy przybiegli, by mnie obezwładnić, zdążyłem rozwalić łóżko i kaloryfer. Rzucili mnie na ziemię i skuli kajdankami, a potem przez kilkanaście dni siedziałem w tzw. karcerze, czyli celi, gdzie umieszczano się więźniów niebezpiecznych. W karcerze nie ma niczego, nawet łóżka, a spać trzeba na twardym materacu leżącym bezpośrednio na ziemi. Cella jest cały czas monitorowana, więc prywatności nie masz nawet w toalecie. I jeszcze jedno – na koniec musiałem zapłacić tysiąc złotych za zdemolowanie

celi, a to był już czas, kiedy pieniądze dawno mi się skończyły, więc rachunek do zapłacenia był bolesny.

Pod koniec marca 2009 roku zostałem przewieziony do Łodzi, tym razem do więzienia na Kraszewskiego. Tam spędziłem ostatnie chwile za kratkami i wreszcie 11 kwietnia 2009 roku, tuż przed Wielkanocą, wyszedłem na wolność. Pierwszy raz od czternastu miesięcy mogłem napić się piwa.

Zrobiłem to zaraz po wyjściu, jeszcze przed budynkiem więzienia. Przyjechał po mnie kolega i pierwsze piwko wychyliłem od razu. Drugie znacznie wolniej, kolejne dopiero wieczorkiem. Wcześniej jeszcze zaniósłem „szkiełko” z celi do lombardu, bo nie miałem grosza, a za telewizor coś do kieszeni wpadło.

Nie ma co ukrywać – tuż za bramą więzienia okazało się, że przymusowe leczenie z alkoholizmu nie odniosło rezultatu. Właściwie z dnia na dzień wróciłem do starego życia – do kolegów z Bałut i Kozin, na murek przy sklepie. Rodzice zmuszali mnie do leczenia, ale nie było na mnie siły. Oszukiwałem, wyrzucałem tabletki przez okno. Miało być lepiej, a właściwie było coraz gorzej. Stoczyłem się na dno i nie miałem siły się podnieść. Nie miałem też chęci, by o tę siłę walczyć.

Jest jak jest. Widocznie lepiej być nie może.

Odstawienie leków spowodowało u mnie agresję i straciłem kontakt z Dagmarą i Kacprem. Nie dziwię się, że Gosia i Magda bały się o dzieciaki – nie można było mi zaufać i być pewnym, że nic głupiego nie zrobię. Płynąłem w otchłań.

– Mamuśka, zobacz, co się ze mną dzieje! – któregoś ranka z przerażeniem zwołałem do pokoju mamę, z którą znów mieszkałem. Cały drżałem, a moje ciało nie było w stanie tych drgawek opanować. Przerażony zgodziłem się, by wreszcie poważnie pomyśleć o swoim zdrowiu i życiu. Człowiek musi widać dojść do końca, sięgnąć samego dna, by powiedzieć STOP.

Na tomografii komputerowej wykryto, że przeszedłem lekki udar. Pewnie w nocy, w czasie snu, bo nawet tego nie poczułem. Nie mam pojęcia kiedy i w jakich okolicznościach dopadło mnie to cholerstwo. Wiem jednak, że organizm miał prawo wreszcie się poddać, bo zbyt

intensywnie go przez całe życie testowałem. Nie chodzi nawet o wysiłek sportowca, któremu poddawałem ciało alkoholika, uzależnionego od wielu lat, z tym jakoś dałem sobie radę. Myślę, że gorsze były przepijane kolejne dawki anticolu. Każdy łyk piwa lub wódki po tym leku skracał moje życie o kilka tygodni lub miesięcy.

Leczenie, na które wydaliśmy resztkę posiadanych przez rodzinę Sypniewskich pieniędzy, niewiele poprawiło. Nieodwracalne lewostronne zmiany w mózgowiu, jak się to fachowo nazywa, sprawiają, że dziś też zdarzają mi się drgawki. Są takie dni, kiedy czuję się fatalnie, nie jestem w stanie się ruszyć. Zdarzają się też takie, gdy ruszać mi się nie chce i nie mam nawet ochoty z tym walczyć. Takie mam problemy. Ja, czterdziestolatek. Piłkarz z Ligi Mistrzów i pierwszych stron gazet. Były piłkarz...

Właściwie nie piję już ponad cztery lata. Na początku sporadycznie sięgałem po piwo, na samiućku początku raz ćwiartkę przemyciłem. Od dwóch lat nawet łyka alkoholu nie wziąłem, a właściwie wziąłem kilka – obudziłem się kiedyś i pomyślałem, że chciałbym wypić jednego browarka. Powiedziałem to mamie, a ona – ku mojemu zdziwieniu – poszła do sklepu i przyniosła. Przez kilka godzin maczałem w nim usta, a później odstawiłem, choć została jeszcze przynajmniej połowa butelki. Wylałem ją z mamuśką do zlewu. Dumna ze mnie była, podobnie jak ja sam.

Gram alkoholu nie wypijam nawet na sylwestra. Gdy kilka lat temu zostałem zaproszony na pożegnalny mecz Jacka Trzeciaka, z którym grałem w RKS Radomsko, wziąłem ze sobą piwo bezalkoholowe. Nie było dobre, jakieś takie kwaśne. Ale czułem się szczęśliwy, że umiałem się opanować.

Alkohol mnie zniszczył, ale na szczęście nie do końca. Rozbił dwa najważniejsze związki w moim życiu, ograniczył znacząco kontakty z dwojgiem moich aniołków, Dagmarą i Kacperkiem. Torturował rodziców. Zabrał dużą część kariery i pomógł stracić to, co na boisku zarobiłem. Ale choć przygiął do ziemi i wrzucił w głęboki dół, to jeszcze nie do końca zasypał.

„Sypa” jeszcze walczy, a raczej – jakoś się trzyma, wciąż egzystuje.

Wiem, że suchy alkoholik, taki jak ja, do końca życia nie może być

pewny, że nie zapije. Nigdy. Ale wierzę, że już nie sięgnę po butelkę, że z nami wreszcie koniec. Na zawsze. Bo za dużo mnie ta miłość kosztowała...

Rozmowa z Jonasem Thernem, trenerem Igora

Przez dziesięć lat nie miał pan kontaktu z Igorem Sypniewskim, pracował pan z nim niespełna rok, a jednak Igor wspomina pana przy każdej okazji i uważa za najlepszego człowieka, jakiego spotkał na swojej drodze. Naprawdę, wymienia pana imię przy każdej okazji. Jak pan to zrobił?

Naprawdę Igor tak często o mnie mówi? To miłe, ale jednocześnie w pewien sposób tragiczne. Ile Igor ma teraz lat, około 40? Poznał w życiu dziesiątki ludzi, grał w kilkunastu klubach, kochały go tysiące kibiców, a uważa właśnie mnie za najważniejszego człowieka? To naprawdę niebywałe, jak może się potoczyć życie, gdy straci się nad nim panowanie lub pozwoli kierować nim niewłaściwym osobom.

Z Igorem nie mam kontaktu od kilku dobrych lat, ale pamiętam doskonale, co zdarzyło się w Halmstad i to, co było między nami. Nazwałbym to przyjaźnią, ale taką dziwną. Przecież nie udało się jej kontynuować na odległość, rozmowa przez telefon jest dość trudna, gdy jeden z rozmówców używa tylko około 30 słów – a tyle znał Igor po angielsku. Jednak w Szwecji potrafiliśmy rozmawiać przez kilkadziesiąt minut, parę razy w tygodniu. Odwiedzałem Igora w domu i piliśmy kawę, a czasem on przyjeżdżał do mnie i kopał piłkę z moim małym synkiem, który go uwielbiał. Myślę, że zrozumienie języka nie miało aż tak dużego znaczenia, bo dla Sypka najważniejsze było to, żeby ktoś go wysłuchał, poświęcił mu czas.

Pamięta pan swoje pierwsze spotkanie z Igorem i pierwsze treningi? On sam przyznaje, że wyglądał wtedy bardzo słabo fizycznie i że aż wymiotował z wysiłku.

Słabo?! On nie wyglądał słabo, wyglądał tragicznie. Pierwszy raz wymiotował po trzech okrążeniach boiska! I to nie w jakimś szybkim tempie... To był dla mnie trudny moment. Widziałem, że inni zawodnicy patrzą na mnie, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Miałem świadomość, że przyjechał chłopak, który nie jest przygotowany

do wysiłku, ale jest świetnym piłkarzem. Widziałem wcześniej nagrania z meczami Sypniewskiego z Ligi Mistrzów – nie jakieś tam zmontowane bramki z różnych meczów czy krajów. To były całe mecze, które ten gość rozegrał w najbardziej prestiżowych rozgrywkach Europy, przeciwko Arsenalowi i Manchesterowi United. I był dobry w tych meczach. Był bardzo dobry.

Dlatego zarządziłem ćwiczenie jeden na jeden i dwa na dwa. Bramkarz wyrzucał piłkę do napastnika albo dwóch rywali, którzy musieli strzelić gola, mając do dyspozycji ograniczony słupkami pas szerokości 12 metrów. Igor był niesamowity. Kilka razy dotknął piłki i to wystarczyło, żebym zachwycił się jego umiejętnościami. Po paru atakach z udziałem Igora obrońcy siadali na tyłku, nie wiedząc, co się dzieje. On strzelał, a potem... musiał chwilę odpocząć, bo zmęczył się krótkim biegiem.

Bardzo dobrze pan to pamięta po dziesięciu latach, jestem zdziwiony.

Pamiętam, bo właśnie tego dnia usłyszałem jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogłem usłyszeć jako trener. Asystent podszedł do mnie i zaproponował, żeby już skończyć z tym testowaniem Sypniewskiego. Też byłem tego zdania, bo przecież wszystko już widzieliśmy, ale w tym momencie drugi trener zapytał, czy ma odesłać Polaka i czy ja mu to powiem. Zatkało mnie. Zobaczyłem najlepszego piłkarza, jakiego kiedykolwiek miałem na zajęciach, a mój współpracownik chciał się go pozbyć!

Powiedziałbym, że to typowo szwedzkie, by nie dać komuś szansy. Wiedziałem, że jeśli ten chłopak z nami potrenuje i przygotuje się do rozgrywek, będzie doskonałym wzmocnieniem, napastnikiem, jakiego szukałem. Wtedy pierwszy raz wziąłem Igora na rozmowę i podałem swoje warunki. Tłumaczył jego menedżer Bogdan Maślanka, bo on sam niewiele wtedy rozumiał.

Sypek opowiadał, że błyskawicznie panu zaufał.

Szybko, ale nie błyskawicznie. Pamiętam, że na początku nie chciał tak ciężko pracować indywidualnie, nie przypuszczał też, że będę

od niego tyle wymagał. Powiedział nawet, że w takim razie on dziękuje i jeszcze się zastanowi. Wrócił i od tego momentu praca z nim to była prawdziwa przyjemność. Nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń. Nie oszukiwał, robił wszystko, o co go poprosiłem, bo rozumiał, że to dla jego dobra. Inni mieli w okresie przygotowawczym wolne weekendy, a my spotykaliśmy się by pracować nad przygotowaniem fizycznym także w sobotę i niedzielę. Ale było warto, bo dzięki temu nikt w Halmstad nie mógł mówić o cudzie, gdy Igor zaczął świetnie wyglądać. To była po prostu wytrwała praca. Praca i zrozumienie.

Kibice też pokochali Igora. Zawsze chętnie pozował do zdjęć, nigdy mu się nie spieszyło, nigdy nie odmówił autografu. No i to jak grał... Jak on grał! Naprawdę uważam, że gdyby Sypek został z nami do końca sezonu 2003 w takiej formie, jaką wspólnie wypracowaliśmy, nie tylko on miałby koronę króla strzelców, ale małe Halmstad miało by jeszcze jeden tytuł mistrzowski. Końcówka rozgrywek, gdy on nie był już sobą, była fatalna. Wcześniej strzelał gola za golem, a my mieliśmy tylko 3 lub 4 punkty straty do prowadzącego Djurgaarden, które potem zostało mistrzem.

Od początku miałem wrażenie, że Igor potrzebował kogoś spoza rodziny, kto dałby mu poważne oparcie i poczucie bezpieczeństwa, które pozwoliłoby mu pokazać pełnię swoich umiejętności i być szczęśliwym na boisku. Dużo rozmawialiśmy, nawet, gdy nie zawsze miał kto z nami usiąść i te rozmowy tłumaczyć. Wiem, że to dziwne, ale my się doskonale rozumieliśmy, gadając przy tej kawie.

Miał pan z Igorem jakieś problemy wychowawcze? Zdarzało mu się na przykład nie przyjść na trening?

Czasem dawałem mu wolne, bo widziałem, że tego potrzebował. Gdy miałem wrażenie, że jakoś dziwnie się czuje i nie potrafi tego nazwać – odpuszczałem. Tak naprawdę to był jedyny kłopot, bo Szwedzi nie potrafili zrozumieć, dlaczego traktuję go inaczej niż pozostałych. Uważali, że jednemu piłkarzowi poświęcam więcej czasu i to nie jest sprawiedliwe względem zespołu. Dlatego musiałem spotykać się z pozostałymi zawodnikami i wyjaśniać im, na czym polega indywidualne

podejście.

W lidze szwedzkiej wszyscy byli przyzwyczajeni do równego traktowania, miałem kłopot z indywidualizacją treningu. Tłumaczyłem, że nie każdy musi przebiec 10 razy 100 metrów, że jednemu wystarczy tylko pięć sprintów. Opowiadałem, jak leniwy bywał czasem w Romie Francesco Totti i podkreślałem, że nikt z nas, jego kolegów z zespołu, nie śmiałyby protestować, gdy on ćwiczył mniej, bo podczas meczu dbał o punkty drużyny i nasze premie, strzelając gola albo dwa. Od początku wiedziałem, że Igor będzie takim graczem i że jeśli przygotuję go odpowiednio, to będzie dla Halmstad, jak Totti dla AS Roma. Musiało jednak upłynąć sporo czasu zanim w Szwecji to zrozumiano. Dlatego, gdy ktoś źle traktował Igora, natychmiast reago-
wałem.

Mówi pan o piłkarzach z drużyny? Mieli pretensje, że wyróżniał pan Polaka?

Z czasem coraz mniejsze, bo koledzy Igora widzieli nie tylko, jakim jest szczerym i fajnym człowiekiem, ale też jak wiele potrafi na boisku. Wiedzieli też, że może im bardzo pomóc. Cóż, takiego grajka zawsze lepiej mieć po swojej stronie.

Zaprzyjaźniłem się z Igorem nie tylko dlatego, że zobaczyłem, jak wielki ma potencjał. Umiałem go słuchać. Interesowałem się tym, co czuje i jak mu się układa w domu. Otworzył się przede mną i opowiedział, jakie nękają go demony z przeszłości i jakich próbuje się pozbyć problemów. Myślę, że jestem jednym z nielicznych, któremu zdecydował się opowiedzieć, dlaczego jego kariera potoczyła się właśnie w ten sposób, dlaczego znalazł się na zakręcie, zamiast zachwycać kibiców w największych ligach Europy. Czasem trzeba tak niewiele – tylko wysłuchać drugiego człowieka. Igor nie miał zbyt wielu znajomych, którzy by mu zaoferowali coś takiego.

Muszę powiedzieć o jeszcze jednej sprawie: Igor nigdy mnie nie oszukał i nie zawiódł. Gdy pracował, to nie odpuszczał. Na początku naszej wspólnej roboty, gdy już podpisał kontrakt, zapytał, ile jest kolejek w Allsvenskan, a gdy dowiedział się, że 26 – obiecał, że strzeli 26 goli. Jestem pewien, choć oczywiście nigdy tego już nie sprawdzi-

my, że on by tą średnią osiągnął, gdyby nie... Gdyby nie inne sprawy, o których nawet z panami nie będę teraz rozmawiał, bo o tym może mówić tylko Igor.

Chodzi o jego próbę samobójczą, po której już nigdy nie odzyskał dawnej, wysokiej formy?

Więc jednak zdecydował się o tym opowiedzieć?... Cóż, to był bardzo trudny moment. Może byliśmy wtedy w stanie pomóc mu bardziej, zauważyć kilka dni wcześniej, że dzieje się coś niedobrego? Ale Igor miał takie dni... Bardzo denerwował się na przykład, gdy przyjechał do Halmstad asystent selekcjonera reprezentacji Polski. Uciekł ze stadionu, żeby w ogóle się nie spotkać z trenerem, który chciał go powołać... Trochę pogadaliśmy, ale co miałem powiedzieć? Przecież trener kadry powinien lepiej wiedzieć, jaki ma diament i jakie ten chłopak ma problemy. Starłem się słuchać Igora, pomagać mu, czasem doradzać, ale nic nie nakazywałem. Nie rozumiałem wtedy jego decyzji, ale ją zaakceptowałem. Chroniłem go też, dopóki mogłem. Nie byłem w stanie obronić go przed nim samym.

Nie chcę rozmawiać o tamtych dniach, w których wszystko poszło w złą stronę. Sprawy samobójstwa należą tylko do Igora. Jednak to nie były jedyne kłopoty, na które wspólnie – mogę tak powiedzieć – napotykalismy w Szwecji. Łatwiej rozmawia się o futbolu, więc powiem, jak oceniali Sypka eksperci. Często używali sformułowania „głupi”, bo kilka razy w czasie meczu dawał się łapać na spalonego. Kłóciłem się z nimi jak tylko mogłem, bo tak mądrego piłkarsko chłopaka w swojej karierze nie spotkałem. Choć może trochę przesadzam – spotkałem paru, ale tylko tych największych, których nazwiska zna każdy kibic piłkarski.

Kłóciłem się z tak zwanymi ekspertami i kibicami przede wszystkim o granie na granicy spalonego. Oni nigdy nie zrozumieją, że starałem się nauczyć Igora wchodzić w linię obrony, balansować na prawo i lewo, by oszukać obrońców. Pewnie, on często był na spalonym, ale nie dlatego, że źle się zachowywał. Był taki mecz przeciwko Oergryte, który pamiętam do dziś: Igora w pierwszej połowie dziewięć razy złapano na spalonym i spotkał się w przerwie z ogromną krytyką eks-

pertów telewizyjnych. Oglądałem mecz dzień później i na stopklatkach było widać, że trzy razy pomylili się sędziowie – Igor na spalonym nie był. Gdy już znalazł się sam na sam z bramkarzem – nigdy się nie mylił. Powinien mieć na koncie trzy bramki!, a pozostała krytyka... Po prostu był za szybki dla naszych sędziów asystentów. W poważnej lidze byłby jak Filippo Inzaghi, bo to był ten sposób gry.

Porównałby pan więc Sypka do takiej gwiazdy jak Włoch? Grał pan z wieloma wybitnymi zawodnikami i naprawdę pan uważa, że Polaka z dwoma meczami w reprezentacji kraju można ustawić między nimi?

Sypniewski potrafił zwodzić obrońców jak Inzaghi, a może jeszcze lepiej, bo sprawiał, że obrońcy go lekceważyli. Niby przechadzał się leniwie po boisku, jakby mu się nie chciało, a potem nagle ruszał i unikał spalonego, strzelając gola. Miał uderzenie obiema nogami, szybkość i technikę – wszystko, co powinien mieć napastnik. Mnie najbardziej przypominał Carecę, Brazylijczyka, z którym grałem w Napoli.

Grał pan także z Paulem Gascoignem, w Glasgow Rangers. Chyba nie spodziewał się pan, że spotka kiedyś kogoś, kto roztrwonił swój talent bardziej niż Anglik?

W obu tych przypadkach można mówić o zmarnowanych gigantycznych możliwościach. Gazza był bardzo podobny do Sypka – też miał fantastyczną technikę i też głowa za nią nie nadążyła. Szanowałem jednak ich obu, choć miałem do nich różne podejście. Dla Igora byłem trenerem i przyjacielem, a dla Gazzy kolegą z boiska. Nie czułem się upoważniony, by dawać mu jakieś rady, czy w jakikolwiek sposób go oceniać. Nie wtrącałem się w jego sprawy i nie zastanawiałem, dlaczego na porannym treningu wygląda tak, a nie inaczej.

Obaj mieli nieprawdopodobny instynkt i tę piłkarską mądrość, która pozwala intuicyjnie wybrać najlepszy możliwy wariant rozegrania akcji. Tego się nie da nauczyć, to trzeba mieć.

A jaka była pana metoda na piłkarzy? Jakim trenerem chciał

pan być, pracując z seniorami i jakim jest pan teraz, zajmując się grupami młodzieżowymi i budując akademię?

Staram się zrozumieć tych, z którymi pracuję, wiek nie ma tu znaczenia. Moim zdaniem najważniejsze jest, by słuchać ludzi. Najlepsi trenerzy, z którymi pracowałem, potrafili usiąść z każdym piłkarzem, którego trenowali i spokojnie zapytać o dom, rodzinę... Claudio Ranieri, Marcelo Lippi, Walter Smith, Dick Advocaat, Sven Goran Eriksson – łączyło ich to, że próbowali zrozumieć człowieka, z którym pracowali, poznać go. Człowieka, nie tylko zawodnika. Próbuję być taki sam.

Jest pan szczęśliwy, pracując dziś z młodzieżą? Nie potrafię zrozumieć, dlaczego odszedł pan z Halmstad mimo ważnego kontraktu i dlaczego już nigdy później nie podjął się pan pracy z zespołem seniorów.

Dlaczego nie zostałem na 2004 rok? Mieliśmy spotkanie z szefami klubu i powiedziałem, jakich graczy potrzebuję, żeby nie wegetować w lidze, a walczyć o najwyższe cele. Szefowie Halmstad zażądali, żeby przedłużyć umowy z trzema starszymi graczami powyżej 33. roku życia, wszyscy oni byli po kontuzjach. Nalegałem, że jeśli mają zostać w klubie, to jako trenerzy, ambasadorowie drużyny, ale nie w kadrze zespołu... Nie postawiłem na swoim.

Na tę trójkę poszła spora część budżetu, przez co mniej pieniędzy mogli zarobić najbardziej wartościowi gracze, brakowało też gotówki na wzmocnienia. Odszedłem więc, a krótko potem sprzedano Igora do Malmö i to za naprawdę znaczne pieniądze. Skupiłem się na pracy z młodzieżą. Tworzę własną akademię, wychowuję dobrych piłkarzy, mam więcej czasu dla rodziny, bo nie muszę dojeżdżać codziennie stu kilometrów do Halmstad. Uwielbiam pomagać młodym ludziom, otwierać ich głowy na to co ważne, pokazywać im, jak należy się prowadzić poza boiskiem, by gdzieś się nie zagubić. Uważam za sukces, gdy przekażę dzieciakom, że piłki nie należy kopać na oślep, a zaprzyjaźnić się nią. Cieszę się, gdy chętnie przychodzą na treningi, bo wiedzą, że będą bawić się futbolem, a nie uczestniczyć w obozie wojskowym, gdzie surowy kapitan tylko wydaje polecenia.

Staram się im również przekazać, żeby po wejściu na pewien poziom nie zamykali się w czterech ścianach, w swoich drogich apartamentach. Wtedy giniesz jako człowiek. Trzeba zawsze móc znaleźć czas na obiad ze znajomymi, pójście na ryby, na drobne przyjemności, takie jak spacer z żoną. Tego brakowało Igorowi – wyjścia z domu, wyjścia do ludzi. Robiłem, co mogłem, by to zmienić, ale... nie wszystko byłem w stanie.

Nie marnuje pan swojego trenerskiego potencjału, pracując z młodzieżą?

Pytają mnie o to, ale mówię, że to nie jest nudna robota, ale pasjonująca. Nie jest łatwo dotrzeć do głowy młodych ludzi, podobnie trudno było dotrzeć do Igora. Doradzam im, zamiast rozkazywać.

Kiedyś widziałem w mojej szkółce miejsce dla Sypka. On zawsze lubił, gdy otaczały go dzieci. Młodzi ludzie czują, kiedy dajesz im serce, a on miał serce ogromne. Moi podopieczni by go pokochali.

Pana syn, Simon, gra w młodzieżowej reprezentacji Szwecji, strzelił nawet gola Polsce. Wychował pan jeszcze innego zawodnika?

Ośmiu chłopaków gra w piłkę na przyzwoitym poziomie, więc ta praca przynosi efekty. Loret Sadiku z Helsingbora czy Niklas Hult z Elfsborga to moi wychowankowie, przed którymi jest przyszłość.

Przed Igorem przyszłość miała być w Malmö, do którego trafił po tej doskonałej połowie sezonu w Halmstad. Co tam poszło nie tak?

Gdy Igor wrócił po wyjściu ze szpitala po próbie samobójczej, było widać, że jest innym człowiekiem, a także piłkarzem. W Malmö było tak samo. Nigdy nie pokazał nawet 60 procent swojego rzeczywistego potencjału, a przecież po to tak ciężko pracował w Halmstad. Drugi sezon w Szwecji powinien być jego najlepszym w karierze, był najlepszym piłkarzem na naszych boiskach.

Transfer Sypniewskiego do Malmö był wielkim wydarzeniem. Duża

suma transferowa, duże nazwisko, duży klub. Problem w tym, że zbyt duży. Teraz oceniam, że Igor miał pecha, bo powinien był trafić do Ajaksu Amsterdam, który wtedy się nim poważnie zainteresował i który jest świetnym przystankiem przed transferem do największych lig. Igor strzelałby w Holandii, to bardziej niż pewne. Chciał go też ponoć Rosenborg Trondheim, ale Norwegowie nie chcieli zapłacić tyle, co Malmö... W tak dużym klubie nie było już nikogo, kto by się zajął chłopakiem z problemami. Na treningi przychodziło sporo kibiców, którzy ostro oceniali to, co działo się na boisku. To nie były warunki dla Igora.

Czasem jeszcze rozmawialiśmy, ale Sypek się oddalał. Dzwoniono do mnie jeszcze z La Mangi, gdzie Malmö było na zgrupowaniu, błagając o pomoc, ponieważ Igor pojawił się z butami w hotelowym patio i oznajmił, że idzie na trening. Problem w tym, że była 23.30... Nikt już wtedy nie potrafił go zrozumieć i mu pomóc.

A pan by pomógł? Dziś? Gdy Igor ma za sobą nie tylko zmarowaną karierę, ale także odsiadkę z więzienia?

Wiem, że uczestniczył w zamieszkach na stadionie i że to nie były jedyne kłopoty z prawem, które miał. Szczegółów jednak nie znam. I chyba nie chcę znać, bo to nie jest dla mnie ważne.

Kiedyś myślałem, że Igor po zakończeniu kariery będzie trenerem w mojej szkole. Poznałem w Halmstad świetnego chłopaka o wielkim sercu, który kochał piłkę. Dorastał cały czas, nawet przy mnie, choć miał już prawie 30 lat. I pewnie dalej dorasta.

Cokolwiek zrobił w Polsce, poniósł już karę. Bardzo surową. Teraz jednak ma czystą kartę, jak każdy z nas. Była wina, było więzienie. Trzeba o tym zapomnieć i żyć dalej.

Nie rozumiem, jak to możliwe, że Igor znalazł się poza prawem, ale kłopoty mieli więksi niż on. Choćby wspomniany już w naszej rozmowie Gazza, który strzelał kiedyś do ludzi, choć był fantastycznym kumplem i gościem, lubiącym się powygłupiać. Gascoigne byłby w stanie w każdym momencie postawić przypadkowemu gościowi piwo, a tymczasem dowiadujemy się, że był agresywny i atakował przechodniów. Psychika ludzka jest trudna do pojęcia.

Co przekazałby pan dziś Igorowi? Pana słowa nadal są dla niego bardzo ważne.

Powinien być dumny z tego, co osiągnął, fantastycznie grał w piłkę. Chciałbym, żeby był też dumny ze swojego życia.

Mam nadzieję, że weźmie się w garść i zajmie pracą, najlepiej z dziećmi, do których miał zawsze świetne podejście. Pamiętam, jak w moim domu kopał piłeczkę z Simonem, który czasem podawał piki na meczach Halmstad, a Igora uwielbiał jako piłkarza... To też pokazuje, że on ma podejście do dzieci, umie z nimi rozmawiać, a przynajmniej zachęcać do zabaw z piłką.

Sypek musi wejść w rutynę, wychodzić codziennie na trzy, cztery godziny, odnaleźć cel w życiu. Niech się czymś zajmie, mam nadzieję, że w Polsce nie jest trudno o drugą szansę. On na nią na pewno zasługuje.

Igor, spróbuj patrzeć do przodu, a nie wstecz. Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, by marnie skończyć. W futbolu nie brakuje bandytów, którzy kradną i mają się dobrze, choć fatalnie traktują ludzi. Ty jesteś inny. Odszukaj siebie i bądź tym chłopakiem, którego poznałem ponad dziesięć lat temu w Szwecji.

Rozmowa ze Stefanem Sypniewskim, ojcem Igora

Czy dziś, po tych wszystkich doświadczeniach, nadal chciałby pan, żeby Igor był piłkarzem?

Nie jest łatwo odpowiedzieć na takie pytanie. Pamiętam dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyłem Igora i mogłem go wziąć na ręce. Podniosłem go wysoko i powiedziałem przy wszystkich: będziesz piłkarzem. Od tego dnia robiłem wszystko, by tak się stało. Zaczęliśmy treningi, gdy Igor miał dwa lata. Zimą mama zakładała mu dużą, czerwoną czapkę z pomponem po to, żeby lepiej go widział w zaspach śniegu. Kopałem piłkę tak, by leciała 10–20 cm nad nim. Już wtedy Igor ćwiczył wyskok. Wracaliśmy do domu, rozkładaliśmy stół i graliśmy w ping-ponga. Specjalnie przegrywałem jednym, czy dwoma punktami, żeby się nie zniechęcał. Zawsze graliśmy o coś i zawsze dbałem o zasady fair play. Chciałem, żeby Igor przeszedł przez życie uczciwie.

I przeszedł. Wydaje się nawet, że w wielu sytuacjach to go gubiło.

Był za uczciwy. W dzieciństwie nauczyliśmy go przede wszystkim, żeby nie kłamał. Za każdym razem, gdy złapałem go na kłamstwie, miał karę, np. musiał przez godzinę uczyć się tego przedmiotu, który najmniej lubił. I zawsze mu mówiłem – teraz masz odpuszczone, ale jeśli skłamiesz znowu, to dostaniesz trzy razy pasem. Miał cennik nagród i kar. Za wagary było pięć pasów, chyba, że się przyznał. Kiedyś złapałem go na wagarach i dostał smary. Oczywiście z wycuciem, ale już wtedy było widać, że jest twardy. Nigdy nie poszła mu ani jedna łąza.

Często musiał pan wyciągać pas z szafy?

Zdarzało się, ale tylko za wagary. Trzymaliśmy go krótko, ale niech to nie zabrzmii, że ktoś się nad nim znęcał. Nie, nie. To było po prostu

wychowanie.

Igor już w dzieciństwie wiedział, że tata chce, by został zawodowym piłkarzem.

Jak był mały, czytałem mu książkę o Pele. Na drugi dzień zawsze musiał opowiedzieć mi poprzedni rozdział. Był zakochany w tym piłkarzu. Gdy nauczył się czytać, sam często brał ją z półki. Nie mogę odżałować, że jej dzisiaj nie mamy, bo gdy wyjechałem kiedyś do Austrii, to moja żona uznała, że książki zajmują za dużo miejsca i część z nich oddała do biblioteki. Niestety, tę także. Tak, chciałem, żeby Igor był piłkarzem.

Od dziecka miał surowego recenzenta.

Każdy mecz analizowaliśmy, wskazywałem mu błędy i o nich rozmawialiśmy. Gdy już był piłkarzem, zawsze mu powtarzałem, że od chwaleń są dziennikarze i kibice, a ja jestem od tego, żeby pokazać mu błędy. Gdy był jeszcze dzieciakiem, zadawałem mu specjalne ćwiczenia, kazałem mu np. więcej grać lewą nogą, zmieniać strony boiska. Janek Lirka, jego pierwszy trener, czasem miał inną koncepcję, ale myślę, że nie żałował tego, iż poświęcam treningom Igora wiele czasu.

Można powiedzieć, że Igor w dzieciństwie miał dwóch trenerów.

Tak, to prawda, ale nigdy nie ingerowałem w to, co zalecał Janek. Zresztą nie przeszkadzały moje uwagi, nawet chciał, żebym został kierownikiem drużyny. Nie miałem na to czasu, bo wtedy pracowałem jako kierownik hurtowni warzywno-owocowej, która zaopatrywała całą Łódź. Ale pomagałem, jak mogłem.

Pod blokiem ćwiczyliśmy właściwie każdego dnia. Na tamten czas Igor miał wspaniałą technikę, nie tylko dzięki talentowi, ale i ciężkiej pracy. Sto uderzeń lewą nogą to był obowiązek. Kiedyś, po wielu latach, w Grecji zdobył trzy gole w meczu Panathinaikosu w ciągu siedmiu minut. Do dzisiaj jest to czwarty wynik w historii greckiej ligi,

jeśli chodzi o czas ustrzelenia hat-tricka. Do tego to był prawdziwy hat-trick, bo jedną bramkę zdobył lewą nogą, drugą prawą, a trzecią głową. Widać było efekty naszej pracy z dzieciństwa.

Co czuje ojciec, gdy jego syn strzela trzy gole w jednym meczu wielkiego klubu? Duma go rozpiesza?

Płacze. Na tamtym meczu po prostu się rozpłakałem i w taki sposób okazałem szczęście. Pamiętam, w dzieciństwie byłem zakochany w starożytnej Grecji, ale przecież w czasach głębokiej komuny nawet nie marzyłem o tym, że kiedykolwiek zobaczę Grecję, a tu siedziałem na greckim stadionie, mój syn strzelał piękne gole, a Grecy wiwatowali na jego cześć.

Piłka nożna i alkohol. Słuchając historii opowiadanych przez Igora, trudno nie mieć wrażenia, że w tamtych czasach pili wszyscy...

W ŁKS kilku piłkarzy o słynnych nazwiskach też miało poważny problem z alkoholem. Zresztą już w młodzieżowych drużynach były niepokojące sygnały na temat wielu chłopaków. Chciałem pomóc i z niejednym piłkarzem chodziłem na spotkania Anonimowych Alkoholików. Uznaliśmy w ŁKS, że lepiej będzie, jeśli piłkarze – część z nich miała już znane nazwiska – nie będzie oficjalnie leczyć się z alkoholizmu, więc występowali pod nazwiskiem „Sypniewski”, a w papierach figurowałem ja. Pani doktor wiedziała, o co chodzi i godziła się na to.

Kiedy zauważył pan, że Igor ma problem?

Kiedyś zaprowadziłem Igora do pani doktor, bo kilka razy popił, po meczach bardzo późno wracał do domu i zacząłem się niepokoić. To było w czasach jego pierwszej gry w ŁKS, nie miał jeszcze dwudziestu lat. Nikt z nas nie spodziewał się, że to będzie aż tak duży problem.

Zmiana klubu na Ceramikę Opoczno z pewnością korzystnie wpłynęła na karierę piłkarską Igora, ale chyba spędzony tam

czas spotęgował jego najważniejszy problem.

Tam alkohol był już na co dzień. Jednak skoro nawet prezesi klubu powtarzali w kółko, że Igor najlepsze mecze gra na kacu, to o czym my mówimy? Niespecjalnie byłem akceptowany w Opocznie, nie piłem i nie pasowałem do tego towarzystwa. Siedziałem z nimi, rozmawiałem, słuchałem, ale nie piłem. W dużej mierze to byli sympatyczni ludzie, bardzo ich lubiłem, ale nieświadomie zrobili Igorowi krzywdę. Tam uwierzył, że rzeczywiście lepiej mu się gra na kacu.

Dziś, gdy znamy już całą historię Igora, a zwłaszcza jej koniec - mówię o karierze piłkarskiej - choć brzmi to strasznie, pamięta pan pewnie mecze, które potwierdzały tę teorię.

Kiedyś zabrałem mu samochód, bo uznałem, że nie może prowadzić, a za kilka godzin grali mecz w Ceramicie. I strzelił pięć bramek. Miał niewyobrażalnie dużą wydolność płuc. Zawsze tak było – pamiętam, jak kiedyś pojechaliśmy do rodziny na wieś i pomagaliśmy w zwożeniu zboża z pola do ich gospodarstwa. Pole dzieliło od domu dziewięć kilometrów, a Igor, jako dziesięciolatek bez trudu przebiegał drogę tam i z powrotem. I nie było po nim widać zmęczenia.

Problemem futbolu w tamtych czasach był nie tylko alkohol, ale i korupcja.

Tak, dość wcześnie się z tym spotkaliśmy. Pamiętam mecz, jak Igor jeszcze grał w juniorach, gdy do przerwy przegrywali 1:3, ich rywale grali znakomicie, a po przerwie zupełnie stanęli, a nasz zespół wygrał 4:3. Później dowiedziałem się, że mecz został załatwiony. Mam też w pamięci spotkanie, w którym działacze dwóch klubów dogadali się na remis. Igor się o tym dowiedział i w ostatniej minucie meczu zrobił z jednym z kolegów kapitalną akcję, po której zdobył gola na 1:0.

Położy pan rękę pod siekiere, że Igor nigdy meczu nie sprzedał.

Położę. To jest niemożliwe.

A gdyby było inaczej, gdyby dowiedział się pan, że Igor

sprzedał mecz?

W emocjach może nawet mógłbym napluć mu w twarz. To by oznaczało, że moje starania w trakcie jego wychowania o uczciwość byłyby kompletnie nic nie warte.

Pan nie marzył o tym, żeby być piłkarzem?

Marzyłem. W Miliczu chodziłem do Technikum Leśnego, występowałem w reprezentacji szkoły, nawet kiedyś grałem w takiej wiejskiej A-klasowej drużynie na lewe nazwisko. Po skończeniu szkoły dostałem skierowanie do pracy – takie to były czasy – i na piłkę już nie było szans. Próbowałem jeszcze chwilę pograć w Andrzejowie pod Łodzią, ale kiedyś nadleśniczy zauważył, że pojechałem na trening zamiast być w lesie i zapytał, jaki zawód wybrałem. Musiałem skończyć z piłką, chociaż jeszcze kilka lat później próbowałem pograć w łódzkim Metalowcu. Ale wtedy miałem za dużo obowiązków.

I dlatego wymyślił pan dla syna karierę piłkarską?

W części na pewno tak. Choć myślę, że nie zawsze jest dobrze zmuszać dzieci do realizacji marzeń rodziców.

O to zapytałem na początku naszej rozmowy. Wtedy uciekł pan trochę od odpowiedzi.

Nieraz się zastanawiam, czy warto. Jednak w tym, co się stało, nie widzę tylko jego winy. Zauważam natomiast choćby swoją, byłem zbyt opiekuńczy i przez to mi się urywał. Nieraz byłem za bardzo łatwowierny. Dzisiaj nie wiem, czy bym postąpił tak samo. Na pewno bym chciał, żeby jego kariera inaczej się zakończyła. Wiele innych osób, które Igor spotykał na swojej drodze, ponosi tu winę. Część z nich jest wymieniona w tej książce z imienia i nazwiska, a część tylko zasugerowana. Na każdym etapie kariery spotykał takich ludzi. Nawet, gdy był na topie, jak choćby w Panathinaikosie, z którego musiał odejść, bo sprowadzano akurat Emmanuela Olisadebe, jeden z polskich trenerów zrobił mu złą opinię. Okay, świętoszkiem nie był, już w Grecji sporo miał za uszami, ale zapewniam, że w tej drużynie byli piłkarze, którzy bardziej lubili się bawić od Igora, a mimo to

w Panathinaikosie zostali. Za to Igora szybko spławili.

Słuchać w pana słowach żal.

Bo mam żal. Igor w Grecji miał uznaną markę, później kilku reprezentantów Polski zgłosiło się do niego, gdy potrzebowali dobrej opinii przy transferach do greckich klubów. Ile pił, to pił, ale w Grecji pamiętają przede wszystkim jego grę. Nawet z Olympiakosu dzwoniли do niego, pytając o jednego z polskich piłkarzy. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Myśli pan, że któryś z nich zaproponował jakąś pomoc, gdy Igor był w więzieniu? Nikt nie pomógł i nikt się za nim nie wstał. Wdzięczność w tym środowisku nie jest niestety częstym zjawiskiem.

Pan był przy Igorze właściwie zawsze. Można powiedzieć, że żył pan jego życiem. Dzisiaj też jest pan przy nim.

W czasie choroby ojca musiałem rozstać się z Igorem na dłużej. Ojciec zmarł na raka prostaty, chyba po nim to odziedziczyłem. Nie przejmuję się rakiem, zaprzyjaźniłem się z nim i nie słucham głupich rad, np. żeby nie palić papierosów. Mówię do raka: ja ci dam papierosy, a ty mi – święty spokój. I tak sobie żyjemy. Myślę, że skoro syn umiał walczyć z najlepszymi piłkarzami świata, to ja z rakiem też dam sobie radę.

Pan ten problem zna z autopsji, bo przecież pan kiedyś też pił.

Ale się w porę opamiętałem. Kiedyś nie poszedłem do pracy, bo byłem tak skacowany, że nie mogłem. Leżałem na dywanie i oglądałem telewizję. To był program o alkoholikach z Katowic. Facet, około pięćdziesiątki, trzymał wnuka na kolanach i opowiadał swój życiorys. Tak mnie ten program nakręcił, że wstałem i poszedłem do lekarza. Pani doktor kazała mi napisać tzw. „piciorys”. Chodziłem na spotkania Anonimowych Alkoholików. Poznałem tam faceta, który przesiedział 25 lat w więzieniu, bo zabił księdza, żeby ukraść mu wino. Gdy opowiadał o tym, płakałem. Jak opowiedział

o tym, że krzywdził matkę, to nabrałem obrzydzenia do alkoholu. Od tamtej chwili już nie piję.

Nie marzył pan o tym, żeby Igor miał taką silną wolę jak pan?

Kiedyś, będąc w Grecji, nie pił półtora roku. Potem musiałem wyjechać, bo ojciec zaczął chorować. Wiem, że alkoholika nie da się upilnować, ale mnie nie dało się oszukać. Jak mnie zabrakło, Igor odnalazł towarzystwo.

Teraz Igor nie pije ponad trzy lata. Musi pan być z niego dumny?

Za dużo ludzi znam, którzy mieli wpadki. Dlatego boję się o Igora. Obserwuję go, czy na pewno wytrwa. Sobie nie wierzę, każdy dzień w trzeźwości jest wygrany. Alkoholik musi tak myśleć, nie może ani przez moment poczuć się zbyt pewnie, bo wtedy przegra. Tu trzeba mieć charakter, jak w piłce. Choroby alkoholowej nigdy się nie wyleczy, bo to choroba duszy. Czasem chodzę do kościoła, ale nie na mszę, ale wtedy, gdy nikogo nie ma. Chodzę i rozmawiam z Bogiem. Sam. Z księdzem już bym tak nie porozmawiał. To mi bardzo pomaga.

Kiedy był pan najbardziej dumny z Igora?

Wiele razy. Pierwszy raz na meczu Panathinaikos – Valencia. Dostał wtedy cios w zęby od silnego obrońcy i przez dwadzieścia minut grał z krwawiącą szczęką. Gdy skończył się mecz, odszukał mnie wzrokiem na trybunach i podniósł rękę. Wiedziałem, co to oznacza – że zaraz złapie piłkę i ona będzie już na zawsze nasza. Takich momentów było więcej – ten słynny mecz z Manchesterem United, w którym sędzia odgwizdał siedem spalonych, a nie było ani jednego. Bardzo dumny byłem też z jego ostatniego gola w barwach ŁKS, dzięki któremu zespół awansował do ekstraklasy. Mógłbym pewnie wymienić więcej takich meczów, choćby wtedy, gdy zagrał w reprezentacji z Kamerunem. Płakałem ze wzruszenia.

Co by się stało, gdyby Igor nie przeszedł z Radomska

do Wisły na pół roku przez mundialem w Korei i Japonii?

Myślę, że by tam zagrał i wiele rzeczy potoczyłoby się inaczej. Wisła miała być klubem, w którym pogra pół roku i pokaże się światu. Menedżer Tadziu Fogiel namieszał nam trochę w głowach mówiąc, że z Wisły będzie go łatwiej wytransferować do Bordeaux. Poza tym w Wiśle miał znacznie lepiej zarabiać, ale z kontraktu dostał tylko grosze.

Igor odbierany jest przez pryzmat jego problemów pozaboiskowych. Spędzając z nim wiele tygodni przy pisaniu książki, poznaliśmy dobrego, ciepłego faceta, który nie potrafi wyjaśnić, jak to się stało, że upadł.

Bez względu na to, jaki był, jest i będzie, będę go zawsze kochał tak samo, jak w chwili, gdy w szpitalu wzięłem go na ręce i uniosłem. Wszyscy popełniamy błędy i Igor również. Zniszczył go alkohol, potężna siła, która niszczy silniejszych od niego. Przez wódę stracił zdrowie, leki, które musi przyjmować, też mu dają popalić. Ale zmienia się na lepsze, zaczął się interesować synem, jeździ na jego treningi.

Chce pan, żeby wnuk był piłkarzem?

Moje doświadczenia piłkarskie były znikome, postępowałem intuicyjnie. Za bardzo ufałem działaczom, którzy przez całą karierę Igora nas oszukiwali. Igor nie zarobił takich pieniędzy, o jakich się mówi, nawet części nie zarobił. Za to znalazło się wielu cwaniaków, którzy zrobili kasę na nim. To też go dobijało. Igor o wiele doświadczeń jest mądrzejszy. I może pomóc synowi w piłkarskiej karierze. Tak, chyba chciałbym, żeby Kacper został piłkarzem, ale za kilka lat musiałby wyjechać na Zachód. W Polsce prawdziwej kariery zrobić się nie da.

W życiu państwa rodziny było wiele niezwykłych momentów zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Takim strasznym dniem był 15 listopada 2007 roku, gdy Igor został skazany i trafił do więzienia...

Dla mnie to była tragedia. Mam pretensje do dziennikarzy, o to

w jaki sposób pokazywali Igora. Wiedzieli przecież, w jakim jest stanie. Nie trzeba było być wielkim fachowcem, żeby zobaczyć, że jest na prochach i nie wie, co mówi. Prosiłem sędziego przed ogłoszeniem wyroku, żeby nie było dziennikarzy na sali rozpraw, ale nikt nie wziął tego pod uwagę. Zrobili pokazówkę, zniszczyli go. Dlaczego wprowadzili go do sądu w kajdanach na nogach? Wiedli go jak mordercę obok kamer, by wszyscy mogli to zobaczyć. Odmówiłem zeznań, bo nie wiem, co by się działo na tej sali. Igor dostał półtora roku więzienia za to, że naubliżał kobiecie, która zresztą chciała od nas pieniędzy za zmianę zeznań. Było wielu świadków, którzy potwierdzali, że Igor jej nie uderzył. Po latach mogłem jej się odpłacić i zrobiłem to. Ratowałem jej syna z alkoholizmu. Myślę, że ma wyrzuty sumienia za to, co zrobiła mojemu synowi.

Ilu Igor miał w środowisku piłkarskim prawdziwych przyjaciół?

Prawdziwych nie miał wcale, bo to byli przyjaciele krótkoterminowi. Byli wtedy, gdy Igor miał pieniądze, a na koniec zostali mu już tylko Stefan Sypniewski i Ilona Sypniewska.



To pamiątka z chwili, w której chyba byłem najwyżej – gdy zdobyłem bramkę w meczu z Arsenalem Londyn w Lidze Mistrzów. Na mnie nigdy nazwiska tych największych piłkarzy nie robiły wrażenia, ale wiem, że mój Tata był w tamtych chwilach bardzo dumny.



Moje małżeństwo z Magdą nie było udane, ale mamy wspaniałą córkę Dagmarę, więc nie mogę powiedzieć, że tego momentu bardzo żałuję. Przez wiele lat było między nami bardzo źle, ale w końcu jakoś udało nam się ułożyć stosunki, żebym mógł się widywać z córką.



Do Anglików miałem szczęście, bo w meczach z ich drużynami najczęściej szło mi znakomicie. Tu na zdjęciu w drodze z hotelu na stadion Old Trafford, gdzie wprawdzie przegraliśmy, ale mam wrażenie, że tam zagrałem najlepszy mecz w życiu.



Z Leszkiem Piszem moje drogi zeszyły się na początku greckiej przygody w Kavalii. Świetny facet, który bardzo pomógł mi na początku gry w Grecji. Mieszkaliśmy obok siebie, a żona Leszka gotowała fantastyczne obiady.



Igor bez problemów – tak myślę patrząc na to zdjęcie z pierwszej komunii. Wiem, że sprawiłem moim rodzicom wiele przykrości, ale mam nadzieję, że byli też ze mnie dumni. Wtedy na pewno też tak było.



Wojsko odsłużyłem w Orle Łódź, który był klubem wojskowym.
To był pierwszy klub,
gdzie pokazałem swój trudny charakter.
Było wesoło i... niewesoło, ale piłkarzom wiele się wybaczało.



Krzysztof Warzycha jest legendą Panathinaikosu Ateny. Na swoją pozycję bardzo ciężko zapracował i nie ukrywam, że też z tego korzystałem. Krzysiek w wielu sytuacjach życiowych w Atenach mi pomagał i żałuję, że nie graliśmy razem dłużej. Tu na zdjęciu w Nowym Jorku, gdzie graliśmy w turnieju Gotham Cup.



Wszędzie, gdzie grałem, z sentymentem wspominałem ŁKS i żałowałem, że w tym klubie właściwie nie dostałem szansy na początku mojej przygody z piłką. Decyzje i interesy różnych ludzi nie zmieniają jednak faktu, że ŁKS to mój ukochany klub na zawsze.



Złoty but za tytuł króla strzelców trzeciej ligi. Ceramika Opoczno była pierwszym klubem, który tak naprawdę dał mi szansę gry na poważnym poziomie. Bez goli strzelanych w Opocznie nie dostałbym szansy gry w Grecji.



Po podpisaniu umowy z Panathinaikosem Ateny czułem się tak, jakbym miał świat u stóp. Koniczynki absolutnie należały w tamtych czasach do europejskiej czołówki, a ja przecież jeszcze kilka miesięcy temu byłem ledwie w Opocznie.



Z ŁKS trafiłem do trzeciej ligi, ale ambicje sponsorowanego przez fabrykę płytek klubu z Opoczna sięgały dużo wyżej. Awans do drugiej ligi w pierwszym roku i wysoka pozycja na koniec kolejnego sezonu potwierdziły, że dobrze zrobiłem odchodząc z ŁKS, w którym nikt nie chciał na mnie postawić.



– Jestem królem świata – mówi bohater „Titanica”. Po transferze do Panathinaikosu czułem się tak samo, a i mój „Titanic” nie skończył dobrze rejsu...



Ceramika była dla mnie idealnym miejscem, by pokazać swoje umiejętności. Wprawdzie codzienne podróże samochodem z Łodzi do Opoczna i z powrotem nie sprzyjały sportowemu trybowi życia, ale w w Ceramicie nie miałem problemów ze zdobywaniem goli.



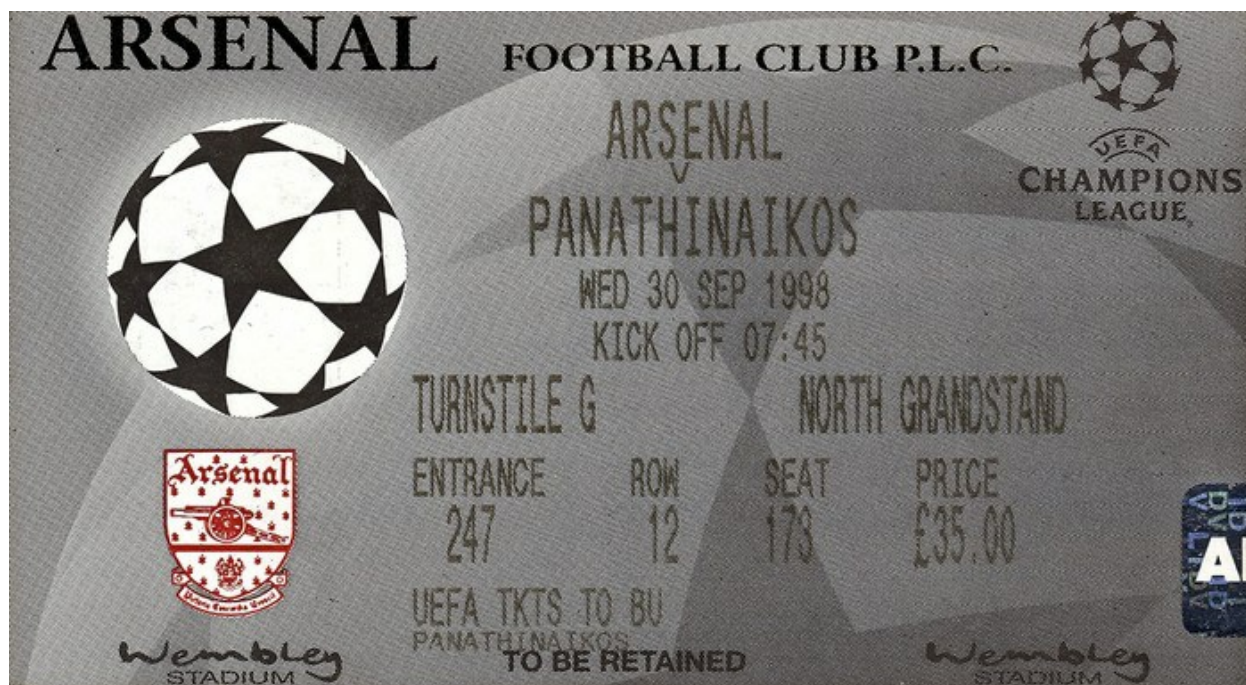
Na Old Trafford czułem w sobie jakąś dziwną siłę. Nigdy nie bałem się gry przeciwko najlepszym na świecie, ale tam wprost czułem, że to oni powinni się bać mnie.



Transfer do OFI Kreta nie był najlepszym pomysłem. Byłem rozżalony, że Panathinaikos już mnie nie chce i nie bardzo miałem pomysł na siebie. – To będzie pół roku wakacji – pomyślałem sobie. I rzeczywiście, na Krecie grałem wakacyjny futbol.



Welcome to Old Trafford. Tak zaczął się magiczny wieczór, czyli mój najlepszy mecz w życiu. Myślę, że Gary Neville i David Beckham trochę napatrzyli się na moje nazwisko na plecach, gdy im uciekałem.



Pamiątkowy bilet z meczu Ligi Mistrzów z Arsenalem Londyn na stadionie Wembley. Tata przyleciał specjalnie do Londynu, by zobaczyć, jak kręcę Angolami.



Warzycha, Warzycha, Sypniewski, Sypniewski, Sypniewski... Ktoś ma jeszcze wątpliwości, jaki naród rządził pod koniec lat 90. Panathinaikosem?



Moja pierwsza i jedyna legitymacja zawodnika ŁKS. Gdy po latach wróciłem do ŁKS legitymacji już nie było. Były za to kontrakty, ale terminów płatności w nich zapisanych nikt nie przestrzegał...

12		ΜΙΚΛΑΝΤ ΕΡΙΚ	
ΗΜ. ΓΕΝΝΗΣΗΣ:	21/07/1971		
ΝΤΕΜΠΟΥΤΟ:	31/08/1997		
ΘΕΣΗ:	ΜΕΣΟΣ		
ΔΙΕΘΝΗΣ:	ΝΟΡΒΗΓΙΑ		
ΣΥΜΕΤΟΧΕΣ (Α'):	49		
ΓΚΟΛ (Α'):	2		
ΠΡΟΗΓΟΥΜΕΝΕΣ ΟΜΑΔΕΣ			
ΕΤΟΣ	ΚΑΤ.	ΟΜΑΔΑ	
97-00	Α'	ΠΑΝΑΘΗΝΑΪΚΟΣ	



13		ΣΙΠΝΙΕΦΣΚΙ ΙΓΚΟΡ	
ΗΜ. ΓΕΝΝΗΣΗΣ:	10/11/1974		
ΝΤΕΜΠΟΥΤΟ:	31/08/1997		
ΘΕΣΗ:	ΕΠΙΘΕΤΙΚΟΣ		
ΔΙΕΘΝΗΣ:	ΠΟΛΩΝΙΑ		
ΣΥΜΕΤΟΧΕΣ (Α'):	44		
ΓΚΟΛ (Α'):	12		
ΠΡΟΗΓΟΥΜΕΝΕΣ ΟΜΑΔΕΣ			
ΕΤΟΣ	ΚΑΤ.	ΟΜΑΔΑ	
97-98	Α'	ΚΑΒΑΛΑ	
98-00	Α'	ΠΑΝΑΘΗΝΑΪΚΟΣ	



ΕΙΔΙΚΟ ΑΦΙΕΡΩΜΑ ΣΕ ΟΜΑΔΕΣ Α' ΕΘΝΙΚΗΣ

Nieprzypadkowo chyba w przedsezonowym informatorze Panathinaikosu znalazłem się razem z Erikiem Mykland. To był już najlepszy kompan do zabawy w Atenach. Razem przeżyliśmy i... wypiliśmy wiele.



W Panathinaikosie spędziłem trzy lata, w których przeżyłem najlepsze chwile w karierze. Tam jeszcze udawało mi się tuszować swoje słabości.



Właściwie wszędzie, gdzie grałem spotykałem się z sympatią kibiców. Choć w Atenach miałem też wiele mniej udanych meczów, fani Panathinaikosu do dziś mnie jeszcze pamiętają.



Na pewno mój bilans bramkowy w drużynie Koniczynek byłby lepszy, gdybym koncentrował się tylko na piłce. Niestety, w Atenach było wiele ciekawszych miejsc do spędzania czasu, niż treningowe boiska...



Ja schodzę – Krzysiek wchodzi. Częściej raczej bywało odwrotnie. W Panathinaikosie miałem być następcą Warzychy, który jest ode mnie dziesięć lat starszy, ale gdy odchodziłem do OFI to Krzysiek jeszcze grał kilka lat.



Strzelanie goli sprawiało mi zawsze wielką przyjemność. Umieszczenie piłki w bramce było czymś, co w futbolu kochałem, ale...



...mam wrażenie, że w Panathinaikosie, gdybym dostawał więcej minut mogłem strzelać znacznie więcej.



Krzysiek z opaską kapitana, ja po lewej stronie, Erik Mykland po prawej. A razem z nami plejada gwiazd greckiej piłki.



To jedno z moich ulubionych zdjęć. Rzadko spoglądam do archiwum, które przez lata gromadził mój Tata, ale na to zdjęcie, sam nie wiem nawet z jakiego meczu, patrzeć akurat lubię.



Wyprowadzenie w pole trzech rywali w jednej akcji często nie sprawiało mi wielkich kłopotów. Tak, jak tutaj, na zdjęciu z meczu z Ioni-kosem Pireus.



Na Stadionie Olimpijskim w Atenach czułem się wyśmienicie. Lubiłem to miejsce, czułem w nim jakąś magię. Szkoda, że w 2004 roku, gdy otwierano na nim igrzyska olimpijskie, ja byłem na życiowym zakręcie, a Grecja była dla mnie od dawna zamkniętym rozdziałem.